

Czysta Ameryka Przemilczana historia eugeniki

ELIZABETH CATTE

*Spełniły się nadzieje Charlesa Davenporta i kraj na oszala-
mającą skalę zaakceptował eu-
genikę jako narzędzie poprawy
sytuacji społecznej. Eugenika
koła amerykańskie niepokoje
obietnicą, że choroby społeczne,
podobnie jak te zwykłe, da się
wyleczyć. Da się zmniejszyć
liczbę cierpiących na nie pacjen-
tów. W pierwszych dekadach
dwudziestego wieku Amerykanie
sławili eugenikę na jarmarkach
stanowych, uczestniczyli w kon-
kursach sprawniejszych rodzin
i oglądali filmy z motywami
eugenicznymi. Setki uniwersyte-
tów w całym kraju na podstawie
programów opartych na euge-
nice kształciły kolejne pokolenie
lekarzy i pracowników opieki
społecznej.*



SERIA AMERYKAŃSKA

- Woody Guthrie *To jest wasz kraj, to jest mój kraj*
- Lawrence Wright *Wyniosłe wieże. Al-Kaida i atak na Amerykę* (wyd. 2 zmienione)
- Sara Marcus *Do przodu, dziewczyny! Prawdziwa historia rewolucji Riot Grrrl*
- Nick Bilton *Król darknetu. Polowanie na genialnego cyberprzestępcę* (wyd. 2)
- Nicholas Griffin *Miami 1980. Rok niebezpiecznych dni*
- Nicholas D. Kristof Sheryl WuDunn *Biedni w bogatym kraju. Przebudzenie z amerykańskiego snu*
- Richard Grant *Najgłębsze Południe. Opowieści z Natchez, Missisipi*
- Lawrence Wright *Droga do wyzwolenia. Scjentologia, Hollywood i pułapki wiary* (wyd. 2)
- Sam Quinones *Dreamland. Opiatowa epidemia w USA* (wyd. 3)
- Rosecrans Baldwin *Los Angeles. Miasto-państwo w siedmiu lekcjach*
- Alex Marzano-Lesnevich *Pamięć ciała. Przemoc seksualna, morderstwo i kara*
- William S. Burroughs Jack Kerouac *A hipopotamy żywcem się ugotowały* (wyd. 2)
- Robert Kolker *W ciemnej dolinie. Rodzinna tragedia i tajemnica schizofrenii* (wyd. 2)
- Bob Drury Tom Clavin *Serce wszystkiego, co istnieje. Nieznana historia Czerwonej Chmury, wodza Siuksów* (wyd. 3)
- Jon Krakauer *Pod sztandarem nieba. Wiara, która zabija* (wyd. 2)
- Olivia Laing *Miasto zwane samotnością. O Nowym Jorku i artystach osobnych*
- Jenn Shapland *Moja autobiografia Carson McCullers*
- Charlie LeDuff *Praca i inne grzechy. Prawdziwe życie nowojorczyków* (wyd. 2)
- Patti Smith *Pociąg linii M* (wyd. 2)
- Harry Crews *O mułach i ludziach. Dzieciństwo w Georgii*
- Patti Smith *Poniedziałkowe dzieci* (wyd. 3)
- John Bloom Jim Atkinson *Bardzo spokojna okolica. Zbrodnia w Teksasie*
- Patrick Radden Keefe *Imperium bólu. Baronowie przemysłu farmaceutycznego*
- Mary Karr *Klub Łgarzy*
- Piotr Jagielski *Grunge. Bękarty z Seattle*
- Hampton Sides *Krew i burza. Historia z Dzikiego Zachodu* (wyd. 2)
- Benjamin Gilmer *Przypadek doktora Gilmera. Zbrodnia, medyczna zagadka i sprawiedliwość w Appalachach*
- Ewa Winnicka *Miasteczko Panna Maria. Ślęzacy na Dzikim Zachodzie*
- S.C. Gwynne *Imperium księżycy w pełni. Wzlot i upadek Komanczów* (wyd. 3)
- Will Sommer *Uwierz w Plan. Skąd się wziął QAnon i jak namieszał w Ameryce*
- Matt Taibbi *Nienawiść sp. z o.o. Jak dzisiejsze media każą nam gardzić sobą nawzajem* (wyd. 2)

S.C. Gwynne *Wrzask rebeliantów. Historia geniusza wojny secesyjnej* (wyd. 2)

Kathleen Hale *Slenderman. Internetowy demon, choroba psychiczna i zbrodnia dwunastolatek*

Amanda Montell *Idź za mną. Język sekciarskiego fanatyzmu*

Nick Bilton *Król darknetu. Polowanie na genialnego cyberprzestępcę* (wyd. 3)

ELIZABETH CATTE

CZYSTA AMERYKA

Przemilczana historia eugeniki

Przełożył Rafał Lisowski



Wrocław 2024

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.



Tytuł oryginału angielskiego *Pure America. Eugenics and the Making of Modern Virginia*

Projekt okładki Agnieszka Pasierska

Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś

Fotografia na okładce © J.C. Allen and Son Collection / Indiana Historical Society P0490

Copyright © 2021 by Elizabeth Catte

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2024

Copyright © for the Polish translation by Rafał Lisowski, 2024

Opieka redakcyjna Przemysław Pełka

Redakcja Ewa Penksyk-Kluczkowska

Korekta Aleksandra Kalinowska / d2d.pl, Sandra Trela / d2d.pl

Skład Robert Oleś

Konwersja i produkcja e-booka: d2d.pl

ISBN 978-83-8191-985-2

Spis treści

Seria

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Uwagi na temat języka i treści

Wstęp

1. Matki i córki

2. Wirgińscy mieszkańcy

3. Uzdrowiające krajobrazy

4. Pacjent jest dobry do pracy, a praca jest dobra dla pacjenta

Podziękowania

Rekomendowane źródła

Źródła archiwalne

Przypisy

Kolofon

Uwagi na temat języka i treści

W tej książce pojawiają się przykłady szpetnego i krzywdzącego języka, jakim aktorzy historyczni posługiwali się w przeszłości do opisu ludzi postrzeganych jako osoby z niepełnosprawnościami. Przeważnie taki język wyraża zapatrywania lekarzy, prawodawców i laików żyjących na początku dwudziestego wieku. W tamtym okresie etykiety w rodzaju „upośledzony umysłowo” (*feeble-minded*), „nieprzystosowany” (*unfit*) i „ułomny” (*defective*) miały znaczenie kliniczne, ale były również stosowane powszechnie, w sposób obraźliwy, do opisu osób z domniemanymi mankamentami charakteru. W wielu przykładach przytoczonych w tej książce aktorzy historyczni używali języka związanego z niepełnosprawnością wobec osób, których dziś nie uznalibyśmy za niepełnosprawne.

W książce *No Right to Be Idle. The Invention of Disability 1840s–1930s* [Nie wolno być beczynnym. Wynalezienie niepełnosprawności w latach 1840–1930] historyczka Sarah F. Rose pisze: „[...] doświadczenie niepełnosprawności, a nawet to, co uważa się za niepełnosprawność, różni się w zależności od epoki historycznej i kultury. To, w jaki sposób rasa, klasa, płeć, wiek i rodzaj zaburzenia [...] krzyżują się z niepełnosprawnością, oczywiście również ma znaczenie”. W niektórych kontekstach należy podkreślić, że wiele ofiar eugeniki i przymusowej sterylizacji nie było niepełnosprawnych w dzisiejszym rozumieniu tego określenia. Odzwierciedlenie zmian w percepcji niepełnosprawności w zależności od czasu i miejsca nie oznacza jednak, że niesprawiedliwość eugeniki zasadniczo polegała na tym, że w jej sidła trafili tak zwani normalni ludzie. Zmieniający się charakter tej percepcji oraz różne rzeczywistości, które są tego wynikiem, unaoczniają raczej, że w Ameryce

istnieje długa historia nakładania na pojęcie niepełnosprawności uprzedzeń rasowych, płciowych i klasowych.

Osoby poszukujące szerszych informacji na temat tych koncepcji, w tym sposobu ich funkcjonowania do dziś, znajdą na końcu książki listę proponowanych źródeł.

Wstęp

To jest książka o eugenicie, czyli książka o mojej okolicy.

Kiedy zaczynałam pisać *Czystą Amerykę*, mieszkałam przy jednej z wyżej położonych ulic w Staunton w stanie Wirginia, małym miasteczku przycupniętym w dolinie Shenandoah. Przez lata mój rozkład dnia wyglądał identycznie: wychodziłam z domu, zjeżdżałam ze wzniesienia czterystumetrowym odcinkiem ulicy w kierunku Richmond Avenue, głównej arterii Staunton, i zatrzymywałam się na światłach naprzeciwko pierwotnego kompleksu Western State Hospital, gdzie w latach 1927–1964 chirurdzy dokonali sterylizacji tysiąca siedmiuset osób bez ich zgody.

Kiedy opisuję ten szpital w taki sposób, możecie wyobrażać sobie obraz mojej codziennej drogi do pracy wyrwany prosto z umysłu Shirley Jackson: „Western State, obłąkany, stał samotnie na tle wzgórz, a wewnątrz miał mrok”. Ja jednak codziennie stawiałam naprzeciw ruchliwego placu budowy. Cały kompleks – budynki i teren, razem z cmentarzem mieszczącym szczątki aż trzech tysięcy dawnych pacjentów – właśnie pieczołowicie przekształcano w luksusowy hotel i ekskluzywne osiedle dla emerytów i osób kupujących drugi dom.

Innymi słowy Western State wcale nie stał samotnie. Interes się kręcił, trwały prace remontowe, które wkrótce miały przekształcić szpital w nowo ochrzczone Blackburn Inn i The Villages at Staunton. Nowy urok zawdzięczały one drobiazgowej renowacji kluczowych obiektów architektonicznych, ale także marketingowej tożsamości przypisującej Western State osobliwie pogodną historię: miejsca, w którym pacjenci przebywali pod troskliwą opieką życzliwych, moralnych lekarzy. Gdybyście usłyszeli, jak deweloperzy opowiadają o przeszłości szpitala, pierwotnie noszącego nazwę Western State Lunatic Asylum (Zachodni

Stanowy Zakład dla Obłąkanych), to miejsce wydałoby się wam tak wspaniałe, że zaczęlibyście się zastanawiać, dlaczego kiedyś ludzie nie udawali obłądu tylko po to, żeby je odwiedzić.

Nie jest to szpital Western State, jaki ja znałam.

Owszem, przez krótki czas obowiązywało tu coś, co czasem nazywa się „medycyną moralną”: od powstania szpitala w 1828 roku aż do okresu tuż po wojnie secesyjnej. W swojej najwcześniejszej, najbardziej optymistycznej postaci Western State dawał wytchnienie białym pacjentom doświadczającym dotkliwego cierpienia, któremu, zdaniem lekarzy, mogły ulżyć odpoczynek, odpowiednie odżywianie oraz lekka praca. Takie bardziej ludzkie traktowanie, któremu termin „medycyna moralna” zawdzięczał swój drugi człon – zaniechanie metod takich jak krępowanie i kary cielesne, uznanych przez nowe pokolenie lekarzy za niepotrzebne i brutalne – miało pomóc w „odzyskiwaniu” poczytalności w spokojnym otoczeniu. W idealnym układzie osoby z poważniejszymi, nieuleczalnymi czy przewlekłymi dolegliwościami znajdowały się w tamtym okresie pod opieką rodzin, czasem wspieranych przez organizacje dobroczynne. Ewentualnie społeczność lub bliscy umieszczali je w lokalnie finansowanych przytułkach, sierocińcach bądź więzieniach.

Na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku to podejście ustąpiło jednak miejsca w dziejach psychiatrii długiej epoce, kiedy to terapia skupiała się nie na opiece i leczeniu, ale na izolacji i kontroli. Osoby, którym przypisywano niepełnosprawności, oraz te niezdolne zadbać o siebie ze względu na biedę lub wiek, były coraz częściej postrzegane przez społeczeństwo jako kosztowna, natarczywa klasa podatna na ubóstwo i zachowania przestępcze. Lokalne społeczności zaczęły się domagać zwolnienia z kosztów finansowych pomagania tym ludziom w przetrwaniu. Dzięki kierowaniu większej liczby osób do zakładów przerzucały te koszty na władze stanowe i pozbywały się ludzi, którzy ich zdaniem wiedli bezproduktywne życie. Według teoretyczki prawa Laury Appleman w zakładach w całym kraju znajdowało się w 1923 roku ponad dwieście sześćdziesiąt trzy tysiące osób, co oznacza, że „pierwsza współczesna masowa inkarceracja nie dotyczyła przestępców, ale niepełnosprawnych”.

Lekarze i naukowcy zrezygnowali z poszukiwań sposobów moralnego leczenia, a skupili się na zapobieganiu – poprzez coraz precyzyjniejszą kwantyfikację i kategoryzację rodzajów oraz przyczyn tego, co uważali za nieudolność umysłową. Ich badania, wsparte wynalezieniem testów inteligencji, owocowały nowymi taksonomiami słabości, ale w przytłaczającym stopniu uczeni byli zgodni, że wszystkie te przypadłości zasadniczo mają wspólną przyczynę: niewłaściwy rozplód.

Ta kwestia dotyczyła zarówno biologii, jak i ekonomii. Lekarze, oprócz diagnozowania pacjentów, zaczęli wyliczać koszt ich utrzymania i społeczne zagrożenia związane z ich przetrwaniem. Zwolennicy szybko rozwijającego się ruchu na rzecz badania i kontroli ludzkiej rozrodczości znaleźli newralgiczny punkt w postaci jednoczącego komunikatu: dopuszczanie do rozmnażania się osób „nieprzystosowanych” jest równoznaczne z zaciągnięciem społecznego długu, którego nie sposób spłacić. „Co piętnaście sekund tysiąc dolarów z waszych pieniędzy idzie na opiekę nad osobami o złej dziedziczności: obłąkanymi, upośledzonymi umysłowo, kryminalistami i innymi ułomnymi” – deklarowała seria ogłoszeń rozprowadzanych w latach dwudziestych dwudziestego wieku przez Amerykańskie Towarzystwo Eugeniczne. Stan Wirginia zalegalizował sterylizację eugeniczną w 1924 roku.

Western State, który znałam, w znacznej mierze był produktem tamtej długiej epoki. Stanowisko dyrektora szpitala od 1905 do 1943 roku zajmował przywódca wirgińskiego ruchu eugenicznego tak znany, że doczekał się przydomka: Joseph „Sterylizacja” DeJarnette. Należał do pierwszych zwolenników kontroli populacji w tym stanie i już w 1908 roku nawoływał do ograniczenia małżeństw „nieprzystosowanych”. W 1911 roku rekomendował sterylizację „wszystkich słabeuszy”. Kiedy w 1924 roku Wirginia przyjęła ustawę sterylizacyjną, zatwierdzoną przez Sąd Najwyższy w 1927 roku, DeJarnette wraz z podległymi mu chirurgami z Western State był drugi w całej Wirginii pod względem liczby przeprowadzonych sterylizacji. Wyprzedzała go tylko Lynchburg Colony, położona sto dwadzieścia kilometrów dalej na południe i utworzona specjalnie z myślą o pacjentach upośledzonych umysłowo.

Western State pozostawał szpitalem objętym segregacją, przeznaczonym dla białych pacjentów, dopóki po 1965 roku Wirginia nie została zmuszona do integracji placówek. W Eastern State Hospital w Williamsburgu, założonym w 1773 roku jako pierwszy szpital publiczny w Stanach Zjednoczonych, wyłącznie z myślą o leczeniu chorób umysłowych, integracja obowiązywała przez krótki okres od 1841 do 1870 roku (obiekt miał oddzielne skrzydło piwniczne dla czarnych pacjentów). Gdy ponownie wprowadzono segregację, w latach 1924–1964 Eastern State jako szpital dla białych pacjentów przeprowadził 393 sterylizacje. W 1869 roku Wirginia uruchomiła w Petersburgu Central Lunatic Asylum for Colored Insane (Centralny Zakład dla Obłąkanych Kolorowych), również jako pierwszą tego typu placówkę w Stanach Zjednoczonych. Aż do czasu integracji, obok mniejszej Petersburg Colony, pozostawała ona jedyną w Wirginii placówką dla czarnych pacjentów. W Central State przeprowadzono 1634 sterylizacje, a w Petersburg Colony, zamkniętej w 1955 roku, wykonano ich 246. Wirginia prowadziła jeszcze jedną placówkę dla białych pacjentów pod nazwą Southwestern Lunatic Asylum (Południowo-Zachodni Zakład dla Obłąkanych), otwartą w 1887 roku niedaleko Marion. W latach 1924–1964 wykonano tam co najmniej 364 sterylizacji. Założona w 1910 roku Lynchburg Colony, gdzie władze stanu umieszczały wielu – choć nie wszystkich – białych pacjentów uznanych za upośledzonych umysłowo, przeprowadziła co najmniej 2781 sterylizacji.

Wcześniej mieszkalam pod Nashville, wśród plantacji, a nie szpitali. Tam moim sąsiadem było zniewolenie, nie eugenika. Wspominam wam o tym, bo gdy przeprowadziłam się do Staunton, Western State wywołał we mnie paraliżujące uczucie *déjà vu*: znowu stykałam się z lokalną narracją historyczną, która zamiast traumy i przemocy fizycznej pełna była ludzi szczęśliwych, mimo że zatrzymywanych siłą. Zniewolenie to nie eugenika, a jednak obie te rzeczy wydawały się znajome, tak jakby wszystkie te dzisiejsze śluby na plantacjach i architektoniczne atrakcje sprzed wojny secesyjnej doprowadziły nas do momentu, w którym również ta placówka w Staunton o ogromnie skomplikowanej historii zmieniała się w cenne dobro materialne, nierozzerwalnie związane ekonomicznie ze współczesnym rozwojem otaczającej miejscowości.

Czy w tych wesołych opowieściach o Western State snutych przez deweloperów chodziło o osiągnięcie jakiejś historycznej równowagi? Czy miały pomóc temu miejscu i całej społeczności uporać się ze stygmatem eugeniki? A może to tylko kolejna mdła historia mająca dogodzić zamożnym właścicielom nieruchomości i gościom, którzy chcieliby tutaj zostać? Przekształcony Western State Hospital szczyił się nowymi liczbami, z których mogli być dumni mieszkańcy miasta: warta 21 milionów dolarów inwestycja deweloperska, 1,2 miliona dolarów ulg podatkowych od władz stanowych i federalnych, nieruchomości na sprzedaż o wartości 595 tysięcy dolarów każda. Były jednak także inne liczby z przeszłości tego miejsca, których wypowiedzenie na głos wydawało się teraz niestosowne: odmienione życie 1700 ludzi, tysiące grobów.

„Ale ten teren ma mocne fundamenty” – słyszałam w mieście od mieszkańców chwalaących architektoniczny rodowód Western State i myślących życzliwie o przemianach i profitach, które jeszcze miały nadejść. Poetka Maggie Smith mówi nam:

Każdy porządny pośrednik,
oprowadzający po górnianej norze, trajkocze
o mocnych fundamentach: To może być piękne miejsce,
prawda? Możesz zrobić z tego piękne miejsce.

Cóż, to jest książka o byciu nieżyczliwym.

Czysta Ameryka to historia ruchu eugenicznego w Wirginii oraz roli, jaką w niej odegrał Western State Hospital. Opowiada jednak również o tym, jak ja dostrzegam tę historię w świecie zbudowanym przez człowieka i w środowisku naturalnym, z którym obcuje na co dzień. Regularne kontakty z Western State pomogły mi dogłębnie zrozumieć, że eugenika nie tylko zmieniała życie wielu ludzi, ale także przeobraziła ziemię oraz geografę. Sprawiała, że wiele instytucji rozwinęło się inaczej, i dała Wirgińczykom pewność siebie, która pozwoliła im przywłaszczać sobie świat fizyczny równie ochoczo, jak kiedyś przywłaszczali sobie ciała jego mieszkańców. Te przemiany przyczyniły się do powstania określonych dóbr

materialnych i zaowocowały wygodnymi metodami uznawania poszczególnych topografii za czyste albo nie. Wszystkie te zmiany miały konsekwencje ekonomiczne i są ściśle powiązane z dzisiejszymi bardzo realnymi zyskami i stratami.

Świat opisany w tej książce to jednak po prostu świat mojej codziennej drogi do pracy. Często wyprawiam się ze Staunton na wschód, w sześćdziesięciopięciokilometrową trasę do Charlottesville. Wiedzie mnie ona obok Western State, przez góry, obok południowego wjazdu do Parku Narodowego Shenandoah, aż do miasta nierozzerwalnie związanego z Uniwersytetem Wirginii. Oto moje krajobrazy, różniące się od siebie pod względem fizycznego otoczenia oraz tego, które warstwy tej historii mogą unaocznić.

W Charlottesville mieszkała na przykład Carrie Buck, główna postać w procesie Buck kontra Bell, zakończonym w 1927 roku legalizacją przez Sąd Najwyższy sterylizacji eugenicznej w całym kraju. Carrie, zgwałconą przez siostrzeńca własnej matki zastępczej, umieszczono w zakładzie, aby rodzina zastępcza uniknęła skandalu związanego z jej ciążą. Później Carrie została pierwszą osobą legalnie wysterylizowaną w Wirginii. Często przejeżdżam obok cmentarza, na którym jest pochowana, i przez dzielnicę, w której mieszkała, zanim osadzono ją w placówce nazywanej wówczas Virginia State Colony for Epileptics and Feebleminded (Wirgińska Stanowa Kolonia dla Epileptyków i Upośledzonych Umysłowo) w Lynchburgu. Wybieram tę trasę, bo to najwygodniejsza droga do deptaka w centrum Charlottesville, gdzie pracuje mój partner Josh.

Ten deptak nadal jest naznaczony przez białych mieszkańców zagarniających terytorium w epoce eugeniki. W 1921 i 1924 roku umieścili tutaj dwa duże pomniki konfederatów. Prawie sto lat później te same pomniki stały się ogniskiem przemocy podczas wiecu Unite the Right w 2017 roku^[1]. Uniwersytet Wirginii, położony mniej więcej półtora kilometra na zachód, był aktywnym uczestnikiem hucznych obchodów towarzyszących odsłonięciu tych pomników. Na początku dwudziestego wieku odgrywał również rolę akademickiej wylęgarni eugeników. Dzisiejsza profesorka tej uczelni Elizabeth Varon nazwała ówczesną uczelnię „inkubatorem ideologii Przegranej Sprawy”^[2]. Ambitni biali

wykładowcy, chętni do poprawiania swojej reputacji, prawdę o własnej genetycznej perfekcji uznawali za prawo naukowe i kształcili studentów, którzy później objęli najwyższe stanowiska polityczne i zdominowali zawody medyczne i prawnicze.

Góry otaczające okolicę, zarówno te, które oglądam po drodze, jak i te witające mnie w oddali, kiedy wracam do domu, cieszyły się uznaniem pierwszych wirgińskich psychiatrów, wierzących, że naturalne piękno działa kojąco na zaburzony umysł. Dwudziestowieczni eugenicy widzieli w nich jednak również złowieszcze terytorium, gdzie roilo się od ludzi uważanych przez nich za „mieszkańców”. Moja trasa biegnie tuż obok skrzyżowania do Parku Narodowego Shenandoah. Od 1935 roku jest on jednym z najważniejszych kół napędowych turystyki w regionie, ale do tego sukcesu konieczne było usunięcie z gór pięciuset rodzin. Wirginia ułatwiła ten proces, posługując się nową formą eksmisji: wywłaszczeniem. Radykalne przepisy przyjęte przez władze stanowe w 1928 roku, aby wspomóc powstawanie parku, uruchomiły reakcję łańcuchową: w góry przybywało coraz więcej ludzi pragnących ustalić, co się stanie z rodzinami zbyt ubogimi, żeby opuściły park samodzielnie. Otóż stało się to, że część z nich umieszczono w placówkach takich jak Western State i Lynchburg Colony.

Staralam się zrozumieć, jak te wszystkie punkty na mojej trasie – miejsca przemocy, supremacji rasowej i wysiedleń – łączą się z poszczególnymi warstwami historii Western State. W Staunton i w odrestaurowanym szpitalu pytania o zyski i straty są zawsze na pierwszym planie. Miejskowa gospodarka zależy nie tylko od turystów przyjeżdżających w pobliskie góry, ale także od tego, czy miejscowość zdoła zadbać o pozytywny wizerunek historyczny. Lokalni agitatorzy przekonują, że zasłużyliśmy na to, aby mroczniejsze rozdziały z przeszłości miasta pozostawić za sobą. Co to jednak znaczy, skoro miejscowa gospodarka wciąż czerpie z nich korzyści?

Spojrzenie na eugenikę z perspektywy różnorodności krajobrazów oraz gospodarki, która się z nimi wiąże, pomogło mi zrozumieć, dlaczego wszyscy akolici eugeniki poruszali się w obrębie podobnych idei, mimo że ich zasadnicze cele i motywacje bywały różne. Dla jednych eugenika

stanowiła element nieugiętej kampanii na rzecz białej supremacji. Dla innych była częściowym rozwiązaniem pozwalającym kontrolować „kłopotliwe” kobiety. Dla wielu było to bardziej niejednoznaczne, oportunistyczne narzędzie pozwalające wirgińskiej elicie czerpać korzyści z ubogich lub pozbawiać ich środków, opowiadając się za biologiczną prawdą o ich bezwartościowości.

Te motywacje, podobnie jak topografie, również nie są jednolite. Nie zawsze też łatwo je zlokalizować. Są wszędzie, ale ponieważ eugenikę najłatwiej zrozumieć dzięki historii idei, a nie miejsc, zarazem nie ma ich nigdzie. Jak to możliwe, że chociaż mieszkam w epicentrum wirgińskiego ruchu eugenicznego, nie ma tu prawie żadnych wzmianek na ten temat? Z tego właśnie paradoksu zrodziła się *Czysta Ameryka*.

Nie chcę jednak sugerować, że *Czysta Ameryka* to tajna historia czegokolwiek. Jak informuje artykuł w „Medium”, „Wirginia prowadziła tajny program eugeniczny, który zakończył się dopiero w 1979 roku”. „Nature” używa określenia „ukryta historia Ameryki”. „New Yorker” namawia, abyśmy przypomnieli sobie „zapomniane lekcje ruchu eugenicznego”. W Wirginii, podobnie jak na całym świecie, nie zapomniano o tych historycznych faktach. Tyle że jeśli chodzi o przeszłość, wpływowi ludzie kierują spojrzenie na sprawy ich zdaniem bardziej zasługujące na opowiedzenie.

Różnica może się wydawać subtelna, ale zapewniam was, że nie jest. Zapominanie jest bierne, organiczne, czasem wręcz delikatne. Celowe zapełnianie wspólnej historii elementami świadomie obliczonymi na złagodzenie dyskomfortu albo ukrycie kontrowersji to działanie umyślne i siłowe.

W odkrywaniu dowodów eugenicznej przeszłości Wirginii w krajobrazie mojej codzienności pomagało mi wykształcenie historyczki, osoby teoretycznie wykształconej do właściwego spoglądania na przeszłość i nazywania jej po imieniu. Mimo tego wykształcenia czułam w Staunton znajomą pokusę. Czy nie byłoby przyjemniej się poddać i zacząć myśleć o szpitalu tylko przez pryzmat pięknej architektury i opowieści o szczęśliwych pacjentach? Bądź co bądź, dawna wersja tego miejsca nie

niosła żadnej treści. Była jedynie skupiskiem zapuszczonych budynków. Czy nadanie im nowej funkcji jest rzeczywiście takie straszne? Czy nie lepiej mieć coś zamiast niczego?

Podobne argumenty były mi znane, a te kwestie nie są bynajmniej rozstrzygnięte, nawet wśród ludzi, którzy na ich roztrząsaniu skupili swoje życie zawodowe. Mogę wam natomiast powiedzieć jedno: przemiana Western State zaczęła we mnie budzić poczucie, które miała na myśli historyczka Kate Brown, gdy pisała: „[...] w pewnym momencie nawet pobojewisko pozostawione przez postęp staje się dochodowe”. Kiedy ożywiamy niektóre historie z przeszłości, a inne odsuwamy na bok, często nadajemy im realną wartość materialną. Nawet jeśli niektóre kwestie pozostaną nierozstrzygnięte, należy uznać tę prawdę. Teraz, ponieważ nie potrafię przejść do porządku nad przeszłością Western State, to miejsce budzi we mnie poczucie, że nie jestem dobrą członkinią lokalnej społeczności, której leży na sercu ekonomiczna przyszłość miasta. Często właśnie tego nie cierpię w nim najbardziej.

Nazywanie eugenicznej przeszłości Wirginii tajną historią neguje również pracę znaczących badaczek i badaczy, którzy dużo napisali o ruchu eugenicznym i jego powiązanych celach. Jedną z tych badaczek była promotorka mojego doktoratu, Pippa Holloway, która w książce *Sexuality, Politics, and Social Control in Virginia, 1920–1945* [Seksualność, polityka i kontrola społeczna w Wirginii w latach 1920–1945] prześledziła zabiegi władz stanowych w zakresie regulacji zachowań seksualnych „niepożądanych” obywateli. Katrina Powell i Sue Currell zbadały i opisały wysiedlenia rodzin z Parku Narodowego Shenandoah. Dwóch czołowych ekspertów w zakresie amerykańskiej eugeniki, Paul Lombardo i Gregory Michael Dorr, na początku kariery uczynili przeszłość Wirginii głównym tematem swych prac. Praca Dorra, *Segregation's Science* [Nauka segregacji], była pierwszą książką, którą przeczytałam ponownie, kiedy przeprowadziłam się do Staunton i zaczynałam odchodzić od zmysłów. Wypytywałam ludzi: „To jest właśnie to Western State, prawda?”, zupełnie jakby w mieście mógł być jeszcze jakiś inny dawny szpital dla umysłowo chorych, którego nie przerobiono na mieszkania za pół miliona.

Ci uczeni, podobnie jak wielu innych, przyglądali się eugenicie z perspektywy prawa, polityki i nauki. Opisywali ją jako zbiór idei i jako przedłużenie stanowej biurokracji. W dwóch przypadkach przyczynili się nawet do stworzenia programów rekompensaty dla ofiar sterylizacji eugenicznej. Pierwszy taki program uruchomiła Karolina Północna w 2013 roku, po części za sprawą pracy historyczki Johanny Schoen, poświęconej stanowej Radzie Eugenicznej. Wirginia podobny program stworzyła w 2015 roku. Również wsparcie ofiar przez aktywistów na rzecz osób z niepełnosprawnością oraz na rzecz praw reprodukcyjnych przyczyniło się do wprowadzenia tych i innych rozwiązań, w tym do zniesienia praw stanowych zezwalających na sterylizację eugeniczną jeszcze w dwudziestym pierwszym wieku. Jednak mimo tych wszystkich działań jako naród dopiero godzimy się z dziedzictwem eugeniki, choć jej korzenie i wczesne zastosowania są dobrze udokumentowane. Jej dziedzictwo wciąż przejawia się w dzisiejszych przepisach imigracyjnych i w komercyjnym systemie opieki zdrowotnej. Leży u podstaw naszej fascynacji genealogią i testami DNA dla każdego. Dostarcza politykom retoryki do dyskusji o pomocy socjalnej. Tak samo jak w przeszłości eugenika jest zarazem wszędzie i nigdzie. Wszystko zależy od tego, jak wnikliwie zechcemy się przyjrzeć mechanizmom funkcjonowania władzy w świecie, w którym dziś żyjemy.

Jeśli jednak historia eugeniki rzeczywiście ma element tajności, oto on: statystyki dotyczące sterylizacji bywają mgliste i można napotkać różnice w podawanych liczbach w zależności od źródła, celu i czasu jego powstania. W kwestii statystyk dotyczących liczby wszystkich wykonanych operacji oraz tych z podziałem na płeć i rasę, zwykle polegam na pracach Gregory'ego Dorra. Należy jednak zaznaczyć, że akta poszczególnych pacjentów, nawet od dawna nieżyjących, wciąż podlegają ochronie na mocy prawa do poufności informacji medycznej. Może właśnie dlatego Wirginia chowała pacjentów Western State anonimowo, wyłącznie z oznaczeniem liczbowym.

Większość moich źródeł archiwalnych mieści się jednak w Bibliotece Wirgińskiej w Richmond i w Zbiorach Specjalnych Uniwersytetu Wirgińskiego w Charlottesville, czyli w miejscach zupełnie nietajnych.

Jedynym dokumentem, jakiego potrzebowałam, aby uzyskać dostęp do tych informacji, była najczęściej zwyczajna wirgińska karta biblioteczna. Kiedy słyszemy hasło „tajny program eugeniczny”, przed oczami staje nam piwnica, w której ktoś ukradkowo przegląda kartony z dokumentami, gdy jego towarzysz pilnuje drzwi. W rzeczywistości siedziałam w wygodnym pomieszczeniu, a dyżurna archiwistka przynosiła mi dokumenty starannie posegregowane dzięki tysiącom godzin pracy.

Dlatego proszę, uwierzcie, że nie zamierzam odkrywać tajemnic. Zależy mi natomiast na umiejscowieniu i przywołaniu eugenicznej przeszłości Wirginii, odnalezieniu jej niczym bladego śladu ołówka w szafie z dzieciństwa, pokazującego, jacy byliśmy kiedyś mali.

Oto prawda o tej książce, którą mogę sobie narobić kłopotów: uważam, że większość eugeników to byli źli ludzie. Nie znajdziecie tu zastrzeżeń, że byli „dziećmi swojej epoki”. Na przykład DeJarnette – jeśli już w Staunton w ogóle mówi się o jego dziedzictwie – często jest dziś przedstawiany jako człowiek kierujący się co prawda pełnymi wad, ale „głęboko humanistycznymi motywami”. Tak wspominało go w lokalnej gazecie w 2014 roku, tym samym, w którym wirgińscy prawodawcy zabiegali o zobowiązanie władz stanowych do ustanowienia odszkodowań dla osób, które przeżyły sterylizację eugeniczną. „Jak pokazują listy do DeJarnette’a przechowywane w archiwach stanowych, ludzie z wielu warstw społecznych odnosili się do niego z ogromnym szacunkiem na płaszczyźnie osobistej i zawodowej”. Mowa o człowieku, który pisał wiersze pełne rozważań, czy Czarni (choć on tak ich nie nazywał) powinni być wpuszczeni do nieba.

Wiem, co mają na myśli osoby starające się ukazać ludzi pokroju DeJarnette’a w takim kontekście. Chodzi im o to, że przekonania na temat właściwego rozplodu i supremacji rasowej podzielała pewna masa krytyczna białych przywódców i inteligentów. Były one tak bardzo zakorzenione, że zastanawiając się nad tym, jak według wpływowych ludzi tamtej epoki powinien działać świat, można je nazwać „typowymi”.

Co jednak powiedziałyby osoby będące celem działań eugenicznych? Czy sugerujemy, że imigranci, którzy w rekordowej liczbie wpadli

w pułapkę tych przekonań, poczuliby się pokrzepieni informacją, że jak ostatecznie dowiodła historia, nie należeli do odmiennego gatunku? Nie. Czy starszym ludziom łatwiej było radzić sobie z przymusową bezdzietnością dzięki zrozumieniu, że lekarze robili, co mogli, ale po prostu byli w błędzie? Też nie. Te osoby powiedziałyby – i rzeczywiście tak mówiły – że to, co im zrobiono, nie miało sensu. Jeśli dziś część z nas umie dostrzec w tym sens, bo nie nas to spotkało, uznajmy to za dar. Nie uprawnia nas to jednak do budowania dziedzictwa na ciągu wymówek.

Nie pozwolę rugać się za to, że mężczyzn w rodzaju Josepha DeJarnette’a, Waltera Pleckera, Aubreya Strode’a czy George’a Pollocka wyobrażam sobie tak, jak ich rozumiem: jako ludzi, którzy zbudowali swój status na władzy nad osobami w trudnym położeniu i czerpali z niej przyjemność. Nie obchodzi mnie, czy ktoś zarzuci mi ów największy grzech historyka: „ocenianie ludzi z przeszłości współczesną miarą”. Nie zgadzam się z poglądem, że w tej historii prawdziwym winowajcą jest czas, że dręczył on ważnych ludzi trudnymi pytaniami – na przykład jak najtaniej wykastrować więźnia – a oni tylko zrzędzeniem losu musieli na nie odpowiadać.

Eugenika maskowała się nowością, umiejętnością przekształcenia starego zła w nowoczesne działania. Że posłużę się określeniem zainspirowanym czymś bardziej lokalnym: eugenika odmalowała na biało kolumny starego budynku wypełnionego gównem, a potem go sprzedała. Bądź co bądź miał mocne fundamenty.

Pod całą wściekłością i wrzaskiem ruchu eugenicznego, pod warstwą języka mówiącego o mieszkańcach, odmieńcach i ułomnych, kryje się zbiór okrutnych, lecz rozpoznawalnych przekonań dotyczących życia, na jakie zasługują ludzie z marginesu. Spojrzenie na eugenikę w szerszej perspektywie, w kategoriach przedsięwzięcia światotwórczego, pomogło mi zrozumieć, że dążenie do czystości ekonomicznej było dla eugeników równie ważne jak czystość rasowa czy genetyczna. Eugenicy z początku dwudziestego wieku optowali za eliminacją osób nieprzystosowanych, ponieważ byli zdania, że ta grupa może odebrać środki ludziom, którzy bardziej na nie zasługują, i obciążyć długami przyszłe pokolenia. Uważali,

że jeśli osiągną swój cel, rentowność ich działań będzie gigantyczna. Uda się odciążyć więzienia, zakłady opieki i urzędy pomocy społecznej oraz zlikwidować konieczność szukania sposobów na zapewnienie przetrwania ludziom, którzy nie mają prawa chodzić po świecie, a jednak po nim chodzą.

Kiedy dziś mówimy o eugenicie, nawet jeśli przywiązujemy wagę do losu ludzi, którzy wpadli w jej sidła, często podkreślamy, że taki świat *próbowali* stworzyć eugenicy. Ram tej perspektywy dostarcza sama eugenika: zawsze chodziło w niej o zbudowanie czegoś z myślą o przyszłości. Nieraz dla własnego komfortu podkreślamy porażkę eugeników. Rozumiemy, że w pewien sposób ich przekonania przetrwały – na przykład w dyskusjach o „królowych socjału”, „imigrantach z górnianych krajów” czy wymogu pracy dla osób otrzymujących świadczenia publiczne. Jak pisze Audrey Farley w eseju o dziedzictwie kulturowym ruchu eugenicznego, dominuje jednak tendencja do „umieszczania eugeniki w dalekiej przeszłości”. Ten nacisk na odległość, na to, że eugenicy „próbowali, ale im się nie udało”, czasem utrudnia spojrzenie na świat, który faktycznie stworzyli, i na to, jak funkcjonuje on dzisiaj.

Dla wielu osób liczy się trwałość tych przekonań. Mam nadzieję, że ta książka unaoczni, jak realny i fizyczny miewa ona wymiar. Pokazując wam mapę swojego świata, chcę również pokazać, w jaki sposób można stworzyć własną. Jak to ujęła Muriel Rukeyser w *Księdze umarłych*: „Te drogi zabiorą cię w głąb twojego kraju”^[3].

Ta książka mówi o tym, co pewnym ludziom odebrano i jak to pomogło w zbudowaniu świata wokół mnie, w Staunton i poza jego granicami. Opowiada również o władzy i bogactwie, które nadal trwają dzięki temu światotwórczemu przedsięwzięciu. Chodzi w niej o to, żeby wyobrazić sobie eugenikę taką, jaka ciągle żyje w miejscach w rodzaju Western State Hospital, buzuje niczym u Rilkego tors Apollina, który „jaśnieje jak kandelabr w chwale, / a w nim wzrok jego, tylko uwięziony, / żyje i świeci”^[4].

„To historia w historii” – powtarzam sobie. A zaczyna się ona następująco.

Matki i córki

Kiedy staniecie na cmentarzu Oakwood w Charlottesville przy grobie kobiety pochowanej jako Carrie Detamore, ale lepiej znanej jako Carrie Buck, otoczenie opowie wam historię. Jej początków szukajcie w miejscach, do których nie musicie chodzić; na zdławionym betonem polu, które odwiedzicie jako nieproszony gość, na łące usianej najdrobniejszymi dowodami śmierci. Skoro stoicie na miejskim cmentarzu, a nie przy zbiorowej mogile, to znaczy, że Carrie nie zmarła w zakładzie, czyli nie pochowano jej tam, gdzie została zamknięta, w przeciwieństwie do jej matki, Emmy. Nie możecie tego wiedzieć, ale ja wam powiem: kiedy Carrie Detamore po raz ostatni odwiedziła grób matki w dawnej Wirgińskiej Stanowej Kolonii dla Epileptyków i Upośledzonych Umysłowo, miała siedemdziesiąt cztery lata. Policzyłam wstecz od dnia, w którym pracownicy pomocy społecznej pokazali Carrie budynek, gdzie wysterylizowano ją pięćdziesiąt siedem lat wcześniej, a wtedy ona na ten widok padła na ziemię.

Nieopodal grobu Carrie jest kwatera rodziny Dobbsów. Kiedy władze stanowe odebrały czteroletnią Carrie matce, jej rodzicami zastępczymi zostali John i Alice Dobbsowie. Tak przynajmniej ujął to sąd. W rzeczywistości Carrie była u Dobbsów gosposią. Ale czym się różniło pozostawanie pod kuratelą władz stanu od bycia gosposią, która i tak nie mogła o niczym decydować? Wszyscy mówili, że biedne dziewczyny muszą pracować szczególnie ciężko. To będzie dla nich ważna lekcja.

Za sprawą Johna i Alice Dobbsów, a potem Sądu Najwyższego Carrie dostała następującą lekcję: mężczyzna może cię zgwałcić, a karę poniesiesz ty, znikniesz w tym samym miejscu, które wcześniej pochłonęło twoją matkę. Gdy Carrie miała siedemnaście lat, została zgwałcona przez

siostrzeńca Alice Dobbs, Clarence'a Garlanda, i zaszła w ciążę. Dobbsowie, pragnący uniknąć skandalu, szybko odkryli, że w 1924 roku równie łatwo oddać ubogą młodą kobietę do zakładu, jak zrobić z niej gosposię w wieku dziesięciu lat. Początkowo John i Alice udawali, że Carrie cierpi na epilepsję; to nieuczciwa, ale logiczna strategia, żeby uczynić z niej odpowiednią kandydatkę do Kolonii dla Epileptyków i Upośledzonych Umysłowo. Udawanie nie było jednak konieczne. W przypadku Carrie, biednej białej dziewczyny ze złej rodziny, wystarczającym kryterium przyjęcia było to, kim jest: owocem i nosicielką złych genów.

Kiedy teraz odwiedzam cmentarz Oakwood, nigdy nie zatrzymuję się przy grobie Alice Dobbs. Nie lubię się zastanawiać, co było dla niej bardziej przykre: to, że jej siostrzeniec zgwałcił Carrie, czy to, że musiała stracić gosposię, aby ukryć jej ciążę?

W Lynchburg Colony życie Carrie stało się w końcu przedmiotem zainteresowania prawa. Wirginia posłużyła się jej przykładem, żeby dowieść, że przyjęta w 1924 roku stanowa ustawa sterylizacyjna spełnia wymogi konstytucyjne. „Jeśli zostanie wysterylizowana zgodnie z prawem – argumentowano – może odzyskać wolność i, pod nadzorem, znaleźć sobie dobry dom, bez szkody dla społeczeństwa”. Zgodnie z tą logiką Carrie dzięki sterylizacji byłaby bezpieczniejsza dla osób z jej otoczenia. Stałaby się również lepszą pracownicą: jej wydajności nie zakłócałyby dzieci. W 1927 roku Sąd Najwyższy podzielił ten pogląd. „Trzy pokolenia imbecyli wystarczą” – orzekł sędzia Oliver Wendell Holmes Jr., który później w prywatnych listach chełpił się swoim „brutalnym” uzasadnieniem wyroku.

Kiedy stoimy przy jej grobie na cmentarzu Oakwood, odsłania się przed nami prawda zarazem głęboka i trudna do wyobrażenia: że Carrie przeszła przez to wszystko, a wręcz miała długie życie. Zmarła w 1983 roku. Ale jakie było to życie? Już kilka tygodni po operacji rozpoczęła pracę w tartaku pod nadzorem Lynchburg Colony. Nadzór nie ustał, kiedy zatrudniła się później jako gosposia. Pojawił się mąż, potem umarł. Później Carrie powtórnie wzięła ślub. Były ogródki, świnki i spotkania z zaginionym rodzeństwem.

W kwaterze Dobbsów stoi niewielka tablica z inicjałami VAED. Leży tam córka Carrie, Vivian. Dobbsowie adoptowali ją po oddaniu Carrie do Lynchburg Colony, zapewne z poczucia winy albo wstydu. Ze względu na to, kim były jej biologiczna matka i babka, Sąd Najwyższy uznał Vivian za „dziecko nieprawowite, upośledzone umysłowo” od urodzenia. Zmarła na zapalenie okrężnicy jako ośmiolatka, fantomowa przedstawicielka trzeciego pokolenia rodziny imbecyli, którzy wcale nie byli imbecylami. Po prostu byli biedni.

Wkrótce po śmierci Carrie teoretyk prawa Paul Lombardo odnalazł wykazy ocen Vivian z publicznej szkoły podstawowej imienia Venable’a w Charlottesville. Wynika z nich, że miała ona dobre osiągnięcia w różnych przedmiotach, co należy uznać za nie lada dokonanie w przypadku dziewczynki wychowanej w domu, w którym z pewnością postrzegano ją jako ciężar.

Siedemdziesiąt pięć lat po tym, jak Sąd Najwyższy przypieczętował los Carrie, władze Wirginii umieściły w pobliżu szkoły imienia Venable’a tablicę pamiątkową z takim napisem:

W 1924 roku Wirginia, jak większość stanów w tamtym czasie, przyjęła przepisy o sterylizacji eugenicznej. Wirgińskie prawo zezwalało na poddawanie ludzi operacjom w zakładach stanowych, aby zapobiec poczęciu, jak uważano, „genetycznie gorszych” dzieci. Na pierwszą osobę wysterylizowaną w myśl nowego prawa wybrano urodzoną w Charlottesville Carrie Buck (1906–1983), umieszczoną wbrew jej woli w zakładzie stanowym pod Lynchburgiem. 2 maja 1927 roku Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych zatwierdził wirgińskie przepisy wyrokiem w sprawie Buck kontra Bell. Po Carrie Buck sterylizacji poddano jeszcze ponad osiem tysięcy osób z Wirginii, zanim najważniejsze fragmenty ustawy uchylono w 1974 roku. Później dowiedziono, że Buck i wiele innych osób nie miało żadnych „wad dziedzicznych”. Została pochowana na południe stąd.

Jeśli podniesiecie wzrok znad grobu Carrie i skierujecie go na wzgórze nad cmentarzem, może dostrzeżecie błysk słońca odbijającego się od ciemnego szkła i jasnego kamienia nowych domów. Miejscowi rozpoznają charakterystyczną architekturę dzisiejszego Charlottesville: nowocześnie wąskie dwu- lub trzypiętrowe klocki, rozmieszczone równie starannie jak

nagrobki w dole. Te widoczne od grobu Carrie kosztują pięćset tysięcy dolarów.

Ich niewielka odległość od starego cmentarza może się wydawać osobiwa, ale bez trudu ją wytłumaczę: w Charlottesville kończy się miejsce na nowe domy, bo plany zagospodarowania przestrzennego, dawniej chroniące białe osiedla przed czarnymi mieszkańcami, dziś hamują rozwój miasta. Kiedy użyteczne tereny stają się coraz bardziej deficytowe, dom milionera powyżej cmentarza nie jest niczym dziwnym. Ale gdzie trafiają pozostali?

Stojąc teraz na cmentarzu, możecie mieć nadzieję, że dzisiejsze Charlottesville różni się od miejsca, w którym w 1906 roku przyszła na świat Carrie Buck. Otoczenie jednak powie wam, że nic się tu nie zmieniło. Oto lekcja, którą czerpiemy od Carrie, kaprys losu przypadkowo, ale jednoznacznie wyrażony przez topografię małego zakątka miasta: na górze są bogaci, a na dole biedni, i choćby się wydawało inaczej, nigdy nie będą sobie równi, nawet po śmierci.

Eugenika to zbiór przekonań naukowych i filozoficznych, których celem jest płodzenie lepszych ludzi. Tak jak rolnik doskonali trzodę przez selektywny chów i ubój, tak eugenika podejście rodem z farmy wprowadziła do sypialni.

Eugenika miała wielu ojców. Sir Francis Galton, statystyk, wynalazca i kuzyn Charlesa Darwina, ukuł to określenie w 1883 roku i dostarczył nowego języka do dyskusji nad kwestią, która tliła się od dawna, najpierw w Anglii, a potem w Ameryce: skąd się bierze taka wyraźna różnica między klasą wyższą a niższą? Galton przekonywał, że pierwiastek geniuszu to najprawdopodobniej cecha rodzinna, przekazywana z pokolenia na pokolenie. Jak na przedstawiciela arystokracji nie była to teza przełomowa. Galtona jednak wyróżniało stwierdzenie, że ów geniusz da się zmierzyć i prześledzić z naukową precyzją.

Potem, na przełomie wieków, świat nauki odkrył na nowo dorobek dziewiętnastowiecznego zakonnika Gregora Mendla. Reguły, które dzisiaj nazywamy prawami Mendla, zakładały przewidywalność dziedziczenia cech rodziców przez potomstwo. Za sprawą prac późniejszych naukowców

właściwości przez Mendla nazywane „czynnikami” zmieniły się w „geny”, a akolici Galtona zdołali rozciągnąć jego pierwotne teorie na obszary, do których geniusz Galtona pierwotnie nie sięgał, również jeśli chodzi o funkcjonowanie w praktyce głoszonych przez niego idei na temat rodziny i rodowodu.

Prawa Mendla pozwoliły rosnącym zastępom naukowców, zwłaszcza biologów i agronomów – tym, którzy hodoją – głosić pogląd, że to nie środowisko, a wady genetyczne są główną przyczyną niepożądanych efektów na płaszczyźnie osobniczej i społecznej. Do najbardziej wpływowych przedstawicieli tego grona należał Charles Davenport, biolog wykształcony na Harvardzie. W 1904 roku został dyrektorem laboratorium w Cold Spring Harbor w stanie Nowy Jork, należącego do Instytutu Carnegiego. Laboratorium powstało, żeby badać cechy dziedziczne u roślin i zwierząt, ale Davenport prędko przestawił się na dziedziczność u ludzi. Początkowo za pomocą genetyki mendlowskiej analizował cechy widoczne, takie jak kolor oczu i skóry, wkrótce jednak razem z żoną Gertrude znalazł dużo subiektywniejszą sferę badań: dziedziczenie temperamentu, uzdolnień muzycznych, predyspozycji sportowych i „osobliwości umysłowych”.

Dokonania pierwszych eugeników cechuje atmosfera rywalizacji: każdy próbował przebić pozostałych znalezieniem najbardziej „obłąkanej” rodziny, na której mógłby testować swoje teorie. Ich prace to często po prostu mocno fabularyzowane światy zaludnione, cytując Davenporta, przez „nierządne alkoholiczki”, „rozwiązłe kobiety” i „pozbawionych ambicji, rozpasanych mężczyzn”. Siebie natomiast eugenicy postrzegali jako konie wyścigowe, pracowite zwierzęta u szczytu sprawności, mające spłodzić kolejne pokolenie społecznych zwycięzców. W książce *White Trash. The 400-Year Untold Story of Class in America* [Biała hołota. 400 lat przemilczanej historii klasy w Ameryce] historyczka Nancy Isenberg pisze: „Eugenicy niczym mantrę powtarzali porównanie dobrego ludzkiego nasienia do koni czystej krwi, przypisywali osobom dobrze urodzonym nieprzeciętne zdolności i odziedziczoną sprawność”. Dziś język tak zwanej teorii konia wyścigowego odbija się w niektórych elementach samooceny Donalda Trumpa. „Miałem dobre geny, więc byłem bardzo ambitny” –

mówi Trump w zestawieniu swoich najlepszych wypowiedzi o „dobrych genach” umieszczonym na stronie magazynu „Time”.

W 1910 roku Davenport z kolegami założyli Eugenics Record Office (Biuro Dokumentacji Eugenicznej), stanowiące przedłużenie działalności laboratorium w Cold Spring Harbor. Wszystkie ich przedsięwzięcia finansowały rodziny magnatów, takich jak Rockefellerowie, Carnegie, Kellogowie czy Harrimanowie, uważające, że ich majątek powinien służyć rozwiązywaniu problemów społecznych, zamiast po prostu wracać do obiegu w ramach akcji charytatywnych (lub w formie godziwych wynagrodzeń dla pracowników ich firm). Rok później Davenport opublikował książkę *Heredity in Relation to Eugenics* [Dziedziczność w odniesieniu do eugeniki], w której pisał: „Człowiek jest organizmem – zwierzęciem; i prawa, które rządzą poprawą jakości kukurydzy czy koni wyścigowych, stosują się również do niego. Jeśli nie przyjmie się tej prostej prawdy i nie uwzględni jej przy dokonywaniu wyborów matrymonialnych, ludzki postęp ustanie”.

Chcąc, aby jego dokonania trafiały zarówno do społeczności naukowej i jego bogatych sponsorów, jak i do amerykańskiego społeczeństwa, Davenport przedstawiał eugenikę jako naukę partycypacyjną, otwartą na „tysiące inteligentnych Amerykanów kochających prawdę”, jak pisał w *Heredity in Relation to Eugenics*. Partycypacja zwyczajnych Amerykanów mogła polegać na wypełnianiu kwestionariuszy genetycznych, które Biuro Dokumentacji Eugenicznej rozsyłało w celu gromadzenia danych z całego kraju. Obywatele mogli też wspierać władze w wysiłkach na rzecz powstrzymania rozplodzenia „ułomnych i przestępców”. „W ruchu eugenicznym może uczestniczyć każdy” – zapewniał Davenport, a Biuro Dokumentacji Eugenicznej działało zgodnie z tą myślą jako ośrodek nerwowy krajowego ruchu aż do likwidacji w 1939 roku.

Eugenika miała warianty pozytywne i negatywne. Chodzi tu nie o kryteria moralne, ale pragmatyczne. Eugenika pozytywna obejmowała strategię popularyzacji rozmnażania wewnątrz grona, które zwolennicy tej filozofii uważali za przedstawicieli dobrych genów. Organizowano między innymi konkursy ludzkiego inwentarza nazywane „zawodami lepszych dzieci” i zachęcano rodziców, aby przywozili swoje maluchy na stanowe

festyny, gdzie oceniano je zgodnie z nowo opracowanymi standardami rozwojowymi. Eugenika pozytywna przyjmowała również subtelniejsze formy. Na przykład w czasach Nowego Ładu rząd zatrudniał eugeników w agencjach, które oceniały kandydatów do nowych form pomocy społecznej, takiej jak subwencje mieszkaniowe. Rodziny lepiej przystosowane częściej otrzymywały państwowe przywileje.

Z kolei eugenika negatywna opisywała strategie ograniczania rozrodczości. Preferowano sterylizację, ale zanim ją zalegalizowano, eugenicy stosowali w tym celu również długotrwałe, nadzorowane przez władze stanu odosobnienie „nieprzystosowanych” kobiet na okres wieku rozrodczego. Z czasem jednak koszty długotrwałej izolacji przyczyniły się do poparcia sterylizacji. Inną regularnie stosowaną formą eugeniki negatywnej były ograniczenia imigracyjne. W 1920 roku Biuro Dokumentacji Eugenicznej wystąpiło do Kongresu o zatamowanie imigracji, żeby chronić narodową pulę genów. Kongres odpowiedział w 1924 roku szeroko zakrojoną reformą prawa imigracyjnego, całkowicie zakazującą imigracji z Azji i wprowadzającą system kwotowy, który w niekorzystnej sytuacji stawiał imigrantów z Europy Południowej i Wschodniej. Dziś Stany Zjednoczone próbują przywrócić restrykcyjny system imigracyjny pod dyktando prezydenta, który w 2018 roku pytał nadąsany: „Dlaczego przyjeżdża do nas tylu ludzi z tych gównianych krajów?”^[5].

James Bowman, emerytowany profesor Pritzker School of Medicine z Chicago, uważa, że przydatną kategorią do opisania innych metod, bliższych nam czasowo, może być „eugenika pasywna”. Często przyjmuje ona formę ograniczania zasobów, w przytłaczającym stopniu pogarsza jakość życia osób o niskich dochodach i nieraz jest motywowana rasowo. W modelu Bowmana przykładami eugeniki pasywnej są między innymi komercyjny system opieki zdrowotnej oraz stałe ograniczanie nakładów na programy na rzecz zdrowia osób ubogich. Jak pisze Bowman: „Przymus pośredni i bezpośredni w zakresie ubezpieczenia zdrowotnego, ubezpieczenia na życie oraz zatrudnienia to niemal pewna droga ku zawołowanej eugenicie”.

Ponieważ filozofia eugeniczna uznawała pierwszeństwo kontroli państwa przed osobistym wyborem, wśród najczęściej stosowanych metod brakowało antykoncepcji czy aborcji. Eugeników przeraziłaby myśl, że ich ambicje doskonalenia ludzkiego gatunku mogłyby zależeć od pragnień i potrzeb poszczególnych kobiet (tak biednych, jak i bogatych). Clarence Thomas^[6], który dziś porównuje współczesnych zwolenników bezpiecznej aborcji do dawnych eugeników, jest w błędzie. Kluczowe strategie eugeniki negatywnej zawsze polegały, i polegają do dziś, na odgórnej kontroli całych grup ludności.

To, dlaczego eugenika zyskała olbrzymią popularność na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku, oraz czym konkretnie przejawiała się ta popularność w Wirginii, to dwie odrębne, choć powiązane kwestie.

Początek dwudziestego wieku to w Ameryce czas budowania państwa i rozwiązywania problemów. Sztampowy podręcznik historii nazwie ten czas erą postępową, okresem historycznym znanym z tego, że zrodził nielicznych zwycięzców i wielu przegranych. Był to czas monopolu i *robber barons*^[7], Ameryki pompującej krew przez serce maszyny. Epoka, w której ludzie wiedzieli, „jak żyje druga połowa”, i w której znaleźli się w „dżungli”^[8]. Okres imigracji na bezprecedensową skalę, czas Lewisa Hine’a fotografującego pięcioletnich robotników w zakładach włókienniczych i Idy B. Wells oplakującej Thomasa Mossa, zlinczowanego w Memphis^[9].

Mówiąc szerzej, era postępową to okres pełnej industrializacji Ameryki. Chęć zrewolucjonizowania i wykorzystania nowych, współczesnych nauk i technologii przejawiała się różnorako. Do najczęstszych przykładów należą zmiana charakteru pracy oraz pojawienie się tanich, seryjnie produkowanych dóbr. W roli dominujących aktorów ekonomicznych właściciel fabryki i przemysłowiec zastąpili kupca i rolnika. Życie pracowników, nie wspominając już o ludziach niezdolnych do pracy, stało się jednak mniej cenne od towarów, które wytwarzali. Reformatorzy patrzyli na swoje miasta i widzieli świat zżerany biedą, chorobami i przestępczością. Wielu usiłowało interweniować, wychodziło z propozycjami działalności dobroczynnej albo radami w zakresie zdrowia

i higieny, ale ich starania były jak walka z wiatrakami. Niektórzy zaczęli myśleć, że być może to nie społeczeństwo zawodzi ubogich, ale ubodzy zawodzą społeczeństwo.

W latach 1880–1930 do Ameryki przybyło również około dwudziestu ośmiu milionów imigrantów. Wśród nich najwięcej było osób z państw Europy Południowej i Wschodniej, osiedlających się w i tak już przeludnionych miastach. Antyimigracyjni bojownicy uważali te grupy za „obce pod względem krwi, języka i tradycji politycznej i społecznej”, jak przekonywał w 1902 roku William Blackman, profesor Uniwersytetu Yale. Natywiści w rodzaju Blackmana argumentowali, że plaga imigrantów pod każdym względem osłabi Amerykę, bo przyczyni się do rozrostu podklasy społecznej. Pozbawi pracy obywateli, obciąży przytułki dla ubogich w całym kraju, a nawet zanieczyści go przez rozprzestrzenianie wadliwych genów.

Niektórzy reformatorzy widzieli w tej fali emigracji wręcz niepokojące odwrócenie postępu ewolucyjnego. Jak twierdzili, nieprzystosowani przeżywają kosztem najsprawniejszych – ten zupełnie zmyślony trend socjolog Edward A. Ross nazwał w 1901 roku „samobójstwem rasowym”. Zgodnie z takim stanowiskiem społeczeństwo osiągnęło punkt krytyczny, po którym element niepożądany zaczął przewyższać liczebnie wartościowych białych obywateli. Liczebność tej pierwszej grupy rosła z każdym dniem, za sprawą narodzin oraz imigracji. Niosła za sobą chaos ubóstwa, chorób i przestępczości. Ameryka przełomu wieków, tak niegościnna, że dobre rodziny zaczynały eliminować nawet same siebie, stanowiła zaś tylko przedsmak koszmaru, który dopiero miał nadejść. Eksperci tacy jak Ross ostrzegali, że jeśli nie podejmie się zbiorowego wysiłku, degeneracja weźmie się w głąb amerykańskiego krwiobiegu i rodzaj ludzki utknie na atawistycznej ścieżce, którą można się tylko cofać.

W tej mrocznej wizji przeświecał jednak promień optymizmu: skoro współczesność przyczyniła się do powstania problemu, może również stworzyć rozwiązanie. Tak właśnie rozpoczęły się starania Ameryki, żeby stać się narodem zwierząt lepszej krwi.

Spełniły się nadzieje Charlesa Davenporta i kraj na oszałamiającą skalę zaakceptował eugenikę jako narzędzie poprawy sytuacji społecznej.

Eugenika koła amerykańskie niepokoje obietnicą, że choroby społeczne, podobnie jak te zwykłe, da się wyleczyć. Da się zmniejszyć liczbę cierpiących na nie pacjentów. W pierwszych dekadach dwudziestego wieku Amerykanie sławili eugenikę na jarmarkach stanowych, uczestniczyli w konkursach sprawniejszych rodzin i oglądali filmy z motywami eugenicznymi. Setki uniwersytetów w całym kraju na podstawie programów opartych na eugenicie kształciły kolejne pokolenie lekarzy i pracowników opieki społecznej. Zdecydowana większość osób, które w taki sposób zaaprobowaly eugenikę, była biała, ale również część czarnych przywódców dostrzegała przydatność jej zasad, chociażby tylko po to, aby nauczyć się języka niezbędnego do rozmowy z białymi.

W samej Wirginii ambicje związane z poprawą warunków społecznych spletały się także w ścisły sposób z szerzej zakrojoną ideą poprawy życia na Południu. Jak biali reformatorzy z Wirginii mogli wesprzeć wspólny wysiłek na rzecz odbudowy południowej tożsamości i zarazem pokazać, że okrutną przeszłość pozostawili za sobą? Była to kwestia delikatna, również dlatego, że w znacznej mierze owo rozstanie z przeszłością miało charakter kosmetyczny. Jak przekonuje Gregory Dorr, wirgińscy przywódcy, przyjmując zasady eugeniki, mogli mieć ciastko i zjeść ciastko. Rasistowskie i seksistowskie podwaliny tej filozofii umacniały tę hierarchię społeczną, którą ich zdaniem należało zachować, ale ogromną zaletą było to, że dzięki eugenicie te starania można było przedstawiać jako nowoczesne i naukowe, zgodne z duchem czasu i postępu.

Jeżeli chcemy poznać Wirginię w czasach Carrie Buck, mamy do dyspozycji wiele drzwi. Ostatnio swoją książkę *Imbeciles. The Supreme Court, American Eugenics, and the Sterilization of Carrie Buck* [Imbecyle. Sąd Najwyższy, amerykańska eugenika i sterylizacja Carrie Buck] Adam Cohen rozpoczął w „schludnym domu” Dobbsów przy Grove Street w Charlottesville. Paul Lombardo zaczyna od sądu okręgowego w Amherst w Wirginii, gdzie odbył się pozorowany proces, który decyzję o losie Carrie Buck miał posunąć o krok w stronę Sądu Najwyższego. Gregory Dorr zaczyna od Thomasa Jeffersona, założyciela Uniwersytetu Wirginii i ukochanego syna tego stanu. W *Uwagach o państwie Virginia* Jefferson posłużył się rozumowaniem zbieżnym z teorią dziedziczności, żeby dać

wyraz „naturalnym różnicom” między rasami. Rozprawiając nad tym, dlaczego rolnik z rozmysłem rozmnaża zwierzęta, ale na poziomie społeczeństwa nie robi się tego samego z ludźmi, opierał się, jak to określa Dorr, na „analogii między gospodarstwem a sypialnią, w której miały swój początek wszystkie koncepcje eugeniczne”.

No cóż, skoro sypialnia jest dostatecznie dobra dla Thomasa Jeffersona, zacznijmy w sypialni.

27 września 1916 roku ubogą białą kobietę, Willie Mallory, aresztowano w sypialni jej domu w dzielnicy Fulton w Richmond w stanie Wirginia. Następne dwa lata to rozpad jej rodziny. Państwo Mallory cały czas twierdzili, że zatrzymanie było elementem policyjnej prowokacji. Opowiadali, że funkcjonariusz udający, że chce wynająć pokój, podstępem wszedł do domu z zamiarem aresztowania Willie za prostytutkę, gdy tylko zaprowadzi go w pobliże sypialni.

Zamiast postawić ją przed sądem, władze stanu nakazały umieścić Willie w Wirgińskiej Stanowej Kolonii dla Epileptyków i Upośledzonych Umysłowo w Lynchburgu, około stu sześćdziesięciu kilometrów na zachód od Richmond. W tej kolonii zamknięto jednocześnie jej dwie nastoletnie córki, Jessie i Nannie. Pół roku później Willie i Jessie poddano operacjom, po których stały się bezpłodne. Dyrektor kolonii, Albert Priddy, twierdził, że bezpłodność to tylko skutek uboczny zabiegów niezbędnych, aby wyleczyć te kobiety z innych dolegliwości reprodukcyjnych. W 1918 roku rodzina Mallorych wytoczyła proces o odszkodowanie za nielegalną sterylizację Willie oraz o odzyskanie młodszych dzieci, które po zatrzymaniu Willie trafiły do rodzin zastępczych. Według Paula Lombardo i Gregory’ego Dorra pozwy złożone przez Mallorych przyczyniły się do zebrania wśród prawodawców i lekarzy poparcia dla uchwalenia przepisów stanowych zezwalających na sterylizację eugeniczną.

Opowiadam wam o Willie i jej córkach, bo w ich historii pojawiają się takie postawy i typy postaci, które do czasu przymusowej sterylizacji Carrie Buck w Lynchburg Colony w 1927 roku staną się aż nazbyt znajome. Mówię jednak o Willie również dlatego, abyście zrozumieli, jak wyglądały

te zachowania i osoby, kiedy nie wykazywały się wzorową postawą, kiedy jeszcze do pewnego stopnia działały potajemnie.

Los Carrie Buck był okrutny, ale w 1927 roku – również typowy. Między aresztowaniem Willie Mallory a sterylizacją Carrie Buck Wirginia miała sześć lat, żeby przygotować się do analizy – wyszykować ekspertów, zebrać najlepszych prawników i przedstawić argumenty gromadzone przez dziesięciolecia. Carrie Buck była bierną uczestniczką postępowania wszczętego w jej imieniu – rolę jej pełnomocników prawnych odgrywali po prostu przedstawiciele kolonii grający na rzecz drugiej strony, którzy mieli dopilnować, by interes Carrie wypadł przed sądem nieprzekonująco. Natomiast rodzina Mallorych zaskoczyła władze. Albert Priddy był wściekły, że musi usprawiedliwiać swoje działania i odpowiadać na zarzuty ze strony ludzi, których uważał za zdegenerowanych i ułomnych. Akta sądowe Willie są pełne dąsów Priddy'ego i innych podobnych ekspertów. Mnóstwo tam ich podłości, począwszy od samego umieszczenia tej kobiety w zakładzie.

Lynchburg Colony utworzono w 1910 roku jako ośrodek dla mężczyzn z epilepsją. Zaledwie rok później Priddy rozpoczął reorientację placówki w celu powstrzymania – jak wielokrotnie to nazywały władze stanowe – „zagrożenia ze strony upośledzonych umysłowo”. Kim był ktoś upośledzony umysłowo? Istnieje kilka definicji z epoki, a chyba najzwężlejsza z nich mówi, że to ktoś „dziedzicznie defektywny w zakresie zdolności umysłowych”. W grupie upośledzonych umysłowo mieściły się wszystkie osoby – zakłócające porządek, dopuszczające się przestępstw czy rozwiązań – które społeczeństwo w jakiś sposób uznało za bezproduktywne.

Ja jednak wolę definicję „upośledzonego umysłowo” stosowaną przez władze stanu Wirginia. State Board of Charities and Corrections (Stanowa Rada ds. Dobroczynności i Resocjalizacji) już w 1915 roku stwierdziła, że jest to ktoś „aspołeczny w sposób trwały i kosztowny”.

Określenie „trwały” odzwierciedla dominujące w tej epoce nastawienie wobec osób postrzeganych jako kłopotliwe. Czerpiąc z ówczesnych teorii karnych, eugenicy uważali, że poprawa jest możliwa tylko w nielicznych przypadkach. Ich metody w znacznej mierze skupiały się więc na odseparowaniu dobrych od złych. Wirgińska definicja pomaga nam również

zrozumieć, dlaczego ludzi sklasyfikowanych jako „upośledzonych umysłowo” uznawano za tak niebezpiecznych. Źródło ich szkodliwości – przyczyna hamowania przez nich rozwoju społeczeństwa – tkwiło w tym, że byli „kosztowni”. Płacił za nich ktoś inny i ten dotkliwy dług miały dziedziczyć przyszłe pokolenia.

Tworząc tę grupę, eugenicy umyślnie wpisali w nią pewien błąd w matrixie: w przypadku białych do stwierdzenia, czy ktoś jest upośledzony umysłowo, nie wystarczyło go obejrzyć, porozmawiać z nim lub obserwować go przy pracy. Dla niewprawnego oka takie osoby były nieodróżnialne od uznawanych za „normalne”. „Ci ludzie – ostrzegwały władze stanu – nie posiadają stygmatów, które są właściwe niższej klasie ułomnych mentalnie, i nie da się ich łatwo rozpoznać”. Lęk przed niewidzialnym skażeniem służył eugenikom za silne narzędzie gromadzenia wpływów wokół swoich przekonań, a jednocześnie pozwalał wypaczać rzeczywistość dla ukrycia faktu, że często brali ludzi na cel na podstawie domniemyanych wad charakteru.

Aby w razie potrzeby mierzyć i szacować niedostatki zdolności umysłowych, eugenicy posługiwali się wersją testu inteligencji Simona-Beneta, zaadaptowaną przez psychologa Lewisa Termana, który raczej nie ukrywał, że pozmieniał ją tak, żeby łąpać w sidła tak zwane osoby upośledzone. W 1916 roku pisał, iż ma nadzieję, że jego działalność „ostatecznie zaowocuje ograniczeniem reprodukcji upośledzenia umysłowego oraz eliminacją ogromu przestępstw, ubóstwa i niewydajności”. Wyniki testów dostarczały eugenikom informacji pozwalających na dalszą kategoryzację członków tej grupy, klasyfikowanie ich jako „idiotów”, „imbecyli” i „debili”.

Odwołanie Termana do „niewydajności przemysłowej” również jest znaczące. Władze Wirginii swoimi nowymi metodami zapędziły się w kozi róg. Aby powstrzymać białe osoby upośledzone od rozmnażania się, musiały je jakoś izolować. Z perspektywy ekonomicznej pozbawianie ich wolności było marnotrawstwem. Problemu nie dało się jednak rozwiązać przez izolację mniejszej liczby ludzi, bo wtedy upośledzeni mogliby w nieskrępowany sposób siać chaos w społeczeństwie.

I tak właśnie narodziła się Lynchburg Colony. Jej matką był dom pracy przymusowej, ojcem – zakład dla obłąkanych.

Swoje aspiracje związane z kolonią władze Wirginii sformułowały w specjalnej publikacji pod tytułem *Mental Defectives in Virginia* [Ułomni umysłowo w Wirginii], przygotowanej przez Stanową Radę ds. Dobroczynności i Resocjalizacji w 1915 roku, na rok przed przybyciem Willie Mallory do Lynchburg Colony. Raport zawiera entuzjastyczną ocenę podobnej instytucji z Massachusetts. Podkreślono wydajność, pracowitość i porządek, które tam panowały:

W pralni napotkaliśmy 70 pracujących kobiet, z których 60 było umysłowo w wieku od 3 do 10 lat. Niektóre pacjentki nabrały ogromnej biegłości w tkactwie; w minionym roku utkały 4000 jardów mat i dywanów. W szwalni dziewczęta w wieku umysłowym od 6 do 10 lat uwijały się z igłami i obsługiwały maszyny do szycia. W ubiegłym roku wykonały 1200 sukienek, 6000 koszul i 2000 skarpet. Potrafią również prząść, robić na drutach i są zręczne w koronkarstwie. Na terenie gospodarstwa widzieliśmy 40 pacjentek niskiego sortu, w wieku umysłowym od 4 do 5 lat, które oczyszczały teren – wykopywały pniaki i wybierały kamienie. Inne, w wieku umysłowym od 6 do 9 lat, pracowały razem z nimi: orały i zajmowały się cięższymi pniakami.

Czy swoją populację upośledzonych umysłowo Wirginia potrafiła uczynić równie „wydajną ekonomicznie” jak Massachusetts? Może nawet wydajniejszą. W tym samym raporcie zwrócono uwagę na to, że wirgińskie więzienia zarabiają na sprzedaży pracy więźniów. „Zakład karny co roku osiąga zyski – podkreślały władze stanu. – W kolonii też można by zarabiać dużo”.

Jak przekonywano, upośledzeni umysłowo na zawsze pozostaną aspołeczni. W odpowiednich warunkach mogą jednak być mniej kosztowni, a może nawet przynieść zysk. Dwa lata później, w pozwie o zwolnienie Nannie z Lynchburg Colony, rodzina Mallorych twierdziła, że kobieta jest tam przetrzymywana nie ze względu na jej stan zdrowia, ale na wykonywaną pracę. „Nannie Mallory jest zdrowa psychicznie, a nie upośledzona – czytamy w pozwie – i w rzeczywistości wykonuje pracę przymusową, zatrudniona obecnie, jak od początku uwięzienia, jako służąca bądź pielęgniarzka w rzeczonej Kolonii dla Upośledzonych Umysłowo bez wynagrodzenia – wbrew zapisom konstytucji Stanów Zjednoczonych”.

Zanim Willie, Jessie i Nannie zabrano do Lynchburg Colony, Mallory wyglądali jak każda duża rodzina – ośmioro dzieci w domu, dwoje pracujących rodziców i dwie nastoletnie córki zarabiające na życie, a także starsza kobieta, przyjaciółka rodziny, partycypująca w kosztach jako lokatorka. Mąż Willie, George, z wyboru albo z konieczności pracował poza Richmond przy piłowaniu drewna, ale na weekendy wracał do domu. Nie było łatwo o pieniądze i stabilność, ale podczas procesu udało im się zebrać wielu świadków środowiskowych, którzy zeznali, że rodzina Mallorych cieszy się ogólnym szacunkiem.

Mallory przybyli do Richmond stosunkowo niedawno, a wcześniej mieszkali w wiejskim osiedlu na jego obrzeżach. Przeprowadzka do miasta oznaczała kontakt z systemem. Pewnego razu George za dużo wypił i dostał upomnienie. Willie straciła dziecko podczas trudnego porodu i ze względu na dolegliwości dłużej została w szpitalu. Niedługo przed jej aresztowaniem w 1916 roku w domu rodzinnym wybuchł pożar i Mallory otrzymali od prywatnej organizacji dobroczynnej niewielką sumę na opłacenie w nowym miejscu miesięcznego czynszu. George myślał, że spłacił ten dług; zeznał później, że poszedł rąbać drewno u człowieka, który zarządzał tą organizacją, więc uznał, że są kwita. Kontakt z organizacją dobroczynną mógł jednak okazać się kluczem do straszliwego świata, w który potem ich wepchnięto; Mallory przyjęli pieniądze, co oznaczało, że stali się ciężarem.

Patrząc na rodzinę taką jak Mallory, władze stanowe widziały chaotyczną, uciążliwą jednostkę, którą można podzielić na wydajniejsze elementy. I tak właśnie zrobiły. Sześcioro nieletnich dzieci umieszczono w rodzinach zastępczych, a trzy kobiety na czas nieokreślony osadzono w miejscu, w którym nie mogły zająć w ciążę, ale mogły pracować.

Nazajutrz po aresztowaniu niejaka Sarah Roller, pracownica sądu w Richmond, poinformowała Willie, że po południu zostanie ona zabrana na krótkie spotkanie z dziećmi. Willie, jak później opowiadała, nie posiadała się z radości. Usiłowała zadbać o wygląd, aby ukryć fakt, że ma na sobie więzienny fartuch. Prawdziwym celem wyjazdu było jednak badanie pod kątem przyjęcia do Lynchburg Colony.

Willie, wciąż myśląc o dzieciach, posłusznie współpracowała. W badaniu było jednak coś, co wydało jej się nie w porządku. Jak to później opisała, proces nadzorowała Roller, a dwaj lekarze zadawali „przeróżne głupie pytania”. „Lekarz badał mój umysł – oświadczyła Willie podczas zeznań – i pytał, czy potrafię powiedzieć, czy w chlebie jest sól, i czy umiem wiązać buty. Na ścianie wisiał obrazek z psem. Lekarz zapytał mnie, czy ten pies to pan, czy pani”.

Willie uważała, że spisała się dobrze i że Roller była tym rozczarowana.

„Nie mogę przyjąć tej kobiety” – wspominała słowa badającego. Wtedy, według zeznania Willie, Roller powiedziała: „Proszę tutaj wpisać »nie panuje nad nerwami« i wtedy będzie można ją przyjąć”.

Rok przed umieszczeniem Willie, Jessie i Nannie Mallory w Lynchburg Colony Wirgińska Rada ds. Dobroczynności i Resocjalizacji zarekomendowała władzom stanu „uniemożliwienie, przez segregację lub sterylizację, rozmnażania się upośledzonych umysłowo”. Dodano, że „tylko uderzając u źródła [...], mamy szansę wysuszyć strumień tego zła”. Dla wirgińskich orędowników sterylizacji problem polegał jednak na tym, że nie była tam ona do końca legalna.

W 1907 roku ustawę o sterylizacji eugenicznej przyjęła Indiana i było to pierwsze tego typu prawo w Stanach Zjednoczonych. Tak się również składa, że akurat w Indianie mieszkał lekarz więzienny Harry Sharp, który w ramach wykonywania obowiązków służbowych do perfekcji doprowadził technikę wazektomii. „Robię to bez podawania znieczulenia, czy to ogólnego, czy miejscowego – pisał w »Journal of the American Medical Association«. – Wykonanie operacji trwa około trzech minut, a pacjent natychmiast wraca do pracy”. Sterylizację eugeniczną, zainspirowaną przez Sharpa i zapisaną w prawach stanu Indiana, „aby zapobiec rozmnażaniu się potwierdzonych kryminalistów, idiotów, imbecyli i gwałcicieli”, zawiesił jednak w 1909 roku Thomas R. Marshall, nowy gubernator, którego zdaniem niepewna była konstytucyjność tych przepisów.

Wirginia miała własnego Harry’ego Sharpa. W 1910 roku lekarz więzienny z Richmond, Charles Carrington, wyjawiał na łamach „Virginia Medical Semi-Monthly”, że od lat poddawał osadzonych mężczyzn

kastracji, a później wazektomii. Wśród jego przechwałek znalazła się opowieść o tym, jak to za sprawą sterylizacji zmienił „upodłonego małego murzyna” w „gładkiego, tłustego, potulnego” jegomościa, niemal zwierzątko domowe.

Carrington – dość trafnie, jak się okazało – przewidział, że po zbadaniu jego metod pod kątem legalności uznano by je za okrutne i nietypowe. Tymczasem w Wirginii nie powiodła się pierwsza próba znalezienia poparcia dla ustawy podobnej do tej z Indiany. Carrington apelował jednak do lekarzy z Południa o solidarność w zabieganiu o przepisy umożliwiające sterylizację eugeniczną recydywistów oraz – tu wykonywał ukłon w stronę myśli eugenicznej – nieprzystosowanych rodzin. W swoim eseju *Sterilization of Habitual Criminals* [Sterylizacja recydywistów] pisał:

Pracuję jako chirurg w zakładzie karnym od ponad dziesięciu lat, dostatecznie długo, aby widzieć, że do więzienia trafił najpierw ojciec, potem jego synowie, kiedy zaś sprawdziłem akta, okazało się, że osadzonym był również dziadek. Tę szkaradną reprodukcję kryminalistów, z ojca na syna i wnuka, należy powstrzymać; jest to słuszne i właściwe, że powinno się tak stać, i wreszcie się stanie – wręcz niedługo – jeżeli Wy, wirgińscy lekarze, otworzycie oczy na znaczenie tego sposobu zapobiegania przestępczości i powiecie swym reprezentantom w Izbie Delegatów i Senacie, że z perspektywy medycznej i chirurgicznej to właściwe rozwiązanie.

Widać wyraźnie, że pierwsze eksperymenty eugeniczne w Wirginii były wymierzone w mężczyzn uznawanych za recydywistów lub dewiantów, którzy, w próbie Carringtona, niewspółmiernie często byli czarni. Jak więc doszło do tego, że ledwo pięć lat po tym, jak Carrington pisał w ten sposób o mężczyznach z więzień, uosobieniem eugenicznych niepokojów w Wirginii stały się ubogie białe kobiety w rodzaju Willie Mallory?

O eugenicie należy myśleć nie jak o nauce, ale jak o odpowiedzi na zbiorowy lęk – przed tym, że kiedyś może nastać świat, w którym bogactwo i biały kolor skóry nie zagwarantują władzy. Zaburzenie „naturalnego porządku” w rozumieniu wielu eugeników mogło nadejść z dwóch kierunków: ze strony Czarnych i innych niebiałych osób zdobywających prawa, przywileje i dostęp do przestrzeni (który to proces, zdaniem eugeników, przyspieszyłyby międzyrasowe małżeństwa oraz prokreacja), a także ze strony bezwartościowych białych ludzi, zwłaszcza

kobiet, zanieczyszczających rasę od wewnątrz przez wydawanie na świat ułomnych dzieci.

Kiedy przedstawiciele białej elity Wirginii wyrażali strach przed mającym na horyzoncie zagrożeniem ze strony upośledzonych umysłowo, najczęściej myśleli o innych białych, a zwłaszcza o białych kobietach. Wszystkich Czarnych od początku uważali za eugenicznie upośledzonych, obdarzonych sprawnym ciałem, lecz ułomnym umysłem, co pozwalał rozpoznać kolor skóry. Jak rozumowali, wzrost społecznej kontroli nad białymi kobietami mógł zapobiec płodzeniu dwurasowych dzieci, których istnienie utrudniało „widzenie” rasy i właściwe uporządkowanie społeczeństwa.

Wirginia, jak wszystkie stany południowe, już wcześniej dysponowała metodami społecznej kontroli nad Czarnymi – takimi jak segregacja rasowa, pozbawienie praw obywatelskich, uwięzienie, przemoc pozaprawna. Nie posiadała natomiast niezawodnego sposobu skutecznej kontroli licznej populacji osób białych uważanych za „nieprzystosowane”. Dążyła zatem do realizacji dwóch celów, do podwójnego zabezpieczenia na tym samym polu bitwy. Pierwszym był Racial Integrity Act, czyli ustawa o integralności rasowej, mająca umocnić segregację i ustanowić standard czystości rasowej dla białych. Drugim był przepis o przymusowej sterylizacji. Oba udało się wprowadzić w życie w 1924 roku.

Wirginia nadal zamykała tak zwanych upośledzonych umysłowo Czarnych oraz tych, u których stwierdzano inne niepełnosprawności, a w późniejszym czasie sterylizowała ich w Central State Hospital w Petersburgu. Podobnie jak w przypadku białych pacjentów lekarze z Central State wierzyli, że to, co u Czarnych uznawali za obłąd lub słabość umysłową, jest oznaką „degeneracji rasowej”. Jednak tylko w ich przypadku uważali, że nadmiar wolności mógłby wyzwolić w nich szaleństwo albo uwiąd umysłowy. Konwencjonalnym i stereotypowym poglądom na temat Czarnych eugenika pozwoliła nadać cechy medyczności, a zarazem wiele z nich przenieść na osoby białe w postaci nowej formy niepełnosprawności.

Mimo usilnych starań więziennych chirurgów sterylizacja osadzonych mężczyzn nie przysłużyła się ich krucjacie. Sterylizacja eugeniczna

wydawała się karą, gdy powinna się kojarzyć z wyjątkowym, nowoczesnym rozwiązaniem niosącym powszechne korzyści społeczeństwu, w tym przy okazji samym nieprzystosowanym. Przydatniejszymi narzędziami dla osiągnięcia tego celu okazały się anatomia i pozycja społeczna kobiet. W przeszłości medycyna umiejscawiała w kobiecym układzie rozrodczym źródło najróżniejszych chorób i słabości. Jak rozumowano, jeśli pacjentkę cechował niemoralny tryb życia, dowody można było znaleźć właśnie tam. Należało liczyć się z operacjami.

Tuż przed przybyciem kobiet z rodziny Mallorych Albert Priddy zaczął w Lynchburg Colony dosłownie operować poza prawem. Jak odnotował Paul Lombardo, pod kierownictwem Priddy'ego zwracała uwagę „niesamowita regularność, z jaką poddawano sterylizacji kobiety cierpiące na »choroby miednicy« o niejasnej i niesprecyzowanej etiologii”. Priddy chciał sterylizować jeszcze więcej kobiet, nie tylko dlatego, że uważał to za eugenicznie uzasadnione, ale również ze względu na przekonanie, że wysterylizowane kobiety to lepsze, wydajniejsze pracownice. Jego zdaniem kobiety wysterylizowane akurat w jego kolonii „poszły w świat, dobrze zarabiały na życie pod opieką odpowiednich osób i przyzwolicie się zachowywały”.

Elementem tej statystyki stały się również Willie i Jessie Mallory. Ponieważ Jessie wysterylizowano, wkrótce po operacji została wypuszczona z kolonii i umieszczona jako gosposia u pewnej rodziny zamieszkałej sto pięćdziesiąt kilometrów od Mallorych, żeby sprawdzić jej zdolność do pracy i właściwego zachowania „pod opieką odpowiednich osób”, jak to określił Priddy. Okoliczności, w jakich po wypuszczeniu znalazła się Willie, były okrutne w innym sensie. Nie tylko właśnie ona stanowiła źródło kłopotów za sprawą swojej, zdaniem Priddy'ego, nadpobudliwej płodności, ale była też trudną, nieposłuszną pacjentką z co najmniej jedną próbą ucieczki na koncie. Pod groźbą ponownego umieszczenia w zakładzie Priddy zakazał jej powrotu do młodszych dzieci i męża, mimo że już nie mogła zająć w ciążę. Przygarnęła ją najstarsza córka, Irene, mieszkająca z mężem niedaleko Richmond. Z kolei los Nannie miał się dopiero rozstrzygnąć. Ponieważ jako opiekunka młodszych

pacjentek Lynchburg Colony okazała się cennym źródłem siły roboczej, nie została wypuszczona.

Aby znowu być razem, Mallory musieli zrobić coś niewyobrażalnego w przypadku ubogiej rodziny, którą władze stanu uważały teraz za głęboko społeczną: podać do sądu Alberta Priddy'ego i stan Wirginia. Ich zarzuty stały się podstawą trzech odrębnych działań: złożenia wniosków o zwolnienie Nannie z Lynchburg Colony, o odzyskanie młodszych dzieci oraz pozwu przeciwko Priddy'emu o odszkodowanie za nielegalną sterylizację. „Żadne prawo nie dopuszcza takiego zabiegu – wcześniej ostrzegał Priddy'ego w liście George Mallory, odnosząc się do dyskusyjnej operacji żony. – Ja człek biedny, ale na tyle mądry, rzeby to sprawdzić”.

Dziś Albert Priddy jest postacią tak mało znaczącą, że nie ma nawet wpisu na Wikipedii^[10], ale w 1917 roku cechowała go pewność siebie człowieka przekonanego, że jego działania zostaną docenione nie tylko przez sąd, ale przez wszystkie przyszłe pokolenia. Konieczność udzielania odpowiedzi ubogiej rodzinie godziła w ego Priddy'ego, więc kiedy spór prawny był już praktycznie pewny, próbował to sobie powetować, strasząc Mallorych. Zagroził umieszczeniem całej rodziny w zakładzie. George'owi oznajmił, że jest władny go aresztować. Pisał do Mallorych listy, w których twierdził, że Willie i Jessie błagały o zabieg, i utrzymywał, że obie są mu winne wdzięczność za pomoc w wyzwoleniu od „życia w hańbie”.

Swoim wściekłym wybuchem maskował jednak lekką panikę. Ani on, ani Sarah Roller nie sprawdzili uważnie papierów, na których podstawie przyjęto trzy kobiety, być może dlatego, że wszystko ukartowali, a może ze względu na niedawną zmianę procedur, przez którą przeoczyli niekompletność dokumentów. Ich pomyłka pozwoliła Mallorym na początku 1918 roku odzyskać dzieci, w tym Nannie. Nie wystarczyła jednak, żeby uzyskać jakiekolwiek odszkodowanie za nielegalne zabiegi. Sąd przyznał rację Priddy'emu, że „pozwany, praktykujący lekarz, szczerze wyznawał pogląd, iż zabieg chirurgiczny przyniesie powódce znaczącą korzyść”.

Ogólnie rzecz ujmując, sprawa Mallorych zjednoczyła dyrektorów pozostałych zakładów stanowych w Wirginii; bali się, że pewnego dnia oni też staną przed sądem, dlatego jeszcze bardziej niż dotychczas zależało im

na przyjęciu ustawy jednoznacznie dopuszczającej sterylizację eugeniczną. Nikt nie chciał zostać upokorzony tak jak Priddy, zmuszony do zdeprecjonowania własnej pracy jako czegoś, co przynosi korzyść tylko bezwartościowym kobietom. Tutaj chodziło o budowanie lepszego świata i nie można było tego dłużej robić potajemnie.

Jednak dla Mallorych, kiedy znówu byli razem, potajemność okazała się pewnie ważnym narzędziem przetrwania. Historyk Steven Noll, przyglądający się ich sprawie w szerszym kontekście prawnego podejścia do ubogich matek, uważa, że wkrótce po werdykcie rodzina opuściła Richmond. Po 1918 roku Mallory nie pojawiają się już w książkach adresowych. Być może wierzyli, że Priddy i jego podwładni spełnią groźby ponownego rozdzielenia rodziny. Noll, podobnie jak ja, obstawia, że powrócili do „swojej dawnej anonimowości jako uboga rodzina pracująca, która zwyczajnie próbuje przeżyć”.

Przez kolejne lata po procesie Mallorych Priddy stał się biegłym lobbystą. W Zgromadzeniu Ogólnym Wirginii miał wpływowego sojusznika, Aubreya Strode’a, prawnika przedzierzgniętego w senatora stanowego, który odegrał kluczową rolę w powstaniu Lynchburg Colony. W 1919 roku, wkrótce po zakończeniu sprawy Mallorych, Strode przystąpił do pracy nad kilkoma projektami ustaw gwarantujących dyrektorom szpitali dodatkowe zabezpieczenia prawne i utrudniających pacjentom odwołanie od decyzji o umieszczeniu w zakładzie. Na takie przepisy rzeczywiście czekano, ale nie one stanowiły główny cel prac.

W 1921 roku Wirginia wybrała nowego gubernatora, E. Lee Trinkle’a, przychylnie nastawionego do eugeniki, a zarazem rozpaczliwie pragnącego odciążyć budżet stanu. Administracja Trinkle’a sygnalizowała, że jest gotowa wprowadzić ustawę sterylizacyjną, żeby zredukować populację zakładów stanowych i ciąć koszty. Argumentacja dotycząca zamykania pacjentów w zakładach, podobnie jak ta dotycząca umieszczania w więzieniach, bywała bardzo elastyczna. Rozwiązanie mogło być kosztowne, jeśli władzom zależało na przedstawieniu osadzonych jako ciężaru finansowego. Jeśli jednak pojawiała się potrzeba, żeby rozbudować system, zamykać jeszcze więcej ludzi, system można było przedstawić jako

niezwykle wydajny, jako maszynę samowystarczalną ekonomicznie, utrzymującą się z siły roboczej pacjentów.

Według Paula Lombardo akurat w tym okresie koszty przetrzymywania pacjentów w szpitalach stanowych malały. Rosły natomiast te związane z modernizacją stanu, między innymi z budową nowych dróg i innej infrastruktury. Zgodnie z długą tradycją biedni i słabi mieszkańcy Wirginii, za pomocą staromodnej sztuczki, stali się użytecznym przykładem przeszkód dławiących potencjał stanu.

Komplikacje i pozwy, które stawały na drodze stanom usiłującym wprowadzić przepisy o sterylizacji eugenicznej, niepokoiły zarządców Biura Dokumentacji Eugenicznej, krajowego centrum dowodzenia ruchu, z siedzibą w Nowym Jorku. W Kalifornii szeroko zakrojone prawo obowiązywało od 1909 roku, ale w innych stanach proces legislacyjny albo się opóźniał, albo zakończył się fiaskiem. Biuro Dokumentacji Eugenicznej zatrudniło jednak Harry'ego Laughlina, biologa wyszkolonego w Princeton, którego hobbystycznym projektem – kiedy nie wygłaszał w Kongresie natywistycznych, antyimigranckich tyrad – było monitorowanie sukcesów i porażek przepisów o przymusowej sterylizacji w całym kraju. W 1922 roku doprowadził do perfekcji model ustawy, który wkrótce miał się bardzo przydać Audreyowi Strode'owi.

Bardziej lokalnie, ale w duchu ogólnokrajowej krucjaty, Uniwersytet Wirginii w Charlottesville przecierał własne szlaki przydatności ruchu eugenicznego. Uczelnia miała wybudować ambicje, a najważniejszą z nich było pokazanie wszystkim, że z Południem nadal trzeba się liczyć jako miejscem ze wszech miar zdolnym do wydawania na świat wielkich ludzi.

Gregory Michael Dorr, którego książka *Segregation's Science* ilustruje znaczenie Uniwersytetu Wirginii dla krajowego ruchu eugenicznego, pisze, że „postawa naukowa” wpisana w filozofię eugeniczną „pozwalala przedstawicielom wirgińskiej elity uważać się za awangardę nowoczesnej inżynierii społecznej, niosącą przyszłość podejrzanie podobną do przeszłości”.

Eugenika pozwoliła plantatorowi przemawiać ustami naukowca; ułatwiła przejście między starym a nowym. To samo, dzięki swoim wpływom i kadrze, robił Uniwersytet Wirginii, głosząc eugeniczne prawdy.

Wielcy ludzie zapowiadani przez rektora uczelni Edwina Aldermana i wyszkoleni przez eugeników, którzy zawdzięczali mu kariery akademickie, nie mieli zostać generałami, on jednak widział ich w boju o przyszłość.

Dla Aldermana i wielu wykładowców mianowanych za jego kadencji budowa nowoczesnego, postępowego uniwersytetu na fundamentach białej supremacji nie stanowiła wcale paradoksu. W Wirginii eugenika stała się ważnym środkiem odzyskania południowej tożsamości. Nie była już przejawem zacofania ani powodem do wstydu – Południe dostatecznie srogo zapłaciło reputacją za swoje grzechy – ale narzędziem oświeconym. Dorr nazywa tę strategię wirgińską „środkową przeprawą”^[11], która pozwalała na to, żeby stan i jego szacowne instytucje były zarazem północne (oświecone) i południowe (tradycyjne). Podobny ton wcześniej nadał Paul Brandon Barringer, poprzednik Aldermana i twórca programu medycznego uczelni. Barringer zaczął zyskiwać reputację myśliciela naukowego, kiedy za przedmiot prac przyjął „problem murzyński” i naznaczył go własną odmianą teorii dziedziczności. „Jego niedawna tendencja powrotu do barbarzyństwa – pisał Barringer, mając na myśli postać współczesnego sobie Czarnego – jest równie naturalna jak powrót umytej maciory do tarzania się w błocie”.

W swojej książce *The American Negro. His Past and Future* [Amerykański Murzyn. Jego przeszłość i przyszłość] Barringer pisze dalej: „Na nasze szczęście doświadczenie (historia) pokazuje również, że owe dzikie cechy da się tłumić, a jeśli są tłumione dostatecznie długo, mogą zostać wykorzenione. W tym tkwi nadzieja Południa”. Dobrze przeczytaliście: Barringer sugerował, że instytucja niewolnictwa była korzystna zarówno dla zniewolonych, jak i dla całego społeczeństwa. To oczywiście stary argument, ale odświeżony i unowocześniony przez Barringera dzięki pojawieniu się eugeniki i nauki o rasie.

Uniwersytet Wirginii sławił naukę i edukację jako fundamenty nowego Południa. Na początku dwudziestego wieku uczelnia przystąpiła do odkryć potwierdzających wyższość rasową białych i do wywierania nacisku, aby nagiąć przyszłość do swoich prawd. Najważniejszym środkiem nacisku byli jej absolwenci, a w latach dwudziestych uniwersytet mógł się poszczycić

tym, że branża medyczna, agencje zdrowia publicznego i urzędy w całym stanie, obsadzone na drodze nominacji lub wyborów, pełne były liderów kształconych tam już od dwóch dekad. Uformował ich program nauczania, który naukowo potępiał Czarnych, a w niedostosowanych białych widział wewnętrznego wroga.

Aubrey Strode ukończył prawo na Uniwersytecie Wirginii. Co ciekawe, był również synem rodziców, którzy zmarli w zakładzie. Oznaczało to, że z eugenicznego punktu widzenia był w gorszej formie niż Carrie Buck, młoda kobieta, na której nieszczęściu wkrótce miał zbudować karierę. Ale nic to. Kiedy bogatemu brakowało czegoś do ideału, problematyczna kwestia dziedziczności prędko zniknęła dzięki pomocy życzliwego doktora. W przypadku Strode'a lekarz rodzinny zapewnił (zresztą słusznie), że nikogo nie powinna niepokoić „umysłowa aberracja” jego rodziców i że on sam powinien wieść zwyczajne życie bez stygmatu.

Na podstawie modelu prawa opracowanego przez Harry'ego Laughlina pod auspicjami Biura Dokumentacji Eugenicznej Strode w 1924 roku przygotował na sesję ustawodawczą w Wirginii projekt ustawy dopuszczającej sterylizację „ułomnych osób [...] mogących przez rozmnażanie swojego rodzaju stać się zagrożeniem dla społeczeństwa”. Projekt posługiwał się ogólnikowymi sformułowaniami, dodano jednak odpowiednie klauzule, aby zagwarantować dobrze sytuowanym wirgińskim rodzinom (takim jak rodzina Strode'a) obciążonym trupem w szafie, że *takimi jak oni* nikt się nie zajmie. Przewidziano na przykład uporządkowany proces odwoławczy, który pewnie wystawiłby na próbę wyznaczonego przez sąd opiekuna reprezentującego dziesiątki ubogich pacjentów, ale nie stanowił problemu dla osób z koneksjami, mających do dyspozycji adwokatów i zaprzyjaźnionych lekarzy. Łącznie w Izbie Delegatów i Senacie oddano tylko dwa głosy przeciwko projektowi. 20 marca 1924 roku ustawę podpisał E. Lee Trinkle.

Takie oto sieci władzy kształtowały się w tym samym czasie, kiedy w Charlottesville Carrie Buck, cicha nastoletnia sierota, zajmowała się domem Johna i Alice Dobbsów.

Buckowie pod wieloma względami przypominali Mallorych, przez co chcę powiedzieć to, że również byli odpychająco biedną białą rodziną, która wskutek tragicznych okoliczności nie zdołała zachować anonimowości. Rodzice Carrie, Emma i Frank, również tak jak państwo Mallory, prawdopodobnie uczestniczyli w fali szerszych zmian demograficznych na przełomie wieków, kiedy to mieszkańcy terenów wiejskich zaczęli osiedlać się bliżej miast, aby znaleźć zatrudnienie w nowych zakładach przemysłowych.

Z aktu ślubu Emmy i Franka w 1896 roku dowiadujemy się, że oboje pochodzili z hrabstwa Albemarle i zamierzali zamieszkać w jego stolicy, Charlottesville. Dowiadujemy się również, że była między nimi znaczna różnica wieku: ona miała dwadzieścia trzy lata, a on – czterdzieści dwa.

Carrie, ich pierwsze dziecko, urodziła się dziesięć lat później, w 1906 roku. Niełatwo ustalić, jak wyglądała pierwsza dekada małżeństwa Franka i Emmy, bo wtedy jeszcze nie zwrócili na siebie uwagi władz stanu. Adam Cohen, autor *Imbeciles. The Supreme Court, American Eugenics, and the Sterilization of Carrie Buck*, sugeruje, że Frank pracował jako blacharz, czyli w zawodzie, którego dni były policzone ze względu na masową produkcję taniego metalu w fabrykach na Północy. Kiedy urodziła się Carrie, miał pięćdziesiąt dwa lata i wkrótce potem stała się tragedia. Nie wiemy, co się dokładnie wydarzyło. Frank umarł, a może postanowił wycofać się póki czas i zostawił rodzinę. Emma zaczęła mówić, że jest wdową, chociaż historycy spekulują, czy była to prawda.

W świecie Emmy Buck nie istniała opieka społeczna w dzisiejszym rozumieniu. Dla kobiety takiej jak ona, samotnie wychowującej dziecko, przetrwanie często zależało od pomocy ze strony prywatnych i religijnych organizacji dobroczynnych. Warunkiem pozostania na „liście dobroczynności” była jednak poprawa moralna. Emma się starała, ale w oczach pracowników tych organizacji zawiodła, kiedy we wczesnym okresie dyskusyjnego wdowieństwa została matką drugiej córki oraz syna. Harry Laughlin, biegły w sprawie Buck kontra Bell, sfabrykował później historię Emmy. Znalazł się w niej motyw rozwodu, którego powodem była niewierność żony – co czyniło ją „niegodną matrymonialnie” – oraz popadnięcie w prostytutkę.

Bez względu na to, jak wyglądała prawda, Emmę, jako ubogą matkę przypuszczalnie nieślubnych dzieci, łatwo było uznać za dewiantkę. W tamtej epoce dewiacja seksualna uchodziła zaś za oznakę głębszej degeneracji umysłowej. „Są to ludzie, których społeczność toleruje i pomaga utrzymać; zarazem jednak potępia ich przywary i niezaradność” – pisał w 1912 roku wpływowy eugenik Henry Goddard. Przekonywał, że osoby pasujące do tego opisu, takie jak Emma, należą do nierozpoznanej wcześniej klasy genetycznie ułomnych, którymi należy się zająć przez segregację, a może nawet sterylizację.

Sąd po raz pierwszy wkroczył w życie Emmy, gdy około 1910 roku odebrał jej Carrie i przekazał pod opiekę zastępczą Johna i Alice Dobbsów, kiedy dziewczynka miała trzy lub cztery lata. Jej sytuacja tylko się jednak pogorszyła. Emma nie zdołała się wyrwać z ubóstwa, a ponieważ była kobietą często doświadczającą bezdomności, sąd domniemywał, że prawdopodobnie dopuszcza się prostytucji. W 1920 roku osadzono ją w Lynchburg Colony, gdzie personel za pomocą testów inteligencji skategoryzował ją jako „debilkę” (*moron*), czyli przedstawicielkę grupy ludzi zwykle zamykanych w zakładzie na całe życie.

Kiedy jej matka trafiła do kolonii, Carrie miała czternaście lat i nadal mieszkała u Dobbsów przy Grove Street. W przeciwieństwie do nieco starszej biologicznej córki Dobbsów przestała uczęszczać do szkoły po ukończeniu piątej klasy. Według większości wskaźników jej wyniki w nauce były przeciętne, a w niektórych przedmiotach całkiem dobre, ale Dobbsowie przerwali edukację Carrie, żeby mogła służyć rodzinie jako gospoia. Adam Cohen sugeruje, że w roli służącej wynajmowali ją także okolicznym rodzinom.

W 1923 roku Carrie, wówczas siedemnastoletnia, zaszła w ciążę. Zgwałcił ją siostrzeniec Alice, Clarence Garland, kiedy Dobbsowie wyjechali z miasta. Carrie chyba wyobrażała sobie, że Clarence przyzna się do dziecka i jakoś jej zadośćuczyni, ale on uciekł z Charlottesville, a nikomu, kto mógłby go znaleźć, nie chciało się tego zrobić. Z tego, co stało się później, jasno wynika, że Dobbsowie woleli widzieć w siostrzeńcu niewinnego człowieka, który postąpił nierozważnie, napotkawszy niemoralną kobietę. Nawet ta mniej wstrząsająca wersja sugerowała jednak,

że John i Alice nie zdołali poprowadzić Carrie ku poprawie moralnej, co było ich powinnością jako rodziców zastępczych. Skandal wisiał w powietrzu.

W końcu Dobbsowie wdrożyli plan mający na celu umieszczenie Carrie, żyjącej z nimi od ponad dekady, w tym samym zakładzie, w którym przebywała jej matka. W styczniu 1924 roku złożyli wniosek, w którym stwierdzali, że Carrie jest zarówno epilepticzką, jak i osobą upośledzoną umysłowo – te objawy nie wykluczały się wzajemnie, ale z pewnością nie były współistniejące w takim rozumieniu, na jakim najwidoczniej im zależało, gdy usilnie starali się postawić Carrie na straconej pozycji. Najważniejszego objawu jednak we wniosku nie wymieniono: jej ciąży. Z jednej strony ciąża potencjalnie dowodziłaby ułomnego charakteru Carrie, ale z drugiej budziłaby pytania o ojcostwo. Przemilczenie tej informacji mogło mieć coś wspólnego z tym, że do kolonii nie przyjmowano kobiet w ciąży.

Dobbsowie napisali, że przygarnęli Carrie „w geście dobroci”, ale wskutek pogorszenia się jej zachowania nie są już w stanie „opiekować się rzeczoną dziewczyną finansowo ani ponosić odpowiedzialności za jej bezpieczeństwo”. Jestem pewna, że ostatnim gestem dobroci z ich strony było sfabrykowanie niespójnej historii niepokojących zachowań Carrie, gwałtownych wybuchów i halucynacji, których rzekomo doświadczała od dawna, choć nigdy wcześniej nie były zgłaszane. Zabezpieczyli się na wszystkich frontach, więc Carrie została skierowana do Lynchburg Colony decyzją tego samego sędziego, który zaledwie cztery lata wcześniej zarządził umieszczenie tam jej matki.

Carrie miała w tym momencie osiemnaście lat i była w siódmym miesiącu ciąży. Formalnie trafiła pod kuratelę Lynchburg Colony, która jednak postanowiła przyjąć ją do zakładu dopiero po urodzeniu się dziecka. Oznaczało to, że teraz Carrie była również bezdomna. John i Alice nie zgodzili się, aby została w ich domu, być może dlatego, że ich biologiczna córka, mieszkająca tam z mężem, spodziewała się dziecka w tym samym czasie. Carrie urodziła córkę, Vivian, w marcu 1924 roku w tymczasowym miejscu zamieszkania zapewnionym przez personel pomocy społecznej.

Dobbsowie zgodzili się wziąć Vivian pod opiekę, ale dlaczego to zrobili? To przykre pytanie, na które raczej nie znajdziemy odpowiedzi. Czy przygarnęli ją dlatego, że była ich krewną i mieli dla niej trochę współczucia? Czy może wymusił to na nich personel pomocy społecznej, wzbudziwszy poczucie winy wyjaśnieniem, że dzieci nie można przyjąć do zakładu przed ukończeniem ośmiu lat, a trudno będzie umieścić Vivian u innej rodziny? Nigdy się nie dowiemy, jakie plany mieli wobec niej Dobbsowie; Vivian zmarła na zapalenie okrężnicy jako ośmiolatka.

W swoim prawdopodobnie jedynym zarejestrowanym wywiadzie, udzielonym w 1980 roku reporterce audycji *Horizons* z National Public Radio, Carrie Buck cały ten etap swojego życia opisała dwoma zdawkowymi zdaniami.

„Urodziłam dziecko i musiałam opuścić Charlottesville. Ten jeden facet wziął mnie wykorzystał i tyle”.

Jeśli mnie zapytacie, co łatwiej znaleźć niż nagranie głosu Carrie Buck, powiem, że świadectwa mężczyzn, którzy ją skazali. W oficjalnych dokumentach prawnych obejmujących długie lata drogi do Sądu Najwyższego Carrie Buck odzywa się tylko raz, kiedy odpowiada na pytanie Aubreya Strode’a, twórcy wirgińskiego prawa sterylizacyjnego, a zarazem adwokata Lynchburg Colony w tym postępowaniu:

Pytanie: Czy zechce pani coś powiedzieć o tej operacji, którą pani przeszła?

Odpowiedź: Nie, proszę pana, zostawiam to moim.

Czytając to po raz pierwszy, moglibyście przypuszczać – zwłaszcza jeśli tak jak ja pochodzicie z Południa – że mówiąc „moi”, Carrie miała na myśli rodzinę. Nie o to jednak chodziło, ponieważ rodziny już nie miała. Jej ludźmi byli teraz jej prawnicy. To kolejna grupa, która z niesłychanym okrucieństwem działała wbrew jej interesom, służąc szeroko zakrojonym ambicjom władz stanu.

Zalegalizowanie sterylizacji w Wirginii było dla jej zwolenników dużym zwycięstwem, ale architekci ustawy byli zdania, że zanim w praktyce wejdzie w życie, trzeba ją poddać rygorystycznej próbie prawnej. Należało wybrać pierwszą pacjentkę i zapewnić jej opiekę prawników, którzy

następnie przeprowadzą cały proces odwoławczy, od dyrekcji szpitala aż po najwyższą instancję sądową w kraju. Carrie Buck była idealną kandydatką. Miała przed sobą długie lata wieku rozrodczego, jedno podejrzone dziecko już urodziła, a jej matkę również umieszczono w zakładzie.

Personel Lynchburg Colony ocenił Carrie jako zdrową fizycznie, ale „upośledzoną umysłowo najniższego sortu, należącą do klasy debili”. W lipcu 1924 roku, zgodnie z nowym prawem, Albert Priddy miał już gotowe dokumenty niezbędne do zabiegania o sterylizację. Dyrekcja Lynchburg Colony podczas wrześniowego zebrania pobieżnie rozpatrzyła wniosek i wydała zgodę na operację.

Zgodziła się również znaleźć Carrie prawnika, który odwoła się od tej decyzji, oraz wyznaczyć własnego, reprezentującego interesy kolonii. Aubrey Strode, przyjaźniący się z Priddym, zgodził się wystąpić w roli adwokata kolonii podczas procesu odwoławczego. Irvinga Whiteheada, innego przyjaciela i byłego członka dyrekcji Lynchburg Colony, zatrudniono jako pełnomocnika Carrie. Wszyscy ci mężczyźni byli zwolennikami sterylizacji eugenicznej. W sprawie Carrie nie chodziło o prawdziwe odwołanie, ale o wiążące prawnie przedstawienie teatralne.

Zamawiając dzisiaj dokumentację związaną ze sprawą Buck kontra Bell, otrzymacie również zapis pierwszej rozprawy apelacyjnej w sądzie okręgowym hrabstwa Amherst w Wirginii, która odbyła się w listopadzie 1924 roku. Sprawa nosi inny tytuł, ponieważ Albert Priddy, który ostatnie miesiące życia poświęcił walce o prawo do sterylizacji nastoletniej ofiary gwałtu, zmarł, zanim postępowanie dotarło do Sądu Najwyższego. Została przejęta przez jego następcę, Johna Bella.

Myślę, że Strode musiał być zadowolony z siebie i z tego, ile wiedzy fachowej udało mu się zgromadzić w tak krótkim czasie. Harry Laughlin z Biura Dokumentacji Eugenicznej przysłał z Nowego Jorku listę pytań, ale do sądu skierował pierwszorzędного specjalistę od pracy w terenie, Arthura Estabrooka. Dyrektorów szpitali stanowych Wirginii, oprócz Alberta Priddy’ego, reprezentował Joseph DeJarnette.

Protokół z rozprawy apelacyjnej w Amherst czyta się jak zapis próby generalnej, na której nie każdy zna swoje kwestie. DeJarnette przyznaje, że nie umie zbyt dobrze wytłumaczyć praw Mendla, a potem i tak próbuje,

z fatalnym skutkiem. Whitehead ma trudności ze stawianiem odpowiednich pytań, częściowo przez to, że nie przywykł do myślenia o eugenicie jako o czymś wymagającym uzasadnienia, ale również dlatego, że umyślnie źle zadaje pytania, aby osłabić obronę Carrie. Estabrook i Laughlin przeszarżowują w prezentacji swojego stanowiska. To wszystko nie ma jednak znaczenia. Jest z góry przesądzone, że Carrie zostanie poddana sterylizacji.

Obrona przez Whiteheada linia obrony wyglądała następująco: czy jeśli Wirginia będzie sterylizować kobiety upośledzone umysłowo, nie wykorzystają one bezpłodności jako wymówki, żeby „pójść na całego”, i tak się zaczną pieprzyć, że pogrążą kraj w epidemii chorób wenerycznych? „Wydaje mi się logicznym – sugeruje Whitehead, w domyśle puszczając oko – że lepiej byłoby zamknąć te kobiety na całe życie”. Cóż byłoby warte takiego ryzyka?

Oczywiście w grę wchodziły wolność i szczęście tych kobiet; życie po sterylizacji poza zakładem było lepsze od życia w zakładzie, przekonywali eksperci, celowo zawężający własne horyzonty myślowe do tych dwóch możliwości. Jak jednak wyjaśnia DeJarnette: „Korzyścią dla społeczeństwa są brak konieczności opiekowania się nimi oraz praca, jaką wykonują. To one rąbią drwa i noszą wodę”. W Księdze Jozuego „rąbiącymi drwa i noszącymi wodę” są słudzy sług, wykonujący najpośledniejsze prace. Innymi słowy, argumentem DeJarnette’a na rzecz sterylizacji było to, że stanowi ona nie tylko metodę kontroli populacji, ale także zagwarantowania siły roboczej.

To, co DeJarnette wyraził z biblijną swadą, Albert Priddy wytłumaczył prostszą angielszczyzną:

Zapotrzebowanie na służące jest tak wielkie, że zapewne moglibyśmy się pozbyć połowy młodych kobiet o przeciętnej inteligencji, ale musiałem z tego zrezygnować. Wychodzą, a potem tak często wracają w ciąży, że przestałem ryzykować. Ludzie nie chcą ich brać, kiedy stale istnieje prawdopodobieństwo, że zostaną matkami.

Laughlin – pisemnie z Nowego Jorku – orzekł, że rodzina Bucków należy do „niemrawej, ciemnej i bezwartościowej klasy społecznych białych z Południa”. Estabrook otrzymał od władz stanu sowite

wynagrodzenie za wygłoszenie podobnej opinii osobiście. (Dzięki badaniom Paula Lombardo znamy również irytujący epilog tej historii: podczas tych wyjazdów Estabrook tak często zdradzał żonę, że ta w końcu poskarżyła się jego przełożonym, którzy około 1929 roku go zwolnili, odkrywszy, że zawyżał koszty podróży i przywłaszczał sobie różnicę).

Nie pojawiła się żadna wzmianka, żadna sugestia, że Carrie padła ofiarą gwałtu. Była po prostu użyteczna, potem przestała, a teraz być może znów mogła się przydać.

Ostatecznie tę rundę w hrabstwie Amherst wygrała eugenika. Wygrywała raz za razem, aż w końcu w 1927 roku – przed Sądem Najwyższym. Carrie Buck została wysterylizowana w Lynchburg Colony dwunastego października tego samego roku.

Dzięki sprawie Buck kontra Bell sterylizacja eugeniczna stała się legalna w całym kraju. Stany pragnące wprowadzić własne przepisy teraz mogły to zrobić, więc natychmiast przystąpiły do dzieła. Ostrożność przestała być potrzebna. Do 1963 roku sterylizacji poddano w Stanach Zjednoczonych około sześćdziesięciu tysięcy osób. Stanowy rekord liczby zabiegów sterylizacyjnych należy do Kalifornii, która przeprowadziła ich co najmniej dwadzieścia tysięcy. Niedawne badania nowo odkrytej publicznej dokumentacji medycznej, przeprowadzone przez zespół pod kierunkiem historyczki Alexandry Minny Stern, wykazały, że kalifornijski program eugeniczny w nieproporcjonalnie dużym stopniu brał na celownik osoby pochodzenia latynoskiego, zwłaszcza kobiety.

Kiedy dziś słyszę, jak o mężczyznach uczestniczących w procesie Carrie mówi się, że kierowali się niedoskonałymi, ale humanitarnymi motywami, myślę o niedorzecznym zeznaniu Alberta Priddy'ego, o zuchwałości, z jaką narzekał na zakłócenia łańcucha dostaw. Przypominam sobie, jak utyskiwał, że w jego zakładzie dla upośledzonych umysłowo jest nadmiar inteligentnych kobiet, i jak oświadczył, że jako dyrektor nie jest w stanie rozwiązać tego problemu w najbardziej oczywisty sposób, czyli wypuszczając te kobiety całe i zdrowe. Myślę o tym, jak niewygórowane muszą być nasze standardy, skoro tworzenie lepszych służących przez sterylizację ubogich kobiet podpada pod działania humanitarne. A potem zastanawiam się, ilu porządnym rodzinom z Wirginii zależało na

dziewczynie z kolonii, zabezpieczonej odpowiednio do tego typu pracy, bo trwale bezpłodnej.

Mężczyźni gwałcili pracownice, odkąd tylko mogli je posiadać. Wiedzieli o tym wszyscy na tamtej sali rozpraw w hrabstwie Amherst i rozumieli, co się stanie – co już się działo – kiedy kobiety w trudnym położeniu trafią do domów odległych od ich własnych i kiedy będzie się od nich oczekiwać posłuszeństwa pod groźbą ponownego zamknięcia w zakładzie. Może ludziom pokroju Alberta Priddy’ego i Josepha DeJarnette’a tak bardzo staraliśmy się przypisać światłe idee, że zapomnieliśmy o zdrowym rozsądku. „Wychodzą, a potem tak często wracają w ciąży, że przestałem ryzykować”. Ale tak właśnie wyglądała w rzeczywistości eugenika w Wirginii, nawet kiedy działała już jawnie: żalosna sytuacja mężczyzn narzekała na to, że system, który sami kontrolowali, komplikuje im życie.

Jeśli w Charlottesville poszukacie domu, w którym niegdyś Carrie Buck mieszkała z Johnem i Alice Dobbsami, wasza wędrowka skończy się pewnie na parkingu biurowca Systemu Opieki Zdrowotnej Uniwersytetu Wirginii. Kiedy ja odbyłam tę wycieczkę z moim partnerem Joshem we wrześniu 2019 roku, w tej instytucji obowiązywał tryb kryzysowy po publikacji „Washington Post” na temat agresywnych praktyk ściągania należności. Stojąc na parkingu, myślałam o Carrie, ale także o trzydziestu sześciu tysiącach osób pozwanych w ciągu ostatnich sześciu lat przez Uniwersytet Wirginii o zwrot kosztów medycznych. Pamiętałam, jak pod rządami eugeników rozkwiwały kierunki medyczne tej uczelni, i zastanawiałam się, czy współcześnie znalazłby się tu ktoś na tyle odważny, aby przyznać, że uczynienie opieki zdrowotnej nieosiągalną dla osób ubogich to też odmiana eugeniki.

Grunty w tej części miasta Uniwersytet Wirginii zaczął pozyskiwać w 1965 roku. Ostatnio, w 2016 roku, zapłacił blisko dziewięć milionów dolarów za siedem działek przy King Street i pobliskiej Grove Street, gdzie mieszkała Carrie do czasu umieszczenia w zakładzie. Istnieją historyczne fotografie tej okolicy, ale moje najpóźniejsze wspomnienie stojącego tam domu Dobbsów wiąże się z materiałem z wiadomości telewizyjnych

nadany około 1992 roku. Wtedy budynek był już w ruinie i stał szokująco blisko torów kolejowych. Okolica, niegdyś położona na peryferiach Charlottesville, dzisiaj stanowi typowy przykład tego, co inwestorzy i nowi mieszkańcy nazywają rewitalizacją, a wiele osób mieszkających tu od lat – gentryfikacją. W 2008 roku w tygodniku „C-VILLE Weekly” napisano, że to miejsce, leżące zaledwie dziesięć minut spacerem od Uniwersytetu Wirginii, to „jedno z najmniej kosztownych osiedli mieszkaniowych w mieście w jednej z najbardziej pożądanых lokalizacji”.

Po czasach Dobbsów mieszkali tutaj głównie Czarni, ale zaczęło się to zmieniać wraz z napływem fliperów nieruchomości i młodych białych profesjonalistów powiązanych z Uniwersytetem Wirginii. W latach 2008–2009, kiedy wskutek nalegań miejskiego konserwatora zabytków część tej okolicy weszła w obręb dzielnicy historycznej, ceny nieruchomości skoczyły o osiemnaście procent. W 2009 roku, komentując własną decyzję o zakupie tutaj nieruchomości inwestycyjnej, były burmistrz Charlottesville Blake Caravati mówił: „Staram się nie przyczyniać do gentryfikacji, ale tak naprawdę robię to zawodowo. Kupuję stare domy i je remontuję”. Caravati przyznał, że zna „ciężko pracujących ludzi”, którzy zostali „zmuszeni do przeprowadzki” wskutek rywalizacji inwestorów i ich wpływu na ceny mieszkań, ale z ich odejścia postanowił wynieść taką lekcję, że „w pewnym sensie właśnie tak działają miasta”.

W książce *Dispatches from Dystopia* [Doniesienia z dystopii] historyczka Kate Brown pisze: „[...] opisywanie miejsc, które odwiedzam, oznacza przyznanie się do ułomności i marności wiedzy, jaką z nich wywodzę”. Dawna okolica Carrie Buck nic nam nie mówi o tym, co ją spotkało po sterylizacji i zwolnieniu z Lynchburg Colony w 1927 roku. Nie zdradza, jak konkretnie dzięki reputacji zawdzięczanej zastępom eugeników rozwijał się Uniwersytet Wirginii. Pokazuje natomiast, że istotnie nastąpił wielki rozwój i przyczynił się w całym mieście do zmian, które przypadłyby do gustu tamtemu Charlottesville z początku dwudziestego wieku. Ówczesne miasto byłoby zachwycone tym, że biednych białych i wszystkich czarnych mieszkańców zastąpiono lepszymi, białymi.

Kiedy wyruszałam na poszukiwania śladów domu Carrie, wiedziałam, że ich nie znajdę. Ale o to chodziło. Chciałam poczuć kolejny element tej historii: wielki brak oraz marność znaczeń.

Do 1944 roku natrafiamy w archiwach na Carrie, ponieważ stale korespondowała z Lynchburg Colony w sprawie matki. W *Imbeciles* Adam Cohen zwraca uwagę na to, co i ja dostrzegłam w tych listach: nikt z pracowników kolonii nie pisze do Carrie jak do osoby upośledzonej umysłowo. Korespondencja kończy się jednak wraz ze śmiercią Emmy. Od tej pory mamy dostęp tylko do urywków wiedzy o Carrie.

Kiedy zwolniono ją warunkowo z Lynchburg Colony już kilka tygodni po operacji, została skierowana w roli służącej do domu właścicieli tartaku niedaleko Radford, odległego o jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów. Nie została tam długo. Odesłano ją do kolonii, kiedy jednego z najcenniejszych okazów domowej porcelany użyła jako nocnika. W 1928 roku rodzina Newberrych z Seddon, oddalonego o trzy godziny drogi, napisała do dyrektora Johna Bella, który objął to stanowisko po śmierci Alberta Priddy'ego, że bardzo chcieliby „dostać z instytucji dobrą dziewczynę”. Tą dobrą dziewczyną została Carrie, którą Bell przedstawił w korespondencji jako „silną, zdrową i zdolną do dobrej pracy”. Podobnie jak w przypadku pierwszej posady państwo Newberry musieli pokryć koszt podróży Carrie do Seddon i wypłacać jej wynagrodzenie w wysokości pięciu dolarów tygodniowo (równowartość dzisiejszych siedemdziesięciu pięciu). Bell potwierdził przyjęcie zaliczki na poczet podróży Carrie i zapewnił: „Ma dwadzieścia dwa lata, jest silna i zdrowa i powinna dobrze świadczyć służbę”. Gdyby układ z Carrie przestał im odpowiadać, państwo Newberry mogli ją odesłać do kolonii.

Wydawało się, że właśnie to ich czeka wkrótce po przyjeździe dziewczyny. W grudniu 1928 roku napisali do Bella, że Carrie, „stara wyga w tych sprawach”, „znowu zaczyna swoje cudzołóstwo”. Wiedząc, że szykuje się niekorzystny raport, Carrie postanowiła osobiście napisać do Bella z wyjaśnieniem: „Doktorze Bell, spodziewam się, że pani Newberry napisze do pana o pewnych kłopotach, które miałam, ale mam nadzieję, że nie będzie miał mi pan tego za złe i nie każe wracać, bo staram się dobrze sprawować i wywiązywać z obowiązków”. Nawiasem mówiąc, Carrie

posługiwała się idealnym charakterem pisma. Wbrew początkowym oczekiwaniom Newberrych pozostała u nich jeszcze przez cztery lata, aczkolwiek rodzina poprosiła Bella, aby na wszelki wypadek „trzymał im w rezerwie jakąś dobrą dziewczynę”.

W 1928 roku Carrie napisała kolejny list do Lynchburg Colony, co prawda krótki, lecz znaczący. Zaadresowała go do pracownicy szpitala, nazwanej panią Coleman. W liście pyta o wieści na temat swojej siostry przyrodniej, aktualnie również przebywającej w zakładzie. Píše: „Teraz chyba dużo dziewcząt wychodzi”. Coraz więcej kobiet po sterylizacji wyruszało w świat i zasilalo szeregi siły roboczej. Carrie wyjaśnia, że opóźnia się z odpowiedzią na ostatni list matki, ale chwilowo brakuje jej czasu, „bo ma trochę pracy do zrobienia”. Na koniec prosi o zgodę na przesłanie matce kilku rzeczy, ale nie określa jakich. Tyle opanowania w liście złożonym z niespełna setki słów.

W 1932 roku Carrie wyszła za Williama Eagle’a, sześćdziesięcioletniego wdowca. Ona miała wtedy dwadzieścia sześć lat. Już kilka dni po ślubie napisała do Bella z wiadomością: „Uznałam, że najlepiej mi będzie wyjść za mąż”. Małżonkowie żyli skromnie. Carrie uwielbiała pracować w ogrodzie i próbowała sprowadzić matkę, żeby zamieszkała z nimi, ale Emma była już za słaba na długą podróż. William zmarł w 1941 roku. W 1944 roku Carrie w końcu odłożyła dość pieniędzy, żeby odwiedzić matkę, ale kiedy przyjechała, personel poinformował, że Emma zmarła poprzedniej wiosny.

Co działo się z Carrie po śmierci Williama Eagle’a, trudniej już stwierdzić. W którymś momencie przeprowadziła się do Front Royal w Wirginii, niewielkiej miejscowości w pobliżu Winchesteru, cztery godziny drogi z Seddon. Możliwe, że zamieszkała z rodzeństwem, co otworzyło przed nią nowe możliwości. W 1965 roku wyszła za Charliego Detamore’a. Carrie i Charlie, oboje po sześćdziesiątce, dorywczo zbierali jabłka we Front Royal, Carrie częściej jednak pracowała jako służąca oraz opiekunka. Około 1970 roku zdecydowali się na przeprowadzkę do Charlottesville. Charlie, podobnie jak żona, właśnie stamtąd pochodził, może więc postanowili wrócić do domu, czując, że zbliżają się do końca życia.

Gdybyście chcieli dowiedzieć się czegoś o życiu małżeńskim Carrie, może tak jak ja zaczęlibyście poszukiwania w domowym zaciszu, sprawdzając internetowe archiwa spisów ludności. Ta metoda daje wiele wyników ze stron genealogicznych. Jeśli chodzi o okoliczności życia Carrie, genealogowie wykazują się często większą szczerością niż podręczniki. Używają słów takich jak „wymuszony” czy „niedobrowolny”. Niektórzy, zapewne świadomi pracy Paula Lombardo, z dumą odnotowują, że córka Carrie, Vivian, była wzorową uczennicą. Wiele osób podaje się za jej dalekich krewnych. Dziesiątki ludzi zostawiają wirtualne kwiaty za pośrednictwem stron z informacją o położeniu jej grobu. Dziś najdobitniej przyznają się do niej osoby zainteresowane tematem dziedziczności.

Do Carrie nie przyznawano się nawet w kolonii, która w chwili jej powrotu do Charlottesville nosiła nazwę Lynchburg Training School (Zakład Poprawczy w Lynchburgu). Doktor K. Ray Nelson, dyrektor placówki w latach siedemdziesiątych, przed objęciem stanowiska nawet nie znał jej historii. Z czasem nadrobił braki i zaczął się zastanawiać nad dalszymi losami Carrie. W 1979 roku, pewnego dnia otrzymał wniosek od byłej pacjentki, która miała kłopot ze złożeniem wniosku o zasiłek. Nie mogła znaleźć aktu urodzenia, a do potwierdzenia prawa do świadczeń potrzebowała akt medycznych.

Ten wniosek ostatecznie doprowadził Nelsona do domu we Front Royal należącego do Doris Figgins. Teraz ona miała się dowiedzieć dwóch ważnych rzeczy na swój temat: że ma sześćdziesiąt siedem lat i że jako szesnastolatka została wbrew woli poddana sterylizacji. Na jej reakcję na tę wiadomość Nelson nie był przygotowany. „Nie umiem opisać swojego współczucia dla tej kobiety, kiedy zrozumiałem, że nie poinformowano jej o sterylizacji – powiedział w 1980 roku dziennikarzowi »Daily Progress« z Charlottesville. – Oto miałem przed sobą kobietę, która przez lata czuła, że zawiodła, bo nie mogła mieć dzieci. To zupełnie nie jej wina”. Nelson, za zgodą Doris i jej męża, poszedł z tą historią do prasy. „Nie wiedziałam, co mi zrobiono” – powtarzały nagłówki jej rozpaczliwym głosem.

Rok później Amerykańska Unia Wolności Obywatelskich (American Civil Liberties Union, ACLU) pozwała stan Wirginia w imieniu grupy

anonimowych osób poddanych sterylizacji w stanowych placówkach. Pozwowi przyświecała nadzieja, że przymusowe zabiegi zostaną uznane za niekonstytucyjne. Kilka lat wcześniej, w 1974 roku, Wirginia po cichu zniosła stanową ustawę sterylizacyjną. W 1979 roku wykreśliła podobny zapis dopuszczający sterylizację osób z „dziedzicznymi formami chorób umysłowych, które się powtarzają”. Nadal jednak obowiązywał precedens ustanowiony sprawą Buck kontra Bell, obowiązujący zresztą do dziś.

Dzięki Doris i Nelsonowi kilkorgu dziennikarzom udało się dotrzeć do Carrie. Większość reporterów, których drogi przecięły się w tym okresie z drogą Carrie i Charliego, opisała ich dom jako szopę lub budę pozbawioną wody i prądu, a ich samych jako bardzo niedożywionych i żyjących w skrajnym ubóstwie. Charlie był obłożnie chory. Nie wiem tego, ale się domyślam, że do tego czasu Carrie zdążyła wyciągnąć ze swojego życia ten sam wniosek co ja: że dla biednych lepiej pozostać anonimowym niż zabiegać o pomoc, która może nigdy nie nadejść.

Carrie nie była zaangażowana w pozew ACLU, ale udzieliła krótkich wywiadów Nelsonowi i kilkorgu dziennikarzom. Zgodziła się, żeby Nelson zawiózł ją do Lynchburga na grób matki. Pracownikom pomocy społecznej, dużo życzliwszym niż ci, których poznała w 1924 roku, udało się umieścić ją i Charliego w domu opieki w pobliskim Waynesboro. Małżonkowie byli tam szczęśliwi. W ciągu osiemdziesięciu lat stan Wirginia zrobił dla Carrie Buck tylko jedno – pozwolono jej umrzeć w spokoju.

Co się tyczy jej dziedzictwa, linia obrony stanu Wirginia w procesie wytoczonym przez ACLU była przewidywalna i niewzruszona: dawne działania zostały usankcjonowane przez Sąd Najwyższy i nic nie da się z tym zrobić. W 1985 roku federalny sąd dystryktowy dla Zachodniego Dystryktu Wirginii zgodził się z tą argumentacją, stwierdzając: „Niezależnie od tego, jaka może być filozoficzna i socjologiczna ocena przymusowej sterylizacji w świetle współczesnych obyczajów i myśli społecznej, pozostaje faktem, że ogólne praktyki i procedury na mocy dawnego prawa Wirginii zostały podtrzymane przez najwyższą instancję sądową w kraju w sprawie Buck kontra Bell”.

Wirginia zgodziła się natomiast utworzyć tymczasową gorącą linię, żeby umożliwić byłym pacjentkom i pacjentom szpitali stanowych dostęp do

dokumentacji medycznej, co być może zaowocowało kolejnymi szokującymi odkryciami, jak to się stało w wypadku Doris Figgins. Pozew ACLU stał się jednak fundamentem, na którym mogli dalej budować uczeni, dziennikarze, prawnicy i działacze na rzecz praw osób z niepełnosprawnością. Na przykład w 1993 roku filmowiec Stephen Trombley wyprodukował godzinny film dokumentalny *The Lynchburg Story* poświęcony przymusowej sterylizacji w Wirginii, zawierający również rozmowy z byłymi pacjentkami i pacjentami.

„Czułem, że nigdy nie wyjdę. Mówili, że jestem tam potrzebny do pracy. Mówili, że mają za mało malarzy” – powiedział Jesse Meadows reporterce Mary Carter Bishop, która miała później napisać książkę *Don't You Ever* [Ani się waż], opowiadającą o tym, jak sama na późnym etapie życia odkryła, że ma brata przyrodniego, Ronniego, przebywającego w Western State Hospital. Ronnie w Staunton nie został wysterylizowany, ale jego życie to przykład znajomego scenariusza: borykająca się z trudnościami rodzina utrzymywała w tajemnicy istnienie dziecka odesłanego do zakładu.

W 2002 roku miasto Charlottesville wreszcie postanowiło uznać Carrie Buck za swoją. Od czasów ery eugenicznej poglądy uległy zmianie, zbliżała się również ważna rocznica: siedemdziesięciopięciolecie sprawy Buck kontra Bell. W świecie traum historycznych rocznice są czymś osobliwym. Często mają w sobie mniej z godnej okazji do refleksji, a więcej z nadprzyrodzonego święta, podczas którego martwi mogą chodzić swobodnie, nie szkodząc żyjącym.

Działacze na rzecz praw osób z niepełnosprawnością uważali, że władze stanu powinny wykorzystać ten moment, aby przeprosić za swój udział w umożliwianiu sterylizacji eugenicznej. Phil Theisen z Lynchburskiego Stowarzyszenia na rzecz Zaburzeń Depresyjnych wraz z Keithem Kesslerem z wirgińskiego Komitetu Akcji na rzecz Niepełnosprawnych szykowali kampanię zachęcającą prawodawców do podjęcia tematu. „To dla Wirginii trup w szafie, który w niej pozostanie, dopóki nie zajmiemy się tym wprost – powiedział Theisen w wywiadzie dla telewizji CBS w 2001 roku. – Przeprosiny były pierwsze w swoim rodzaju, dlatego są tym ważniejsze”.

W tym samym materiale CBS wystąpił również Raymond Hudlow, który wziął na siebie ciężar wcielenia się w idealną ofiarę ruchu eugenicznego. Po nieudanej ucieczce z domu przemocowy ojciec w 1942 roku umieścił go w Lynchburg Colony. Raymonda wysterylizowano, kiedy miał szesnaście lat. Później wstąpił do wojska i w ciągu dwudziestu jeden lat służby otrzymał Brązową Gwiazdę, Purpurowe Serce i Medal Jeńców Wojennych.

Hudlow wyjaśnił, że lata, które spędził w kolonii jako nastolatek, były bardziej traumatyczne niż czas spędzony w niemieckim obozie jenieckim. „Traktowali nas jak zwykłe wieprze, jakbyśmy nie mieli uczuć” – powiedział dziennikarzom. Uosabiał ten element wirgińskiego programu eugenicznego, który był dla wielu osób najbardziej przerażający: odosobnienia i sterylizacji nie tylko ludzi „normalnych”, ale także wręcz przeczących wszelkim konwencjonalnym wyobrażeniom o ułomności. Zgodnie z tą logiką stan odmawiał przeprosin właśnie takim ludziom jak Hudlow.

On w okolicach rocznicy Buck kontra Bell doczekał się honorów ze strony władz stanowych, ale co można powiedzieć o Carrie Buck oprócz tego, że przeżyła? I jak miała to wyrazić Wirginia, żeby zabrzmiało jak zadośćuczynienie? Ówczesny burmistrz Charlottesville, Blake Caravati, powiedział dziennikarzom: „Ważne, abyśmy pamiętali o tym, co w przeszłości robiliśmy ludziom. Chociaż [Carrie] nie była równie sprawna jak my wszyscy [...], i tak została wspaniałą obywatelką. [...] Osoby z niepełnosprawnością umysłową bądź fizyczną potrafią być równie produktywne jak my wszyscy”. Kierując się ideą rehabilitacji osób mniej sprawnych poprzez produktywność, pewnie nawet nie wyczuł, że w jego pochwalę majączy cień eugeniki.

Tak czy inaczej Zgromadzenie Ogólne tuż przed rocznicą przyjęło „deklarację żalu”, zgłoszoną przez delegata z Charlottesville, Mitcha Van Yahresa. Choć nie są to oficjalne przeprosiny, to doskonałe oświadczenie, jasne i zwięzłe w wielu najważniejszych kwestiach. Jako pierwszy stan, który zdobył się na taki krok, Wirginia przyznała, że „przepisy eugeniczne wykorzystywano przeciwko praktycznie wszystkim ludzkim niedostatom” i posługiwano się „szacowną fasadą »naukowości«, aby przykryć działania ludzi o rażąco rasistowskich poglądach”.

Czy ten żal pociągnął za sobą jakiekolwiek kroki odszkodowawcze? Nie. W owym momencie władze stanu postanowiły po prostu wypełniać banalny obowiązek – tego samego oczekując od obywateli – odrzucenia „w przyszłości wszelkich podobnych odrażających pseudonaukowych ruchów”.

W 2013 roku Karolina Północna przyznała osobom, które przeszły sterylizację eugeniczną, odszkodowanie w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Liczby przymusowych sterylizacji w Karolinie Północnej były podobne do tych w Wirginii – zabiegom poddano łącznie około ośmiu tysięcy osób – ale tam niewspółmiernie często, zwłaszcza w latach sześćdziesiątych, były to czarne kobiety, a pracownicy pomocy społecznej mogli bezpośrednio wnioskować o nakaz sterylizacji. To oznaczało, że w Karolinie Północnej, inaczej niż w Wirginii, władze mogły wymusić sterylizację osób nieprzebywających w stanowych zakładach. W latach sześćdziesiątych młode czarne kobiety stanowiły tam już około sześćdziesięciu procent wszystkich osób poddawanych przymusowej sterylizacji. Chociaż w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych liczba zabiegów przeprowadzanych w Wirginii spadała, niektórzy prawodawcy ponownie zaczęli wychwalać sterylizację eugeniczną, której domniemanym celem tym razem miały być osoby czarne, bo zdawali sobie sprawę, że nowa legislacja z zakresu praw obywatelskich może osłabić ich segregacyjne społeczeństwo. W Wirginii ta próba ostatecznie się nie powiodła, ale w Karolinie Północnej podobna strategia i towarzyszące jej motywacje trafiły na podatny grunt. Ponieważ te przypadki są świeższe, program w Karolinie Północnej dotyczył kwestii związanych zarówno ze sprawiedliwością rasową, jak i reprodukcją.

W przeciwieństwie do Karoliny Północnej Wirginia za cel sterylizacji nie obierała wprost Czarnych. W epoce eugeniki władze stanu wysterylizowały 1800 osób czarnych i 5239 osób białych, co orientacyjnie odpowiada rozkładowi populacji. Wśród Czarnych siedemdziesiąt procent operacji przeprowadzono jednak na kobietach. Białe kobiety również sterylizowano częściej niż mężczyzn, ale w ich przypadku odsetek wynosił około pięćdziesięciu pięciu. Nie oznacza to, że Wirginia miała „mniej rasistowski” program eugeniczny niż inne południowe stany, a jedynie – że

sterylizację eugeniczną łączono tu z innymi metodami, które uznawano za skuteczne do wymuszania porządku społecznego na „osobach niepożądanych”, takimi jak ustawa o integralności rasowej, należąca do najsurowszych w kraju. Jak wyjaśnia Dorr: „Mimo że większość eugeników uważała czarnych za olbrzymie zagrożenie, większym powodem do niepokoju było spółkowanie z czarnymi przez upośledzonych umysłowo białych”. Wirgińscy eugenicy zapewne sądzili również, że zdołają ograniczyć rozmnażanie się wśród Czarnych, zamykając mężczyzn w więzieniach. Przypuszczalnie to dlatego czarne kobiety sterylizowano częściej niż czarnych mężczyzn, że w odczuciu eugeników sterylizacja – podobnie jak w przypadku kobiet białych – miała poprawić ich wydajność i ochronić ich białych pracodawców przed skandalem.

W 2015 roku, z poparciem obu partii, w Wirginii przyjęto rozwiązanie podobne do tego w Karolinie Północnej. Górną granicę rekompensaty wyznaczono na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów na osobę. W tle, z perspektywy aktuarialnej, wyliczono, że większość ofiar sterylizacji eugenicznej już nie żyje, ponieważ szczyt wykonywania zabiegów przypadł na lata trzydzieste. Redakcja „Washington Post” nazwała tę próbę „tak marną, że krzywd nie naprawia nawet symbolicznie”.

„Korzyścią dla społeczeństwa są brak konieczności opiekowania się nimi oraz praca, jaką wykonują. To one rąbią drwa i noszą wodę” – zeznał w 1924 roku Joseph DeJarnette, opisując miejsce Carrie Buck w świecie.

Kiedy prawie sześćdziesiąt lat później dziennikarze chcieli z nią porozmawiać o tym, co ją spotkało, Carrie zapytała: „Ale nie narobię sobie kłopotów, jak powiem, prawda?”. Nie narobiła sobie kłopotów, wtedy jednak była już bardzo chora. Jak pisał Ray Nelson, przed umieszczeniem w Okręgowym Domu Opieki w Waynesboro Carrie i Charlie musieli zostać poddani leczeniu z powodu wyziębienia i niedożywienia. Dziś Okręgowy Dom Opieki już nie istnieje, ale mieścił się niedaleko mojego domu w Staunton. Carrie i Charlie chyba znaleźli tam niejaką pociechę. Personel zapamiętał ich jako oddaną parę, przy czym z nich dwojga ona była aktywniejsza i czasem opiekunka z pomocy społecznej martwiła się, że Carrie za bardzo troszczy się o Charliego kosztem własnego zdrowia.

Opieka nad innymi przychodziła jej naturalnie, mimo wszystkiego, czego doświadczyła.

Dzisiaj Okręgowy Dom Opieki to tylko pusty budynek w rozsypce, ale mam nadzieję, że jego wiejskie otoczenie sprawiało Carrie przyjemność. Kiedy słała do Lynchburg Colony listy z wiadomościami dla Emmy, to, że dobrze się miewa, wyrażała, pisząc o swoim ogrodzie i zwierzętach. „Mamy świnię i ładny ogród i robimy tego lata dużo przetworów. Mamy ładne miejsce w ogrodzie i powiedzcie mojej matce, że kiedy tylko będę mogła, będę jej coś wysyłała. Sporo nam teraz brakuje, ale i tak jesteśmy wdzięczni za to, co mamy na tym świecie”.

Jakiś czas temu pojechałam do dawnego Okręgowego Domu Opieki w Waynesboro, żeby powspominać na miejscu. Dzień był słoneczny i ciepły. Miejscowi farmerzy wciąż jeszcze szykowali własne letnie przetwory. Ja jednak myślałam o Bożym Narodzeniu.

W 1982 roku, w święta, które miały się okazać jej ostatnimi, Carrie zrobiła przyjemność personelowi domu opieki, przyjmując wyjątkową rolę w świątecznym przedstawieniu. Wcieliła się w młodą kobietę, która według tego, co zapisano, również rzadko mogła się odezwać. Jej słowa zachowały się w tych fragmentach Pisma, nad którymi ludzie w rodzaju Josepha DeJarnette’a raczej się nie zatrzymywali w poszukiwaniu biblijnych ozdobników podczas procesu Carrie. „Ściągnął mocarze z stolic ich – śpiewa owa kobieta – a wywyższył uniżone”^[12].

Carrie Buck zagrała Maryję, kobietę podejrzaną i wygnaną z powodu dziecka, które nosiła w sobie, dziecka, które ostatecznie utraciła.

Wirgińscy mieszkańcy

W słoneczny dzień w maju 1924 roku biała Wirginia zebrała się w Charlottesville, aby świętować doniosły moment nowego Południa. To Południe nie było już kruchym bytem, który krył się ze wstydu w cieniu swojej przeszłości, ale tętniącym życiem nowoczesnym przedsięwzięciem mogącym zaistnieć dzięki sojuszowi prawa, nauki, edukacji i przede wszystkim władzy.

Po wojnie secesyjnej południowi przywódcy znosili upokorzenie aranżowanego małżeństwa. W swoim odczuciu musieli wyprzeć się tradycji i zostali niechętną do zamążpójścia panną młodą, poślubioną narodowi, który ich nie akceptował. Przez kolejne dziesięciolecia nowe gałęzie gospodarki, przemysłu oraz nowe instytucje pozwoliły jednak tym wizjonerom odzyskać prawo do własnego dziedzictwa. Zadbali o ukrycie przeszłości pod pozorem postępu, co według wielu osób, nawet tych z Północy, pozwoliło osiągnąć miłą równowagę.

W tamten majowy dzień dwadzieścia pięć tysięcy osób wyruszyło z kampusu Uniwersytetu Wirginii, rozpoczynając radosny, hałaśliwy marsz do centrum. Lokalna gazeta „Daily Progress” określiła ten marsz mianem „największego pochodu, jaki kiedykolwiek podążył ulicami Charlottesville”. Uroczystą atmosferę zapewniały orkiestry wojskowe, kadeci i żołnierze ze wszystkich zakątków stanu. Wiele miejscowych firm zarządziło dzień wolnego.

Najdostojniejszy z gości obecny był tylko duchem, ukryty w brzoisie pod osłoną flagi Konfederacji. Tego dnia ważne funkcje przejęła jednak, na miarę swoich możliwości, jego najmłodsza potomkini, trzyletnia Mary: trzymała sznur, stała prosto, słuchała wiwatów. Oto kwintesencja nowego Południa zamknięta w jednej chwili – kruche życie, pełne nabożnego

szacunku dla świętego dziedzictwa, ziszczenie obietnicy opartej na więzach krwi.

Ów podniosły dzień poprzedziło widowisko bardziej przerażające, choć nie mniej groteskowe. Zaledwie trzy dni wcześniej własną paradę na Main Street urządził Ku Klux Klan, żeby zagarniać terytorium, badać i poszerzać granice poza starannie dobrane miejsce spotkania, czynić to, czego nie dało się osiągnąć samymi pieniędzmi, nawet gdyby dosłownie kupić miasto. Jak informowała gazeta: „Tysiące ludzi wyległy na chodniki przy Main Street od stacji kolejowej C&O aż do podnóża Vinegar Hill”. Vinegar Hill – właśnie tam rozkwitało czarne Charlottesville. Już niedługo ta okolica miała przestać pełnić funkcję granicy, portalu między światem czarnych i białych mieszkańców. Miała stać się miejscem przeznaczonym wyłącznie dla białego Charlottesville.

Edwin Alderman, rektor Uniwersytetu Wirginii, wygłosił najbardziej poruszającą przemowę tego dnia, w przyjemny sposób zacierając granicę między mieszkańcami miasta a środowiskiem akademickim. Tego dnia, w tym właśnie miejscu, całe Charlottesville miało pobrać naukę i tak już miało być po wsze czasy.

„Czy wyobrażacie sobie, jak wielką miłością lud darzy uosobienie wszystkiego, co w nim najlepsze? – mówił Alderman o nieobecnym bohaterze obchodów. – To jasny dowód bożej dobroci i mądrości, że jakiś lud umieścił na swym czele postać tak wybitną, a mieszkańcy naszej społeczności mogą się uważać za szczęśliwców, że na wiek wieków stanie tu przed nimi tak wspaniałe odzwierciedlenie owej wielkiej, szlachetnej, czcigodnej postaci”. W pochwałach Aldermana nostalgia za minionymi czasami łączyła się ze współczesnym, niemalże eugenicznym łaknieniem człowieka idealnego.

Oficjalne przemowy dobiegły końca. Wzrok wszystkich znowu padł na Mary, która najważniejszą powinność wciąż jeszcze miała przed sobą. Jeśli w jej wykonaniu pomogły czyjeś silniejsze ręce, nie zostało to odnotowane. Wiemy tylko o efekcie: elektryzującym połączeniu starego z nowym, tego, co było, z tym, co według nadziei zebranego tłumu miało być już zawsze.

Mary pociągnęła za sznur. Rozwinęły się warstwy flagi Konfederacji skrywające ową wybitną postać i odsłoniły posąg jej pradziadka: Roberta E.

Lee.

Dwa miesiące przed odsłonięciem pomnika generała Lee w Charlottesville Zgromadzenie Ogólne Wirginii przyjęło ustawę o integralności rasowej. Ustawę sterylizacyjną wprowadzoną w tym samym czasie przygotowano z myślą o selekcji. Ustawa o integralności rasowej była natomiast prawem podporowym. Łącznie miały one chronić białą czystość rasową przed skażeniem, tak z zewnątrz, jak i od środka.

Jako prawo umacniające nowa wirgińska ustawa zawierała trzy konkretne zapisy w celu zapobiegania międzyrasowym małżeństwom i rozmnażaniu: obywatele musieli rejestrować swoją rasę w urzędzie stanowym, umyślne zafałszowanie przynależności rasowej uznano za ciężkie przestępstwo, a „osobę białą” zdefiniowano jako taką, która „nie ma jakiegokolwiek śladu krwi innej niż kaukaska”, przy czym przewidziano wyjątek dla osób „posiadających najwyżej jedną szesnastą krwi Indian amerykańskich i żadnej innej krwi niekaukaskiej”^[13]. Przedstawiciele rdzennych ludów przekraczający ten współczynnik krwi zostali „kolorowymi”. Po wprowadzeniu takich kategorii ustawa stwierdzała, że „żadna osoba biała w tym Stanie nie ma prawa zawrzeć małżeństwa z nikim oprócz innej osoby białej”. Decydujące słowo w kwestii przynależności rasowej danej osoby miało należeć do wirgińskiego Bureau of Vital Statistics (Urzędu Stanu Cywilnego).

Walter Plecker, kierownik biura, znaczenie tego prawa wyjaśnił personelowi następująco:

Ustawa ma na celu poprawę sytuacji, z której zdają sobie sprawę tylko co troskliwsi ludzie w Wirginii [...]. Szacuje się, że w tym Stanie mieszka od dziesięciu do dwudziestu tysięcy, a może nawet więcej, osób prawie białych, o których wiadomo, że posiadają domieszkę krwi kolorowej, w niektórych przypadkach, owszem, nieznaczną, ale wystarczającą, żeby nie mogły być białe.

Kiedy Plecker wspominał o „co troskliwszych ludziach w Wirginii”, miał na myśli siebie. Był kluczową postacią ruchu na rzecz przyjęcia ustawy, którą Earnest Cox, jego przyjaciel i towarzysz krucjaty, wychwalał jako „najdoskonalszy wyraz białego ideału i najważniejsze przedsięwzięcie eugeniczne w ciągu ostatnich czterech tysięcy lat”.

Plecker i jemu podobni fanatycy jedno z największych zagrożeń dla porządku społecznego Wirginii widzieli w klasie często nazywanej „mieszkańcami”. Mieszkańcy – eugeniczny straszak analogiczny do „upośledzonych umysłowo” – byli według Pleckera „grupą łączącą w sobie najgorsze cechy zarówno zdobywców, jak i podbitych”. Zagrożenie z ich strony było szczególne, ale znajome: rozmnażając się, nie tylko przekazywali dalej ułomne geny, ale także zmniejszali społeczną zdolność postrzegania rasy. Dla społeczeństwa, które porządek budowało na hierarchii rasowej, był to problem.

Stworzenie kategorii mieszkańców wskrzesiło dawne lęki białej Wirginii przed „podającymi się za białych” i tchnęło w nie pierwiastek eugenicznej grozy. Co czeka społeczeństwo, jeśli ludzie niebędący białymi, ale wyglądający jak oni będą mogli zapisywać dzieci do białych szkół, uczęszczać do białych kościołów i osiedlać się w białych dzielnicach? Eugenika pomogła białym Wirgińczykom odpowiedzieć na to pytanie przesunięciem wskazówek zegara zagłady bliżej północy. Jak rozumowano, tacy mieszkańcy nie tylko sięgną po zasoby i władzę, ale również nieodwracalnie zanieczyszczą białą krew.

Mieszkańcem mógł być każdy, kogo eugenicy uznali za owoc krzyżowania ras, ale dla Waltera Pleckera i jego kręgów zawsze byli to również konkretnie przedstawiciele rdzennych ludów. Biali Wirgińczycy od dawna reagowali histerycznie na faktyczne i hipotetyczne przypadki mieszania się Czarnych i białych. W rdzennych ludach eugenicy w rodzaju Pleckera dostrzegali jednak – i zamierzali to wykazać – otchłań jeszcze głębszą: ludzi nie dwu-, ale trójarasowych. Na nowo zdefiniowali rdzennych Amerykanów jako mieszkańców z domieszką krwi białej, czarnej i rdzennej. Eugeniczna logika dotycząca zagrożenia z ich strony wyglądała następująco: kiedy dochodzi do skrzyżowania dwóch ras, dominującymi cechami zawsze stają się te najgorsze, jest zatem oczywiste, że wynikiem skrzyżowania trzech ras będzie zwyrodnienie jeszcze poważniejsze.

Kontrola „amalgamacji”, czyli mieszania ras poprzez rozmnażanie, sprawiła również, że biali Wirgińczycy nabrali większej pewności, że mogą zapanować nad swoim światem fizycznym. Jednym z domniemywanych i oczekiwanych skutków przyjęcia ustawy o integralności rasowej miała

być depopulacja „osób niepożądanych”: zarówno tych, które jeszcze nie przyszły na świat, jak i tych, które z pewnością opuściłyby stan, a może nawet kraj, uznawszy go za niegościnny. Ten cel białych Wirgińczyków uwidocznił się również w organizacji miast, gdy nalegali na segregację mieszkaniową i znaczyli swoje terytorium korowodami przemocy oraz wznoszonymi pomnikami.

Wśród fali materiałów, które powstały po wiecu Unite the Right z sierpnia 2017 roku, wyróżnia się depesza Vanna Newkirka z Charlottesville, opublikowana w „Atlanticu” tydzień po atakach. Newkirk starał się zrozumieć, jak czarni mieszkańcy miasta reagują na te ataki. Odpowiedzi szukał w sklepach spożywczych, kościołach, zakładach fryzjerskich i na Uniwersytecie Wirginii. Pytał o dzisiejsze miasto oraz o to, jakie było kiedyś. Gdziekolwiek poszedł, trafiał na tę samą odpowiedź. „W Charlottesville napotkałem nie strach – napisał – ale przyzwyczajenie”.

Jeśli zechcecie zrozumieć, jak powstała wirgińska ustawa o integralności rasowej, jednym z pierwszych miejsc, które odwiedzić, będzie Biblioteka Zbiorów Specjalnych im. Alberta i Shirley Smallów na Uniwersytecie Wirginii. Tam powinniście zapytać o dokumenty Johna Powella, wychwalanego niegdyś absolwenta tej uczelni, który w 1922 roku razem ze swoimi towarzyszami, Walterem Pleckerem i Earnestem Coxem, założył pierwsze w Wirginii towarzystwo na rzecz obrony integralności rasowej.

Przewodnik po tych archiwalnych zbiorach wyjaśni wam, że Powell był „słynnym w świecie pianistą i kompozytorem, urodzonym w Richmond w Wirginii 6 września 1882 roku”. W krótkiej biografii Powella najdłuższe są szczegóły dotyczące osiągnięć muzycznych. Ale co jeszcze zrobił? Odpowiedź znajdziemy w ostatnim akapicie biografii: „Przez wielu był uważany za »ojca przepisów o integralności rasowej w Wirginii«”.

Jak wynika z tej biografii, Powell nie był politykiem. Raczej kimś w rodzaju desperacko rasistowskiego influencera, postacią, której sława sama w sobie stała się jakby narzędziem propagandy. Urodzony w elitarnej wirgińskiej rodzinie jak wielu sobie podobnych pielęgnował toksyczną obsesję na punkcie przeszłości. O ile jednak przywódcy w rodzaju

Aldermana odbudowywali się w cieniu Lee i Stonewall Jacksona, o tyle obsesja Powella była przejawem bardziej złożonych poglądów.

Jak każde rozpieszczone dziecko, uważał się za najlepszego z chłopców. Jego talenty? Bezkonkurencyjne. Wyrafinowanie? Niezrównane. Bogactwo? Elitarne. Rodowód? Wyśmienity. W umyśle Powella jego pochodzenie wiązało się jednak również z coraz bardziej obłąkanym wyobrażeniem, że najdoskonalsi genetycznie osobnicy na świecie to potomkowie prastarej rasy – najczystszy z czystych, godni jeszcze większych zachwytów.

Powell nie zadowalał się pozycją wśród wirgińskiej białej elity, podawał się więc również za Anglosasa, dziedzica geniuszu pradawnych zdobywców i budowniczych cywilizacji. Teza o jego korzeniach genetycznych wzbogacała rozumienie przeszłości o element mityczny, aby podkreślić rolę Anglosasów jako kustoszy wszelkich cnót. W ujęciu Powella byli oni twórcami praw i obrońcami wolności. Zarazem jednak stanowili podgrupę krzepką i jurną, która nie bała się ubrudzić rąk przemocą i podbojem, kiedy to było konieczne.

Czy genetyczną potęgę Powella osłabiała przebywanie na amerykańskiej ziemi? Bynajmniej. Migracja przodków była wręcz błogosławieństwem, bo ochroniła anglosaskie nasienie przed zanieczyszczeniem przez ostatnich Europejczyków. Ku jego konsternacji owi pośledniejsi ludzie, na przykład Żydzi z Europy Wschodniej, aktualnie imigrowali do Ameryki w rekordowych liczbach. Co prawda nie wszyscy, których Powell szanował, mogli się akurat poszczycić równie wyjątkowym jak on dziedzictwem genetycznym, był jednak przekonany, że oni także zaakceptują zbiór wspólnych wartości, które on określi na podstawie swego wybitnego rodowodu, albo przynajmniej się im nie przeciwstawia. Innymi słowy Powell wierzył w rasę panów.

Nie on jeden. Był akolitą przyrodnika Madisona Granta, autora książki *The Passing of the Great Race* [Przemijanie wielkiej rasy] z 1916 roku. To właśnie Grant jak chyba nikt inny w tamtej epoce nadał ton wielkiemu rozkwitowi rasizmu naukowego, za sprawą nie tylko swoich przekonań, ale również tego, jak umiał to wyrazić.

Grant był żmiją nad żmiję, człowiekiem byстрыm i jadowitym, cieszącym się wielkim bogactwem i referencjami rodziny z tradycją. Ośrodkiem jego władzy był Nowy Jork, gdzie obserwował rozrastanie się metropolii za sprawą nowych imigrantów i oddawał się pasji naukowej w Nowojorskim Ogrodzie Zoologicznym (dzisiejsze Bronx Zoo). Wielu wczesnych działaczy na rzecz ochrony przyrody podziwiała go za teorie dotyczące zarządzania dziką przyrodą. Grant uważał mianowicie – jak przystało na eugenika, którym później miał zostać – że najlepsze zwierzęta trzeba chronić, aby najlepsi ludzie mogli sobie na nie polować. Ponadto zdarzało mu się opowiadać za umieszczaniem afrykańskich mężczyzn w klatkach i pokazywaniem ich razem ze zwierzętami.

Ian Frazier, w artykule w „New Yorkerze” z 2019 roku, zwraca uwagę na to, że taki portret Granta to jego „lepsza” wersja: przyrodnika w typie Teddy’ego Roosevelta, prowadzącego ludzkie zoo i ratującego zwierzęta tylko po to, żeby do nich strzelać. „Jednak – ostrzega Frazier – niczym komiksowy bohater, w którym kryje się arcyłotr planujący zniszczyć wszechświat, Grant miał także inne oblicze”.

To inne oblicze Granta często przekonywało, tak jak na stronach *The Passing of the Great Race*, że „Prawa Natury wymagają unicestwienia nieprzystosowanych”. Kim jednak są nieprzystosowani? Grant sugerował, że każda odpowiedź na to pytanie musi mieć początek w odpowiedzi na inne: kim są ci przystosowani najlepiej? Za najdoskonalszą rasę uznawał lud nordycki, którego podgrupą byli Anglosasi. Skoro istniały „rasy dotkliwie pobite”, jak powiedziałyby każdy eugenik, musiała istnieć również rasa, która je pobiła. Zgodnie z takim ujęciem inne ludy wyglądające na białe, ale pozbawione nordyckich korzeni (na przykład Włosi), stawały się nośnikami „charakteru wiejskiego”, przetrwały jako rasa, ale „wielce upośledzone”. W przeciwieństwie do nich Nordycy byli „rasą żołnierzy, żeglarzy, poszukiwaczy przygód i odkrywców, ale przede wszystkim władców, organizatorów i arystokratów”. Adam Serwer pisze w „Atlantycu”: „Grant zmieszał propagandę nordyckości z panikarstwem i stworzył naukową fasadę dla poglądów, które wielu białych i tak już chciało wyznawać”. Jego idee idealnie wpasowały się w społeczeństwo

przekonane, że jest celem ataku ze strony imigrantów, Czarnych oraz białych z marginesu.

Nazwanie Granta rasistą naukowym – dla określenia przekonań posługujących się pseudonauką w celu dowiedzenia wyższości rasowej białych – jest trafne zgodnie z naszym współczesnym rozumieniem tego terminu, ale także bardzo wielkoduszne. Tak samo jak w przypadku jego wielbiciela Johna Powella, podwaliny przekonań Granta tworzą niespójny śmietnik, polepiony ze splagiatowanych idei. Całkiem celną obelgą, posługującą się językiem zrozumiałym dla Powella i Granta, byłoby określenie ich teorii mianem mieszaniny najgorszych elementów już i tak złych pomysłów. Do wybuchu drugiej wojny światowej *The Passing of the Great Race* miało cztery wydania i w sumie trzynaście dodruków. Wśród tych wszystkich egzemplarzy był jeden wyjątkowy, który Adolf Hitler nazywał swoją biblią.

Biograf Granta, Jonathan Spiro, pisze: „[...] niczym pająk przycupnięty pośrodku coraz bardziej misternej sieci [...] Grant leżał w swoim łóżku na Manhattanie i za pomocą telefonu, telegrafu oraz poczty po mistrzowsku koordynował działania zespolonego sztabu dowodzenia rasizmem naukowym”. W 1924 roku Grant i jego akolici mogli już sobie przypisywać zasługi za obowiązujące w kraju nowe restrykcyjne przepisy imigracyjne.

Ivey Forman Lewis, biolog, który w 1946 roku został dziekanem Kolegium Sztuk i Nauk Uniwersytetu Wirginii, opisywał trwałość dziedzictwa Granta. W listach znalezionych później przez Gregory’ego Dorra pisał do kolegi: „Nie ma drugiej równie uznanej zasady biologicznej jak ta o nierówności ras, a jednak socjologowie, zwłaszcza ci żydowscy, głośno i skutecznie zaprzeczają istnieniu jakichkolwiek różnic rasowych, a nawet twierdzą, że nie ma czegoś takiego jak rasa. Śmieją się i szydzą, siejąc wzgardę dla książek takich jak *The Passing of the Great Race* Madisona Granta”.

W swoim uznaniu dla Granta i jego propagandy rasy panów John Powell przechodził przez różne fazy, w tym muzyczną. Jego słynna kompozycja *Rhapsodie Negre*, po raz pierwszy wykonana w 1922 roku, eksploruje temat podporządkowania „autentycznych prymitywów” z Afryki „cywilizacji kaukaskiej”. Powell zadedykował premierę Josephowi Conradowi,

współczesnemu sobie pisarzowi obficie czerpiącemu z mitów o Afryce jako „Czarnym Lądzie”, czego najsłynniejszym przykładem jest *Jądro ciemności* z 1899 roku. W notce biograficznej dołączonej do programu kompozytor przedstawił się jako założyciel Towarzystwa na rzecz Ochrony Integralności Rasowej na Uniwersytecie Wirginii.

W 1922 roku, u szczytu swojej muzycznej sławy, Powell w wirgińskim Richmond założył Kluby Anglosaskie Ameryki (Anglo-Saxon Clubs of America). Liczba mnoga w słowie „kluby” oraz dopisek „Ameryki” były trochę na wyrost, ale to bardzo w jego stylu. Miała to być organizacja rozumnych rasistów, osób tak zamożnych albo o tak wysokiej kulturze umysłowej, że nie mogły się dobrze czuć w Ku Klux Klanie. Nie chodziło również o stworzenie tajnego bractwa. Kluby Anglosaskie miały być pełne ludzi jawnie demonstrujących swoje referencje – i swój rodowód – aby inni mogli je podziwiać. Czerpiąc lekcje od Granta, a także z własnej sławy, Powell doceniał moc propagandy oraz zalety organizacji posiadającej silne grono wtajemniczonych.

Do jego pierwszych sprzymierzeńców należeli Walter Plecker z Bureau of Vital Statistics oraz Earnest Sevier Cox, który niedawno przeprowadził się do Richmond, autor świeżego fanfika Madisona Granta pod tytułem *White America* [Biała Ameryka]. Plecker, lekarz z wykształcenia, w 1912 roku został pierwszym urzędnikiem stanu cywilnego w Wirginii. Urodził się w hrabstwie Augusta jako syn weterana wojsk Konfederacji, a jego światopogląd ukształtował się na podstawie porządku życia oraz pracy w rodzinie właścicieli niewolników. Często twierdził, posługując się ową szczególną logiką Starego Południa, że jego rasistowskie koncepcje mają przynosić korzyść nie tylko białym, ale także Czarnym. Wedle jego rozumowania Czarni zawsze będą gorsi od białych, ale jeśli poddadzą się korekcyjnemu wpływowi ludzi lepszych od siebie, może da się ich nauczyć dokonywania korzystnych zmian w obrębie własnej rasy.

Earnest Cox był separatystą rasowym i prymitywniejszą wersją Granta. Poza Richmond występował jako biały ambasador United Negro Improvement Association (Zjednoczonego Stowarzyszenia na rzecz Poprawy Położenia Murzynów) Marcusa Garveya, panafrykańskiej

organizacji zabiegającej w tamtych czasach o wsparcie finansowe, które pozwoliłoby w ramach repatriacji wysłać Czarnych ze Stanów Zjednoczonych do Afryki. Cox był także agentem nieruchomości, kaznodzieją metodystycznym i podróżnikiem. Pasję do rozwiązywania problemów rasowych rozbudził w nim kilkuletni pobyt w Afryce Południowej, gdzie obserwował korzystną jego zdaniem relację między kolonistami a skolonizowanymi.

Cały ten tercet tworzył nie lada sojusz. Powell był w nim oczywiście charyzmatycznym gwiazdorem, czyniącym cuda za sprawą swoich przekonań i uroku. Oczytany Plecker pilnie pracował za kulisami, tworzył światy statystycznych koszmarów i robił użytek z historycznej matematyki eugeników, żeby uwydatnić głoszone przez ich organizację tezy o samobójstwie rasy. Cox wypełniał obowiązki doprawiał ogniem piekielnym – najwyraźniej był lepszym mówcą niż pisarzem – a jego oportunistyczna przyjaźń z czarnymi separatystami nadawała kręgom Powella fałszywych pozorów szlachetności. Świat mógł o nich myśleć: „oto zacni ludzie skoncentrowani na rozwiązaniach, a nie tacy zbyt dumni, żeby wyciągnąć rękę przez granicę podziału rasowego, kiedy zachodzi potrzeba”.

Powell, jako jeden z najsłynniejszych mieszkańców Richmond, był w przyjaznych stosunkach z białą prasą w mieście. W 1923 roku „Richmond Times-Dispatch” udostępnił Klubom Anglosaskim doskonałe miejsce w niedzielnym magazynie, żeby mogły zapytać: „Czy biała Ameryka stanie się narodem negroidalnym?”. To pytanie było jak istny rollercoaster: unosiło białych Wirgińczyków na przerażające wyżyny, aby sprowadzić ich na ziemię, gdzie czekało konkretne rozwiązanie. Wirginia, przekonywał Powell, potrzebowała ustaw o czystości rasowej i zakazie mieszania ras tak stanowczych, jakie tylko uda się uchwalić. Później uzasadnił ten postulat w kategoriach zrozumiałych dla wirgińskiej białej awangardy, ale myśl eugeniczna poniosła go dalej: „to, że jedna kropla krwi murzyńskiej czyni murzyna, nie jest już teorią opartą na dumie rasowej ani uprzedzeniu wobec koloru skóry, ale logicznie wywiedzionym faktem naukowym”. Lato 1923 roku Powell, Plecker i Cox spędzili na drużynowych występach w richmondzkiej prasie; Powell i Cox pisali

panikarskie felietony, a Plecker wyrażał później podobne poglądy w artykułach tłumaczących, jaką rolę w tym projekcie może odegrać jego urząd.

Kiedy w Wirginii zbliżała się sesja ustawodawcza 1924 roku, nasiliły się głosy wsparcia dla przepisów w rodzaju tych postulowanych przez Kluby Anglosaskie. Cele organizacji zyskały aprobatę „Richmond Times-Dispatch” i „Richmond News Leader”, a także niezawodnej kadry sławnych białych nacjonalistów, w tym Madisona Granta, który napisał: „Byłoby to, oczywiście, straszliwą katastrofą, nie tylko dla Południa, ale całego narodu – a wręcz dla cywilizacji jako takiej – gdyby cokolwiek zakłóciło zmagania o supremację białej rasy. W przeszłości wiele białych cywilizacji osłabił i doprowadził do ruiny właśnie podstępny rozrost zmieszanych ras w niższych warstwach społeczeństwa”.

Wersję projektu ustawy przyjęto w marcu 1924 roku. Jej duch odzwierciedlał postulaty Klubów Anglosaskich, z jedną ważną różnicą. Pierwotnie zaproponowane zapisy dotkliwie uraziły wpływowych członków wirgińskiej arystokracji, ponieważ mimowolnie kwestionowały ich genetyczne referencje. Wiele najbardziej elitarnych rodzin w Wirginii uważało się bowiem za potomków kobiety znanej jako Matoaka, którą oni jednak nazywali Pocahontas. W myśl pierwotnie proponowanej bezkompromisowej reguły „jednej kropli” wszyscy ci potomkowie zostaliby „kolorowymi” – straszliwa katastrofa, jak by to ujął Madison Grant. Ostatecznie projekt uzupełniono o tak zwany „wyjątek Pocahontas”. Osoby białe z domieszką co najwyżej jednej szesnastej „krwi indiańskiej” w oczach władz stanu pozostawały białe.

Dla Waltera Pleckera ustawa o integralności rasowej była szczytowym punktem kariery. Zarazem jednak chyba najgorszym. Jego zdaniem za sprawą wyjątku Pocahontas powstała niebezpieczna furtka. Uważał za praktycznie pewne, że mieszańcy spróbują tę lukę wykorzystać, żeby w oczach Wirginii stać się białymi. Aby temu zapobiec, wszczął kampanię, którą wódz William Miles z plemienia Pamunkey nazwał później „statystycznym ludobójstwem”. Wykorzystując władzę urzędu, który dotyczył każdej sfery życia w całym stanie, Plecker stworzył fałszywe akta genealogiczne rdzennych ludów Wirginii, którymi później chwalił się

słowami: „Dokładniejsze nie są nawet genealogiczne badania Żydów zrobione przez Hitlera”.

Po 1924 roku w świecie, przez który szli wszyscy Wirgińczycy, kiedy się rodzili, brali ślub i umierali, nie istniały rdzenne ludy. Zamiast nich istnieli ludzie „kolorowi” podający się za Indian. Plecker, architekt tego świata, bynajmniej nie zaprzeczał, że przed przybyciem białych osadników Stany Zjednoczone były zaludnione przez rdzennych mieszkańców. Twierdził natomiast, że z czasem grupy te uległy wymieszaniu z białymi, a częściej – z Czarnymi.

Pleckera nie interesowało, za kogo te osoby się uważają. Ich samoidentyfikację uznawał za irytujący zwyczaj ludzi gorszego nasienia, mający na celu zagarnianie przywilejów, które powinny być zarezerwowane dla białych. Rząd federalny pozwalał członkom rdzennych ludów na przykład na zgłaszanie rasy „indiańskiej” podczas przyjęcia do wojska. To zwalniało ich ze służby w oddziale podlegającym segregacji i pozwalało walczyć ramię w ramię z białymi żołnierzami. Tego rodzaju luki prawne, podobnie jak wirgiński wyjątek Pocahontas, doprowadzały Pleckera do szału.

Jego lęk i rozdrażnienie często skupiały się na dwóch sąsiadujących ze sobą górzystych hrabstwach Amherst i Rockbridge, położonych niedaleko Lexington, na południowym skraju doliny Shenandoah. Dzisiaj większość tego obszaru to tereny należące do Narodu Indiańskiego Monacan, jak na przykład Bear Mountain, gdzie na miejscu dawnej misji działa muzeum plemienne. W 1925 roku Plecker pisał: „Grupa około 800 podobnych ludzi z Amherst i Rockbridge sprawia nam najwięcej kłopotów swoją liczebnością i uporczywym twierdzeniem, że są Indianami. Pełne najlepszych intencji grono pracowników kościelnych stworzyło »misję indiańską«, wokół której się gromadzą”. Zaawansowane były już wtedy jego prace nad tym, co członkowie rdzennych ludów Wirginii nazwali „czarną listą” Pleckera: zestawieniem nazwisk, które uznał za częste wśród kłopotliwych „kolorowych” Wirgińczyków, zwłaszcza takich, którzy – jak „ludzie z Amherst i Rockbridge” – przypuszczalnie chcieliby podawać się za białych.

W swoim noworocznym okólniku w 1943 roku Plecker ostrzegał lokalnych pracowników Bureau of Vital Statistics, aby spodziewali się, że rdzenni Amerykanie „rzucą się rejestrować jako biali”. To prawda, że ostrzegał przed tym stale, tym razem jednak był szczególnie zatroskany, bo członkowie rdzennych ludów próbowali się sprzeciwić rejestracji jako „Murzyni” przy poborze do wojska. Aby pomóc lokalnym oddziałom urzędu w rozpoznawaniu owych „mieszkańców”, jak ich nazywał, załączył listę nazwisk „mieszanych negroidalnych rodzin z Wirginii usiłujących uchodzić za »Indian« albo białych”. I tak na przykład w hrabstwie Amherst przestrzegał przed rodzinami o następujących nazwiskach:

Adcock (Adcox), Beverly (obecnie ta rodzina stosuje unik polegający na przyjęciu nazwiska Burch lub Birch, które nosiła biała matka osób z bieżącego pokolenia), Branham, Duff, Floyd, Hamilton, Hartless, Hicks, Johns, Lawless, Nickles (Knuckles), Painter, Ramsey, Redcross, Roberts, Southards (Suthards, Southerds, Southers), Sorrells, Terry, Tyree, Willis, Clark, Cash, Wood.

Następnie dodał: „Starania swoich pseudoindiańskich braci bacznie obserwuje 150 tysięcy innych mulatów z Wirginii, gotowych rzucić się w ich ślady, jeśli tylko pierwsi z nich stworzą wyłom w tamie”.

W *Segregation's Science* Gregory Dorr opisuje, jak u Pleckera „oddanie sprawie integralności rasowej ocierało się o monomanię. Groził położnym i matkom. Patrolował cmentarze, wprowadzał segregację grobów i bronił integralności rasowej wirgińskich zwłok”. Jego metody były brutalne i skuteczne. Świat był taki, jak powiedział Plecker, nawet jeśli to oznaczało zmienianie akt osób rodzących się w Wirginii i korygowanie akt tych, którzy już dawno nie żyli.

Szczególna obsesja Pleckera na punkcie hrabstw Rockbridge i Amherst brała się ze splotu przekonań i uraz. Pogląd, że góry pełne są ułomnych ludzi, za sprawą odosobnienia i endogamii, był już od dawna zakorzeniony wśród eugeników. Jak Plecker wyjaśnia w listach, za niepokojące uznawał również tamtejsze „uporczywe obstawanie przy byciu Indianami”. Ponadto sam wychowywał się tuż za górą, w hrabstwie Augusta, około pięćdziesięciu kilometrów dalej. Może dlatego, że jego światopogląd kształtował się w tej części stanu, zawsze chciał ją odmienić na swoje podobieństwo.

Hrabstwo Rockbridge było też miejscem wczesnej, upokarzającej porażki Pleckera. W 1924 roku wirgiński sędzia uchylił jego decyzję o odmowie zgody na ślub, o którą wystąpiła młoda kobieta, Atha Sorrells, z narzeczonym. Plecker i jego lokalny urzędnik utrzymywali, że zgodnie z nową ustawą o integralności rasowej Sorrells jest kolorowa, a narzeczony – biały. Dla rodziny Sorrellsów było to nowością i spór skończył się w sądzie hrabstwa Rockbridge.

Według rodziny każdy Sorrells, jak sięgnąć pamięcią, był biały, uznawany za białego i uważał, że wygląda jak biały. Uczęszczali do białych szkół i białych kościołów. Nowe prawo dawało jednak Pleckerowi swobodę budowania reguł wokół swoich ulubionych teorii, a wierzył, że mieszanie ras było powszechne wśród rodzin osiadłych w okolicy South River, gdzie mieszkali Sorrellsowie. Twierdził, że dysponuje dokumentami potwierdzającymi, że Atha Sorrells ma „murzyńską krew”. Sorrellsowie utrzymywali natomiast, że mieli wśród przodków osobę rdzennego pochodzenia, którą najprawdopodobniej błędnie sklasyfikowano, kiedy Wirginia odchodziła od podziału na białych, wolnych (Czarnych) i niewolników. Innymi słowy Sorrellsowie powołali się na wyjątek Pocahontas, który tak bardzo drażnił Pleckera.

Wygrali proces, głównie dlatego, że sędzia, Henry W. Holt, się pogubił. Plecker nadmiernie skomplikował sprawę zawiłymi drzewami genealogicznymi, antykwarycznym pieprzeniem oraz własną osobowością, która nad klarowną prezentację faktów przedkładała kazania na temat niebezpieczeństw mieszania ras. Kiedy Plecker zeznawał, Holt liczył, ilu przodków może mieć on sam. „Na przestrzeni dwudziestu pięciu pokoleń – wyjaśnił później w orzeczeniu – ma się trzydzieści dwa miliony dziadków, nie wspominając o babkach, przy założeniu braku małżeństw w obrębie rodziny”. Zastanawiał się, czy od pewnej granicy rzeczywiście trzeba ich dokładnie znać.

W tej historii sędzia Holt nie jest jednak bohaterem. To po prostu biały Południowiec o bardziej realistycznym punkcie widzenia. Chociaż wyraził „serdeczne zrozumienie” dla celów Pleckera, nie warto było poświęcać zasobów stanu i powoływać się na jego władzę, żeby roztrząsać rodowód nieszkodliwej rodziny od dawna akceptowanej jako biała. Taka

agresywność może wręcz zaszkodziłaby sprawie. Złośliwe egzekwowanie przepisów mogło poskutkować uchyleniem skądinąd przydatnego prawa.

Plecker był oburzony wyrokiem. Pozyskał wsparcie Powella, który oddał strzał ostrzegawczy w postaci broszury zatytułowanej *The Breach in the Dike. An Analysis of the Sorrels [sic] Case, Showing the Danger to Racial Integrity from Inter-marriage of Whites with So-called Indians* [Wyłom w tamie. Analiza sprawy Sorrelsów (sic), ukazująca zagrożenie integralności rasowej spowodowane mieszanymi małżeństwami białych z tak zwanymi Indianami]. Sięgając po swoje ulubione tępe narzędzie, czyli metaforę tamy, Powell i spółka ostrzegali: „Jeżeli chcemy chronić naszą cywilizację, nasze ideały, duszę naszej rasy, musimy położyć kres” wszelkiego rodzaju podawaniu się za białych. Prywatnie jednak Plecker akceptował decyzję Holta. Rozwagał odwołanie się do sądu wyższej instancji, ale uznał, że nie warto ryzykować potencjalnego osłabienia prawa, gdyby znowu przegrał. „Liczymy na dotrwanie do następnej sesji ustawodawczej i nakłonienie legislatury do przyjęcia ustawy zakazującej małżeństw Indian z białymi” – napisał do jednego ze swoich urzędników.

W tym zakresie, jak sądził, miał asa w rękawie. Wiedział, że jeden z najlepszych pracowników terenowych Bureau of Vital Statistics właśnie pisze nową książkę o tej części Wirginii. Jej publikacja, rozumował Plecker, nie tylko dostarczy jego krucjacie nowej amunicji, ale także podniesie rangę sprawy, której hołdował, dzięki reputacji przywódców ogólnokrajowego ruchu.

Górski i wiejski prymitywizm od zawsze stanowił niewyczerpane źródło inspiracji dla gównianych pisarzy. To stwierdzenie równie prawdziwe dziś, jak w epoce eugeniki. Wtedy jednak barwne opowieści o góralach i wieśniakach, którzy wśród wzgórz zatrzymali się w czasie, zmieniały się bez większej ingerencji w pogłoski o ludziach ułomnych. Eugenicy uważali ich za kakogennych, od greckiego słowa *kakos*, czyli „zły”. Kakogenne rodziny były zaś, w przekonaniu eugeników, żywym dowodem na to, że z upływem czasu dochodzi do szerzej zakrojonego pogarszania się genów.

Po ukazaniu się w 1877 roku książki Richarda Dugdale’a *The Jukes. A Study of Crime, Pauperism, Disease and Heredity* [Juke’owie. Studium

przestępczości, nędzy, chorób i dziedziczności] badania rodzin stały się dla eugenicznych pracowników terenowych jednym z podstawowych przedsięwzięć. W swojej analizie „rodziny ze wzgórz” stanu Nowy Jork Dugdale szacował, że od czasu przybycia jej przodka do Ameryki na początku osiemnastego wieku ta jedna rodzina wydała na świat kilkuset beneficjentów pomocy społecznej oraz dziesiątki skazanych przestępców, prostytutek i właścielek domów publicznych. Twierdził, że łącznie kosztowali oni stan Nowy Jork ponad milion dolarów.

Praca Dugdale’a stała się doskonałym modelem dla badań, które podmioty publiczne i prywatne, od stowarzyszeń więziennych po rodzinę Rockefellerów, gotowe były sfinansować. W 1916 roku Arthur Estabrook, pracownik terenowy Biura Dokumentacji Eugenicznej, przeredagował badanie Dugdale’a, aby podkreślić rolę ułomnych genów. Zaktualizował też koszty generowane przez rodzinę Juke’ów, które wynosiły teraz ponad dwa miliony dolarów.

W 1923 roku Biuro Dokumentacji Eugenicznej wysłało Estabrooka do hrabstwa Amherst w Wirginii, aby zbadał „zaginione plemię” ponoć mieszkające w Paśmie Błękitnym. Pierwszą wskazówkę uzyskał od Harveya Jordana, eugenika z Uniwersytetu Wirginii, który w 1939 roku został dziekanem tamtejszego Kolegium Medycznego. Uniwersytet Wirginii nie uczestniczył jednak w badaniach Estabrooka w tej konkretnej dziedzinie, kiedy jego projekt zaczął nabierać kształtów dekadę później. Estabrook nawiązał za to współpracę ze Sweet Briar College, prowincjonalną żeńską uczelnią z hrabstwa Amherst, zlokalizowaną tuż obok obszaru jego badań.

Partnerem Estabrooka został Ivan McDougale, wykładowca Sweet Briar, który miał prowadzić badania i służyć za lokalnego przewodnika. McDougale należał do osób, które Biuro Dokumentacji Eugenicznej uważało za sojuszników w kręgach akademickich. Wprowadził eugenikę na uczelnię tuż po swoim przybyciu w 1918 roku i przyczynił się do włączenia jej do programu nauczania na kierunku socjologicznym. Dla Biura Dokumentacji Eugenicznej stał się przez to cennym współpracownikiem. Do zaoferowania miał jednak również coś ważniejszego: dostęp do dziesiątek młodych

białych kobiet chętnych podjąć praktyki studenckie w zakresie eugenicznych prac terenowych.

Młode białe kobiety, takie jak te werbowane przez McDougla'a, stanowiły dla eugenicznych badań terenowych szczególny atut. Praca w terenie wymagała wielu nużących robót – ślęczenia nad aktami urodzeń i małżeństw, konstruowania rozbudowanych map genetycznych – ale także odwiedzin w domach oraz bezpośrednich rozmów wewnątrz grup skazanych z góry na kakogenność. Młodym, gorliwym białym kobietom częściej udawało się namówić różne osoby do tego, żeby podzieliły się informacjami o swoim zdrowiu i historiach rodzinnych, pokazały swoje małe dzieci, a nawet opowiedziały o bardziej intymnych tematach, takich jak małżeństwo i seks. Szefowie Biura Dokumentacji Eugenicznej wychwalali swoje badaczki i mówili im, że dzięki kobiecej wrażliwości lepiej wykrywają złe geny. Po udanym zakończeniu szkolenia te młode kobiety miały zostać urzędniczkami i pracownicami pomocy społecznej, a nawet nauczycielkami. Chociaż kobiety ze Sweet Briar College znajdowały się daleko od epicentrum ruchu w Nowym Jorku, za miedzą miały Lynchburg Colony, idealne miejsce prac terenowych.

Fotografia czteroosobowego zespołu McDougla'a zawiera kolejną wskazówkę, dlaczego scedowanie bardziej intymnych rozmów na młode pracownice było mądrym posunięciem. Na zdjęciu trzy rozpromienione młode kobiety siedzą na trawie. Wygląda to prawie jak kadr ze szkolnego rocznika, widać na nim młodość i potencjał, obietnicę wielu kolejnych słonecznych dni. Tę iluzję burzy jednak widoczna na drugim planie niezdarna, ociężała postać McDougla'a w muszce, kwintesencja wyniosłego profesora. Wypina pierś i szeroko rozkłada ramiona, a do zdjęcia postanowił uklęknąć, żeby górować nad kobietami, zamiast przysiąść wraz z nimi na trawie. Nietrudno sobie wyobrazić, że wiele wiejskich rodzin z Wirginii wolało wyjawiać osobiste informacje tym młodym kobietom.

Według pogłosek i miejscowych legend „zaginione plemię” będące przedmiotem badań zaginęło na skutek mieszanych małżeństw z Czarnymi oraz z białymi ludźmi z zewnątrz. Celem prac terenowych było ustalenie dokładnych korzeni tego plemienia i zmierzenie jego genetycznego zasięgu.

Na podstawie tych faktów możliwe miało być odtworzenie niewidzialnego szlaku skażenia. Chociaż badacze rzekomo poszukiwali zaginionego plemienia, tak naprawdę za cel brali po prostu Indian Monacan oraz ich eugenicznie wątpliwych białych i czarnych sąsiadów. Mieli tego świadomość. Tamtejsza społeczność również – studentki ze Sweet Briar czasami pracowały w misji Monacan.

Wyniki badań ukazały się w 1926 roku pod tytułem *Mongrel Virginians. The Win Tribe* (Wirgińscy mieszańcy. Plemię Win). Nazwa „Win” to akronim słów „white-Indian-negro” (biały-Indianin-murzyn). Dla badaczy była przydatna, ponieważ odnosiła się do grupy populacyjnej, którą uważali za trójrasową. Ponadto uczynienie plemienia anonimowym zwiększyło poczucie władczości nad badaniem. Przyjemnym dodatkiem okazało się to, że dzięki temu trudniej było podważyć wyniki.

Estabrook i McDougle określili Winów mianem grupy „krwi mieszanej”, nieuznawanej przez miejscową ludność „ani za białych, ani za murzynów”. „Sami Winowie – stwierdzają badacze z rozżaleniem – uważają, że mają korzenie indiańskie”.

Mongrel Virginians to lektura obowiązkowa dla każdego, kto zakłada, że eugeniczy, wiecznie skoncentrowani na inteligencji, we własnej pracy stosowali surowe standardy intelektualne. Książka zawiera prawie trzydzieści genealogicznych studiów przypadku pełnych monotonych, napastliwych opisów. Winowie są niewykształceni. Winowie są rozwiązli. Winowie są z zasady leniwi, kłótniwi i nieatrakcyjni. Winowie mają każdy możliwy odcień skóry, od bladej przez miedzianą po ciemną.

Estabrook i McDougle chyba wyczerpali się przy tworzeniu setek pseudonimów i może dlatego w opisach posługują się bardzo wąskim zasobem przymiotników, z których ulubionym jest „typowy”: „Był typowym Indianinem, najemcą, niewiele wartym”, „To typowy mieszaniec, niski, włosy kręcone, które już siwieją, karnacja średnio ciemna, płaski nos, typowy przedstawiciel typu mulata”, „To typowy Win, nieinteligentny i bardzo uparty z natury”, „To typowa przedstawicielka typu indiańskiego, o ciemnej karnacji i ciemnych włosach, bardzo ułomna umysłowo”. Zważywszy na ich entuzjastyczne podejście do tego określenia, sprawiedliwość każe odnotować, że typowym dla nich sposobem

sygnalizowania ważnych faktów jest poprzedzanie ich sformułowaniem „legenda głosi”.

Wśród szeroko pojętej społeczności naukowej książka wywołała mieszane reakcje. Na przykład w „Journal of Applied Psychology” chwalono badaczy za „przedstawienie wartościowych danych” i „zwrócenie uwagi na problem poważnych niedostatków społecznych”. Eugenicy byli przekonani, że wyniki ich obszernych badań terenowych, ewidentnie mogące kształtować prawo i praktykę urzędów, ostatecznie rozstrzygnęły na ich korzyść debatę „natura czy wychowanie”.

Niektórych ekspertów zaniepokoiły jednak przesadzone wnioski autorów oraz to, że władza uderzyła im do głowy. W „Annals of the American Academy” Abraham Myerson, neurolog piastujący przez wiele lat wysokie stanowiska w szpitalach psychiatrycznych i późniejszy lekarz sądowy stanu Massachusetts, stwierdził, że *Mongrel Virginians* to „naprawdę absurdalna i bezużyteczna książka!”. Pozwolę sobie to napisać jeszcze raz: „naprawdę absurdalna i bezużyteczna książka!”. Z wykrzyknikiem. W swojej recenzji uznał, że nie ma tam nic oprócz „najbardziej błahych plotek, arbitralnie zinterpretowanych i nieweryfikowalnych, ponieważ wielu bohaterów już nie żyje”. Czy Estabrook i McDougale nigdy nie byli w skautach? – zastanawiał się Myerson. Widocznie nie, skoro tak się emocjonowali na samą myśl o Indianach.

Ale chwileczkę – możecie powiedzieć – przecież w Wirginii rdzenne ludy formalnie już nie istniały. Czy w epoce ustawy o integralności rasowej te wyniki badań i ciągłe wzmianki o „typowych Indianach” nie komplikowały sprawy? W pewnym sensie owszem. Tutaj jednak objawia się różnica między eugenikiem takim jak Walter Plecker a takim w rodzaju Arthura Estabrooka. Dla kogoś takiego jak Plecker świat naprawdę był czarno-biały. Inne kategorie nie były potrzebne. Spojrzenie Biura Dokumentacji Eugenicznej sięgało natomiast poza te rozróżnienia. Mówiąc dosadnie, reguły jednej kropli krwi tworzyły taki porządek społeczny, który popierali eugenicy, często będący białymi supremacjonistami. Zarazem jednak odbierały urok naukom eugenicznym, osłabiały przyjemność płynącą z bycia w takich sprawach dobrze zorientowanym. Eugenik

pokroju Pleckera, traktujący zróżnicowanie rasowe jak problem matematyczny, szybko i arogancko zapisywał odpowiedź, którą już znał. Estabrook i McDougle czerpali z kolei satysfakcję z prezentowania swojej pracy.

Książka *Mongrel Virginians* pod pewnymi względami próbowała iść na kompromis. Autorzy w roli dodatku zamieścili w niej pełny tekst ustawy o integralności rasowej, a jednocześnie na końcu dodali zastrzeżenie: „Pośród wrzawy w prasie i w broszurach poświęconych mieszaniu ras, która wybuchła po przyjęciu ustawy o integralności rasowej w 1924 roku, niniejsze badanie jest prezentowane nie jako teoria albo stronnicze stanowisko, ale jako staranne podsumowanie faktów historycznych”. Koniec końców, sugerowali autorzy, istnieje coś gorszego od bycia kolorowym, a mianowicie: bycie mieszańcem. Mieszańcy trzymają się tylko w swoim towarzystwie. A jest to towarzystwo przegranych genetycznie i moralnie, „źle skleconych ludzi”, jak nazywałby ich Charles Davenport, dyrektor Biura Dokumentacji Eugenicznej. Taki wniosek podbijał ego zarówno naukowo nastawionych eugeników, jak i ludzi, którzy szczuli na przedstawicieli innych ras.

Jeśli wzmianka o „wrzawie w broszurach” w podsumowaniu *Mongrel Virginians* była przytykiem do Pleckera, który narobił sobie kłopotów wysłaniem w świat ponad sześćdziesięciu tysięcy broszur własnego autorstwa za pieniądze podatników, ten wyraźnie się tym nie przejmował. Zależało mu także na surowych danych Estabrooka, żeby mógł uzupełnić swoją czarną listę. Estabrook uprzejmie odmówił. Ponieważ eugenicy stanowili dość zgraną rodzinę, zwraca uwagę niechęć badaczy do Pleckera. W *Disability, Eugenics, and the Culture Wars* [Niepełnosprawność, eugenika i wojny kulturowe] Paul Lombardo wyjaśnia: „[...] w oceanie idei eugenika żywiła się, czym popadło, sięgała po wszystko, co przysparzało argumentów przeciw programom pomocy społecznej, kosztownym zakładom oraz ludziom, którzy je zamieszkiwali”. Środowisko Pleckera tak głośno jednak manifestowało biały nacjonalizm, tak bardzo nie interesowało się porządkiem świata upragnionym przez bardziej naukowo nastawionych braci, że zaczęło psuć atmosferę. Prywatnie niektórzy skarżyli się na Pleckera. Ruch eugeniczny dbał o beznamiętną, naukową

fasadę, a tu nagle pojawiał się on, zabiegający na białych cmentarzach o ekshumacje ludzi uznawanych teraz za „kolorowych”.

Plecker zmarł w 1947 roku, potrącony w Richmond przez samochód, gdy przechodził przez ulicę. Razem z nim szczęśliwie umarły jego plany spędzenia emerytury na pisaniu książek w stylu Madisona Granta. Z początku dość trudno było mi ustalić prawdę o jego śmierci. Wśród jego ofiar, co zrozumiałe, zdarzenie urosło do rangi mitu. Zdaniem niektórych Plecker w swojej arogancji sądził, że ruch uliczny będzie się dla niego zatrzymywał. Inne wersje poprzedza swoisty *prequel*: anegdota o kobiecie, na którą Plecker rzucił się wiele lat wcześniej, po tym jak uratowała go przed przejechaniem przez samochód. „Przyłożył jej, jakby ośmieliła się dotknąć Boga” – wspominał ktoś mieszkający w okolicy. Czasami ten samochód nie jest samochodem, ale autobusem, a prowadzi go rdzenny Amerykanin. Nagłówek artykułu w „Richmond Afro-American” informującego o tym zdarzeniu brzmiał: „Doktor Plecker, lat 86, wściekły rasista, zabity przez auto”. „Wspominamy tu o jego zgonie – wyjaśniała gazeta – nie po to, aby go opłakiwać, ale żeby przyklasnąć temu, że nienawistnicy rasowi jego pokroju schodzą ze sceny”.

Jedną z najbardziej bezpośrednich konsekwencji działań Pleckera oraz publikacji dzieł w rodzaju *Mongrel Virginians* był spadek liczby rdzennej ludności w Wirginii. Wiemy o tym, ponieważ w owych czasach rząd federalny nadal posługiwał się kategorią „Indianin” w spisach ludności, jak również dlatego, że w wielu rdzennych rodzinach do dziś opowiada się historię migracji z Wirginii. Historyczka Melanie Haimes-Bartolf stwierdza, że „[...] w 1948 roku w misji Bear Mountain pozostało tylko 326 osób, bo nasilający się rasizm skłonił ponad dwieście osób z plemienia Monacan, dysponujących odpowiednimi środkami, do wyjazdu do Maryland, New Jersey i Tennessee”.

Część dokonań Pleckera unieważnił w 1967 roku wyrok Sądu Najwyższego w sprawie Loving kontra Wirginia, znoszący zakazy małżeństw międzyrasowych w całym kraju. We wrześniu 2019 roku Wirginię pozwało jednak sześć osób chcących znieść wciąż obowiązujące w tym stanie prawo, które parom ubiegającym się o zgodę na ślub nakazywało zadeklarowanie przynależności rasowej. Grupa powodów,

zamieszkała w hrabstwie Rockbridge, twierdziła, że urzędnik przedstawił im do wyboru listę opcji takich jak „octaroon”^[14] czy „teutońskie”. W odpowiedzi na pozew prokurator generalny stanu, Mark Herring, prędko wydał nowy wzór wniosków o zgodę na ślub, w których zaznaczono, że podanie informacji o rasie jest dobrowolne. Nie zmieniło to jednak obowiązującego prawa, a wręcz było z nim sprzeczne, co oznaczało, że w przyszłości inny prokurator generalny mógł po prostu odwrócić tę praktykę i ponownie nakazać obowiązkową deklarację przynależności rasowej. W październiku 2019 roku, dziewięćdziesiąt pięć lat po przyjęciu w Wirginii ustawy o integralności rasowej, federalny sąd dystryktowy dla Wschodniego Dystryktu Wirginii orzekł, że ten przepis narusza czternastą poprawkę do konstytucji i jest „reliktem historii skodyfikowanej rasizacji w Wirginii i całym kraju”.

Karenne Wood, członkini Narodu Indiańskiego Monacan i była wieloletnia dyrektorka Programów Indian Wirgińskich w stanowej radzie Virginia Humanities, nazwała Waltera Pleckera „złoczyńcą w naszej świętej opowieści”. Naród Indiański Monacan, a także Plemię Indiańskie Chickahominy, Plemię Indiańskie Chickahominy – Jednostka Wschodnia, Plemię Rappahannock i Plemię Indiańskie Nansemond, przez dziesięciolecia walczyły o uznanie przez rząd federalny, ponieważ wcześniejsze działania władz Wirginii wymazały ich istnienie. Niektórzy członkowie opowiadali o własnych sposobach torpedowania ostatecznego celu Pleckera – o zachowywaniu lub odnajdywaniu pokrewieństwa albo ponownym dołączaniu do wspólnot w późniejszym etapie życia. Na przykład w hrabstwie Amherst szkoła misyjna Bear Mountain nie przestała służyć dzieciom z plemienia Monacan i podtrzymywała ich rdzenną tożsamość. Wszystkim jednak biurokratyczna niewidzialność utrudniała przygotowanie dokumentacji wymaganej w procedurach federalnych prowadzonych przez Urząd Spraw Indiańskich przy Departamencie Spraw Wewnętrznych.

Jak w 2005 roku tłumaczył w Kongresie Stephen Adkins, wódz Plemienia Chickahominy, wirgińskie prawa i działania Pleckera były równoznaczne z kulturowym ludobójstwem na rdzennych mieszkańcach Wirginii. „Wytrwałem w tym procesie z jednego powodu – mówił

o procedurze uznania przez władze federalne. – Nie chcę, żeby moja rodzina i moje plemię pozwoliły przetrwać dziedzictwu Waltera Pleckera”. W 2007 roku, kiedy Wirginia świętowała czterechsetną rocznicę przybycia europejskich osadników, próba łącznego uznania tych sześciu plemion specjalną ustawą przepadła w Senacie.

Dopiero w 2018 roku senatorom z Wirginii, Timowi Kaine’owi i Markowi Warnerowi, udało się doprowadzić do skutecznego głosowania. Ustawa imienia Thomasiny E. Jordan o federalnym uznaniu plemion indiańskich Wirginii weszła w życie w styczniu 2018 roku. Gdybym napisała tę książkę nieco wcześniej, nie mogłabym dodać tej wzmianki. Oto, jak nieuregulowana jest nadal historia eugeniki, jak mocno wpływa na życie ludzi tu i teraz.

Dzisiaj mogę zrobić coś, czego Walter Plecker zapewne nie wyobrażał sobie nawet w najśmielszych snach: wyjść z domu i w pierwszej lepszej aptece kupić komercyjny test, który rzekomo odczyta moje DNA. Nigdy tego nie zrobiłam, ale wiem, że jako osoba biała nie mam się czego obawiać, jeśli mój profil genetyczny wykaże wspólny rodowód z osobami niebiałymi. Niektórych białych nęci jednak właśnie możliwość uzyskania takiego wyniku. W 2018 roku Elizabeth Warren, senatorce z Massachusetts, dostało się za wykorzystanie testu DNA, żeby „dowieść” swojego czirokeskiego pochodzenia, do którego przyznawała się od dawna, czym narażała się na częstą krytykę rdzennych Amerykanów zarzucających jej legitymizację tak zwanego „syndromu czirokeskiego”: przypisywania sobie rdzennej tożsamości – na podstawie lichych dowodów w rodzaju rodzinnych legend – bez zrozumienia pojęć takich jak suwerenność, obywatelstwo i prawa plemion do określania, kto jest ich członkiem.

Rebecca Nagle, obywatelka Narodu Czirokezów, tłumaczy, że twierdzenia takie jak senatorki Warren, wsparte wynikami testów DNA albo po prostu rodzinnymi mitami, zmuszają rdzenne ludy do ponownej konfrontacji z rasistowskimi stereotypami. Przywłaszczanie tożsamości powoduje, że dopuszczalne staje się zadawanie rdzennym Amerykanom pytań w rodzaju: „W jakiej części jesteś Czirokezem?”. Obrażliwe jest już samo oczekiwanie odpowiedzi, ale w szerszym ujęciu tego typu pytania

i twierdzenia podważają sposób definiowania przez rdzenne narody własnej suwerenności i zupełnie jak dawne przepisy o składzie rasowym czynią tożsamość kwestią części składowych. „Jesteśmy żywymi, prawdziwymi, kompletnymi ludźmi, a nie ułamkami Indian, którzy kiedyś byli prawdziwi” – powiedziała Nagle.

Osobom, którym za sprawą przynależności rasowej nie grożą niepożądane relacje z innymi albo z władzą stanową, idea składania się z części może się wydawać przyjemna. W przypadku białych posługujących się testami DNA, aby móc twierdzić, że ich firmy spełniają kryteria przedsiębiorstw prowadzonych przez przedstawicieli mniejszości, bywa to wręcz opłacalne. Badacze Wendy Roth i Biorn Ivemark w pracy opublikowanej w 2018 roku na łamach „American Journal of Sociology” wykazali, że osoby białe chętniej niż niebiałe przyjmują lub wręcz dobierają wedle uznania nowe tożsamości na bazie wyników komercyjnych testów DNA.

Roth sugeruje, że w grę może tutaj wchodzić tak zwana teoria optymalnej dystynktywności: ktoś, kto należy do większości, może przymierzać się do tożsamości mniejszościowych, aby zwiększyć własną wyjątkowość. Gdyby ta teoria wydawała się jednak zbyt abstrakcyjna, zawsze pozostaje poczucie winy białych. W wywiadzie dla „MEL Magazine” Roth przyznała również, że „niektórzy z nich”, to znaczy z białych w badanej próbie, „mogli odczuwać pewne poczucie winy – że jako biali są uprzywilejowani w społeczeństwie. Możliwość przypisania sobie nieeuropejskiej tożsamości pewnie częściowo pomaga uporać się z tym poczuciem. A przynajmniej je zignorować”.

W świecie białości i badań DNA ma jednak miejsce coś więcej niż przywłaszczanie tożsamości. Walter Plecker nie mógł raczej przewidzieć komercyjnych testów DNA, ale doceniłby, że w pewnym stopniu pozwoliły one wskrzesić eugeniczną koncepcję, że to, kim jesteśmy, mamy zapisane w genach. W lipcu 2019 roku Joan Donovan i Aaron Panofsky, naukowcy zajmujący się technologią i polityką publiczną, opublikowali wyniki badania internetowej społeczności białych supremacjonistów Stormfront. Donovan i Panofsky’ego interesowało, czy współczesny fenomen komercyjnych testów DNA i związane z nim rzekomo głębsze zrozumienie

własnego rodowodu utrudnia życie grupie wymagającej, żeby jej członkowie byli „w 100 procentach biali”.

Badacze zaobserwowali, że członkowie społeczności sięgają po badania DNA, by potwierdzić swoje genetyczne referencje. Niektóre rezultaty okazywały się w ich oczach katastrofalne. „Mam pochodzenie w 58 procentach europejskie, w 29 procentach rdzenne i w 13 procentach bliskowschodnie” – brzmiał jeden z załączonych wpisów. „Wydaje mi się, że bliskowschodnie to też jest kaukaskie [...] więc czy to znaczy, że jestem w 71 procentach biały?” – pytał autor z nadzieją.

Praca Donovan i Panofsky’ego uzupełnia o ciekawe warstwy i ważne szczegóły mało zaskakujący wniosek: biali supremacjoniści pieprzą farmazony i sięgną po wszystkie wyobrażenia i mity, które akurat pasują im do realizacji represyjnych celów. Bynajmniej nie krytykuję tego badania ani wyszukanych sposobów przedstawienia tej prawdy, jakie znaleźli jego autorzy. Wręcz przeciwnie, dobrze usłyszeć – jak Panofsky ostrzega w „New York Timesie” – że „nauka nas nie uratuje”. Skomplikowanie sposobu postrzegania białości, nawet tej własnej, przez białych supremacjonistów jest jednak grą o sumie zerowej, która równie dobrze może wywołać moment głębokiej refleksji, jak i zaowocować przekonaniem, że komercyjne testy DNA to żydowski spisek.

Dla dawnych eugeników najbardziej ekscytującym elementem naukowych ambicji rzadko była sama nauka, częściej zaś – możliwość późniejszego postponowania innych ludzi. Eugenicy mieli te same słabości, które potępiali u innych: niepełnosprawności, nieidealny genetycznie rodowód, skłonność do rozwiązłości. Wielu nie mogło się pochwalić dużymi, dobrze przystosowanymi rodzinami, jakich wymagali od ogółu dobrych białych Amerykanów. W niezwykle obciążającej, lecz zupełnie przewidywalnej korespondencji Pleckera z Powellem ten pierwszy żartuje z otrzymywanych ostrzeżeń przed prawnymi konsekwencjami zmieniania ludziom rasy na chybił trafił: „W rzeczywistości często blefuję, stale zdając sobie sprawę z tego, że w konfrontacji z prawem sprawa by poległa”. Puenta jest oczywiście taka, że pomysły Pleckera często wychodziły z tej konfrontacji obronną ręką. Pomniejsze upomnienie tu i ówdzie bynajmniej nie oznaczało przegranej, chyba że dla ludzi, których Plecker obierał za cel.

W 1916 roku na łamach wydawanego w Charlottesville dziennika „Daily Progress” zrelacjonowano niedawną miejską paradę z okazji Halloween. Jeden jej element spodobał się szczególnie: „[...] ucieszny batalion Ku Klux Klanu zszedł z hukiem ze wzgórza Midway, przywołując na myśl inne czasy. Niejeden smagły mieszkaniec »dołu« odruchowo chował się w mroku Preston Avenue”. To, że „Daily Progress” uznał batalion za „ucieszny”, wiąże się zapewne z faktem, że owi członkowie Klanu nie byli dorosłymi, ale dziećmi w halloweenowych strojach. Białych obserwatorów bawiło oglądanie maluchów doświadczających po raz pierwszy, jak to jest, gdy sprawiasz, że Czarni kulą się ze strachu.

Jeśli dziś spróbujecie ruszyć trasą tamtej parady, przejdziecie około półtora kilometra po deptaku w centrum Charlottesville i wylądujecie pod sklepem Staples niezdarnie umiejscowionym na skraju śródmieścia. Właśnie tam, za sklepem, znajduje się jedyny zabytek mówiący coś zrozumiałego o przeszłości miasta: Jefferson School, obecnie dom kultury, zbudowany w 1926 roku jako jedna z zaledwie dziesięciu szkół średnich dla Czarnych w Wirginii. Podczas parady w 1916 roku mali członkowie Klanu nie widzieli natomiast pomnika Roberta E. Lee, ponieważ ten miał stanąć dopiero osiem lat później. Niewykluczone z kolei, że gdy wzniesiono go w 1924 roku, część z tamtych chłopców była młodymi mężczyznami maszerującymi tą samą trasą.

W 1916 roku przyszłość miast takich jak Charlottesville, które w 1912 roku przyjęło „rozporządzenie o zabezpieczeniu dla osób białych i kolorowych oddzielnego miejsca zamieszkania dla każdej z ras”, zależała od postępowania zmierzającego właśnie do Sądu Najwyższego. Ta sprawa, zapoczątkowana w Louisville w Kentucky, miała przesądzić o konstytucyjności narzuconej administracyjnie segregacji rasowej w dzielnicach mieszkaniowych. Zgodnie z rozporządzeniem z Charlottesville osoba czarna zamieszkująca dom w przeważnie białej okolicy (lub vice versa) podlegała karze grzywny lub pozbawienia wolności na co najmniej trzydzieści dni. W 1917 roku Sąd Najwyższy orzekł, że takie rozporządzenia naruszają czternastą poprawkę do konstytucji, ponieważ uniemożliwiają osobom białym rozporządzanie swoim majątkiem wedle

uznania. Jak stwierdzono, jeśli biały chciał sprzedać swoją nieruchomość Czarnemu, miał do tego prawo zagwarantowane w konstytucji.

Zarazem jednak Sąd Najwyższy bardzo wyraźnie zaznaczył:

Jest celem takich postanowień i, należy to szczerze przyznać, będzie ich ostatecznym efektem prawny wymóg, przynajmniej w dzielnicach mieszkalnych, obowiązkowego oddzielenia ras pod kątem koloru skóry. Wedle twierdzeń takie działanie jest niezbędne dla zachowania czystości ras. [...] Sprawa bieżąca nie dotyczy zabiegów powstrzymujących scalanie ras. Prawem zakłócanym przez omawiane rozporządzenie było prawo obywatelskie białego człowieka do rozporządzenia swoim majątkiem według uznania na rzecz osoby kolorowej.

Innymi słowy Sąd Najwyższy wyjaśnił, że rozumie motywowanie podobnych przepisów chęcią zachowania czystości rasowej i że bieżącego orzeczenia nie należy postrzegać jako zakłócającego szeroko pojęty cel zapobiegania łączeniu się ras. Przez scalanie ras, podobnie jak przez ich mieszanie, rozumiano ich łączenie poprzez prokreację. W 1924 roku Wirginia miała wprowadzić ustawę o integralności rasowej jako najbardziej bezpośrednią metodę zapobiegania takim praktykom.

Wyrok Sądu Najwyższego oznaczał, że aby zachować czystość rasową, Charlottesville musiało wymyślić nowe sposoby geograficznego odseparowania Czarnych. Wykorzystywało więc inne rozporządzenia związane z zagospodarowaniem przestrzennym, promowało prywatne umowy wprowadzające segregację za pośrednictwem ograniczeń możliwości rozporządzania własnością, manipulowało dostępnością usług komunalnych oraz znaczyło terytorium paradami Ku Klux Klanu, a później pomnikami konfederatów. Gromadzenie Czarnych w jednym rejonie niosło jednak ze sobą ryzyko, które białym władarzom miasta również się nie uśmiechało: że Czarni zainwestują w swoją okolicę, znajdą sposoby na rozwój własnej społeczności i przekażą dzieciom nieco pokoleniowego majątku. Powstrzymanie takiego rozwoju wypadków wymagało także ograniczeń w dostępie czarnych mieszkańców Charlottesville do edukacji, służby zdrowia, zatrudnienia i zarobków. Badanie zlecone w 2020 roku przez Charlottesville Low-Income Housing Coalition (Koalicję Charlottesville na rzecz Taniego Budownictwa) wykazało, że po 1948 roku, kiedy Sąd Najwyższy uznał za niekonstytucyjne klauzule umowne

z wymogami rasowymi, władze Charlottesville tak dalece „zintensyfikowały wykluczające ekonomicznie praktyki zagospodarowania przestrzennego, stosowane jako zamiennik jawnie rasowych ograniczeń”, że dziś te same praktyki utrudniają rozwój miasta.

W latach sześćdziesiątych okolice Preston Avenue, gdzie niegdyś dzieci w kapturach Ku Klux Klanu przeganiały „w mrok” wystraszonych czarnych mieszkańców, weszły w skład obszaru objętego programem upiększania miasta. Zaledwie dekadę wcześniej Sąd Najwyższy potwierdził prawo władz do wywłaszczenia w celu upiększania i przebudowy. W 1960 roku burmistrz Thomas Mitchie spojrział na Preston Avenue i całą okolicę Vinegar Hill, po czym stwierdził: „[...] mamy szczęście, że najgorszy slums w Charlottesville tak cudownie się wpasowuje w plan rewitalizacji miasta”. Za szczęśliwy zbieg okoliczności uznał to, że dzielnica, którą nazwał slumsem, znajdowała się na terenie wartościowym dla miasta. W miarę jak suburbanizacja wypychała mieszkańców i ich biznesy coraz dalej na obrzeża, gospodarczy i fizyczny rozrost centrum ulegał stagnacji.

Wyburzanie Vinegar Hill władze Charlottesville rozpoczęły w 1965 roku. Agresywną przebudowę tego nowego, czystego płótna w większości scedowały jednak na pokolenie lat osiemdziesiątych. Piętnaście lat później przyszli włodarze często nie kojarzyli rozwoju centrum i budowy dzisiejszego deptaka z rasistowskim projektem rewitalizacji miasta. Innymi słowy upływ czasu zapewnił im moralny dystans między tym, co wydarzyło się w przeszłości, a nową epoką rozkwitu miasta. W 2011 roku, wskutek presji wywieranej przez dziesięciolecia, władze wreszcie przyznały się do tych działań i rada miejska wystosowała publiczne przeprosiny za wyburzenie Vinegar Hill:

Postanawia się zatem, że my, niżej podpisani członkowie i członkinie Rady Miejskiej Charlottesville, potwierdzamy fakt zniszczenia lub uszkodzenia należących do Afroamerykanów firm, domów i nieruchomości podczas zrównania z ziemią dzielnicy Vinegar Hill, przyznajemy, że w wydarzeniach, które zakończyły się zniszczeniem tej okolicy, nie uwzględniono odpowiednio osób tym dotkniętych, opłakujemy utratę poczucia wspólnoty wywołaną tymi wyburzeniami i niniejszym przepraszamy za rolę, jaką władze miasta odegrały w zniszczeniu Vinegar Hill, oraz zapewniamy, że wyciągnęły z tych wydarzeń naukę.

Dziś pamięć o Vinegar Hill – zarówno o tym, jaka ta okolica była, jak i o tym, jak ją odebrano – jest punktem wyjścia wielu projektów odbudowy. Działa na przykład New Hill Development Corporation (Korporacja na rzecz Rozwoju Nowego Wzgórza), stawiająca sobie za cel gromadzenie zasobów służących „finansowemu upodmiotowieniu” czarnej społeczności Charlottesville. Samo miasto planuje z kolei wyraźniejsze zaznaczenie roli Vinegar Hill w historii śródmieścia za pomocą tablic, oznaczeń i pomników. W Jefferson School realizowany jest projekt pod kierownictwem lokalnego mieszkańca Jordy’ego Yagera, polegający na sporządzeniu dosłownej mapy nierówności w Charlottesville poprzez georeferencję aktów własności. Celem tego typu projektów jest zwracanie uwagi na strukturalne nierówności, kiedy współczesne miasto tworzy plany tanich mieszkań, negocjuje z prywatnymi deweloperami i decyduje o przeznaczeniu bądź obcinaniu finansowania dla poszczególnych usług.

Kiedy teraz znajduję się w pobliżu pomnika Roberta E. Lee, muszę przyznać, że fizyczny świat, którego przetrwanie było celem dawnych białych przywódców, rzeczywiście przetrwał^[15]. Praktyka oraz praca badawcza nauczyły mnie wyczuwać nieobecność czarnej dzielnicy, która niegdyś znajdowała się nieopodal tego miejsca, a żeby stwierdzić, co ją zastąpiło, wystarczy spojrzeć: restauracje, sklepy i strefa ruchu pieszego, obsługujące głównie zamożną białą klientelę. W mieście podporządkowanym niegdyś ochronie integralności rasowej ten porządek nie tak łatwo zburzyć.

Przekonania o integralności rasowej w Wirginii działały jak kołyska Newtona. Idee zmieniły się w kule. Unosimy kulę zawierającą „to, w co chcemy wierzyć”, a potem ją wypuszczamy. Energia kinetyczna powoduje uniesienie kuli zawierającej „to, czego się boimy”. I tak na zmianę przez kolejne zderzenia, z niesłabnącym impetem. Energia zostaje zachowana. Nie ma końca. Jeśli tylko naukowo wszystko się zgadza, może to trwać wiecznie, wstrząs za wstrząsem.

W sierpniu 2017 roku biali supremacjoniści, którzy skrzyknęli się dzięki kampanii Unite the Right, znowu zebrali się w swoich kaplicach w Charlottesville, w tym na jeffersońskim Uniwersytecie Wirginii.

Demonstrowali brutalną siłę dla własnej przyjemności, ale także, podobnie jak ich poprzednicy w 1924 roku, pragnęli jasno zaakcentować swoje powiązania z przeszłością.

Wiele osób konsternowała fiksacja tej grupy na Charlottesville. Oczywiście trwały kontrowersje związane z dwoma konfederackimi pomnikami i ich potencjalnym usunięciem z przestrzeni publicznej. Dla grup nienawiści, które ściągały do Charlottesville przez całe lato, temat pomników stanowił wygodny skrót myślowy symbolizujący poczucie przysługujących im praw – praw do świata uporządkowanego i naznaczonego białą siłą. To zrozumiałe wyjaśnienie, ale również nie całkiem zadowalające. Przecież trzy miesiące wcześniej Nowy Orlean również usunął pomniki i choć wywołało to protesty oraz poruszenie, do miasta nie ściągnęły tłumy.

Może przyczyniła się do tego administracja Trumpa, może jego prezydentura i działania partii ośmieliły białych supremacjonistów? Czyż Steve King, republikański kongresmen z Iowa, nie pieprzył wiosną na Twitterze bzdur niczym sobowtór Madisona Granta: „[...] nie odbudujemy naszej cywilizacji cudzymi dziećmi”? Czyż Stephen Miller, jeden z najważniejszych doradców politycznych Trumpa, nie utknął w jakimś szambie idei nieoczyszczanym od 1924 roku?

Może w świecie białego nacjonalizmu działały jeszcze głębsze, bardziej tajemne siły, może między grupami albo wewnątrz nich doszło do walki o władzę, dominację oraz terytorium. Główny organizator marszu, Jason Kessler, był mieszkańcem Charlottesville i absolwentem Uniwersytetu Wirginii. Ewidentnie miał ambicje zapewnienia sobie wysokiej pozycji w gronie białych supremacjonistów.

Jeśli szukamy wyjaśnienia, dlaczego Unite the Right zebrało się właśnie w Charlottesville, żadna z tych sugestii nie była błędna. Były po prostu niepełne. Owa niepełność stała zaś się pustką nerwowo wypełnianą znajomym refrenem: „Nie tacy jesteśmy” – mówiło wielu ludzi w Charlottesville. „Nasze miasto nie będzie tolerowało podziałów”.

Inni jednak w wiecach białych nacjonalistów widzieli po prostu bardziej wybuchową wersję tego, czym miasto było od dawna. Charlottesville to precyzyjnie nakreślona biała przestrzeń sunąca przez czas, wdzierająca się

w życie Czarnych, najpierw przez zniewolenie i przemoc, a potem przez segregację mieszkaniową, pomniki i przepisy o integralności rasowej. Koniec końców gwałtowna reakcja na ruch praw obywatelskich zlała się z rewitalizacją miasta. Obecnie, jak się zdawało, miasto wybrało strategię umyślnej bezsilności wobec status quo. Na przykład w 2005 roku długoletnia radczyni miejska Kathy Galvin, wówczas członkini miejskiej rady oświaty, tak odpowiedziała na raport o nierównościach rasowych w miejscowym systemie szkolnictwa:

System szkolnictwa sam w sobie jest neutralny, wręcz bierny. Biali rodzice za sprawą wytrwałości i wolontariatu sprawiają, że działa on na ich korzyść. Z kolei czarni rodzice oczekują, że szkoły będą działać dla nich. [...] W efekcie białe dzieci uczą się szykować do studiów przy wsparciu rodziców, a czarne zostają na lodzie, bo ich rodzicom brakuje wiedzy i doświadczenia z dobrą edukacją.

Czasami miasto czuło się również zakładnikiem zamożnych oraz prywatnej deweloperki. Jak to możliwe, że znajdowało sposób na budowę domów dla bogatych ludzi, a dla całej reszty nie? Urbanista Brian Haluska wyjaśnił to następująco: „Narzeka się, że budujemy »domy dla milionerów«, ale ci [zamożniejsi] ludzie nie odejdą tak po prostu. Przelicytują tych o niższym dochodzie i kupią dom za czterysta tysięcy dolarów, a potem postawią dobudówkę za kolejne trzysta”. W Charlottesville za nabywcę o niższym dochodzie uważa się teraz kogoś, kto mieszka w domu za czterysta tysięcy. Uniwersytet Wirginii, który dzisiaj otwiera nowy rozdział dzięki projektom dotyczącym jego zaangażowania w historię niewolnictwa oraz poprawie warunków materialnych personelu nieakademickiego, pozostaje jednym z największych właścicieli ziemskich w mieście, zarówno jako podmiot publiczny, jak i prywatna fundacja.

Z jednej strony hasło „nie tacy jesteśmy” oznacza stwierdzenie, że minęły czasy masowej przemocy i rządów motłochu. Z drugiej – zaprzecza ono istnieniu innych, akceptowanych form destabilizacji, za których pośrednictwem także odmawiano ludziom należnego im uznania.

Te konkurencyjne tezy były głównym tematem wyborów w Charlottesville w listopadzie 2017 roku. Jeszcze zanim latem nastąpił wybuch przemocy, kampania działaczki społecznej Nikuyah Walker

skupiała się na obietnicy „zdemaskowania iluzji” Charlottesville. W rozmowie z National Public Radio kandydatka odniosła się do zadawnionych dysproporcji rasowych, o których głośno się nie mówi, i do nierówności dotyczących mieszkańców o niższych dochodach. Jak wyjaśniła: „Iluzją [jest] to, że jesteśmy miastem, w którym każdy może sobie dobrze radzić”.

Poprzedni włodarze często woleli zaciemniać tę prawdę, agresywnie sięgając po aspiracyjną narrację – ową iluzję, o której mówiła Walker – że Charlottesville to postępowe, liberalne enklawa. Mieli chyba nadzieję, że czego miasto nie chce albo nie może dostarczyć w postaci natychmiastowych, znaczących ulepszeń, to nadrabia dobrymi chęciami. Taki wybieg w ogóle jest częsty w polityce, ale ma w sobie również coś wyjątkowo lokalnego. Miasto „akademickiej wioski” Thomasa Jeffersona nie mogło być przecież zepsute od środka. Zdaniem Walker i wspierających ją osób nie wystarczyło wskazać problemy i zaproponować rozwiązania. Powodzenie każdej propozycji – sugerowali przedstawiciele jej kampanii – musi być oparte na fundamentach szczerego i spóźnionego rozliczenia kwestii rasowych i klasowych.

W listopadzie Walker zdobyła najwięcej głosów w wyborach do rady miejskiej i objęła urząd burmistrza Charlottesville jako pierwsza czarna kobieta w historii. Kusi wplecenie tego szczegółu w narrację postępu, łopatologiczne zaakcentowanie, że ta historia rozpoczyna się w ciepły dzień w 1924 roku, kiedy stanęły pomniki konfederatów, a kończy w tamten zimny listopadowy wieczór wyborczy, kiedy miasto otrząsnęło się po atakach, dla których te same posągi były pretekstem. Mogłabym tu sięgnąć po oczywistość i stwierdzić, że architekci wirgińskich przepisów o integralności rasowej z pewnością uznaliby wybór Walker za niepokojący rozwój wydarzeń.

Chcę jednak zakończyć momentem zwykłym. Na początek powinnam wyjaśnić, że w Charlottesville określenie „zwykły” ma dziś inne znaczenie. Zwykle jest na przykład szykowanie się na nawrót przemocy ze strony białych supremacjonistów. Ale zwykła jest także głęboka motywacja do troski o innych mieszkańców. Taka troska przybiera różne formy. Jedną z nich jest prawdziwsze opowiadanie o przeszłości miasta – co stanowi

uboczny, często zapomniany cel działań grupy, która podjęła się odpowiedzialności za namysł nad przyszłością konfederackich pomników. To gremium, czyli miejska Blue Ribbon Commission on Race, Memorials, and Public Spaces (Niezależna Komisja ds. Rasy, Pomników i Przestrzeni Publicznej)^[16], stwierdziło pewnego razu, że do elementów tej odpowiedzialności należy przerwanie „łańcucha rasistowskiego napędu”, podważenie przekonań na temat przeszłości, które pomagają ukryć niesprawiedliwość. Te pomniki na przykład mają głęboko rasistowski rodowód. Ten fakt pomagało zakamuflować kurczowe trzymanie się narracji, która ich wzniesienie ukazywała jako formę niegroźnego uhonorowania postaci historycznych.

Dzisiaj, choć posągi nadal stoją, zwykłą rzeczą jest natrafianie na przejawy tej prawdy w przestrzeni publicznej. Niektóre działania tego typu są anonimowe. Kiedy „New York Times” uruchomił Projekt 1619, zbiorowe dzieło skupione wokół czterechsetnej rocznicy przybycia pierwszych zniewolonych Afrykanów do Ameryki, odwoływały się do niego proste kredowe graffiti: czerwone napisy „1619” pojawiające się w całym mieście. Przy tabliczce znaczącej punkt, w którym odbywały się aukcje niewolników w Charlottesville, często leżą kwiaty. Czasami ktoś wykreśla słowo „niewolników” i poprawia tekst kredą, tak by brzmiał: „W tym miejscu sprzedawano i kupowano ludzi”.

Jeden z najtrwalszych sposobów podważania iluzorycznych narracji w ogóle nie jest anonimowy – to cieszący się dużą popularnością spacer z oprowadzaniem, którego autorkami są Jalane Schmidt i Andrea Douglas, dwie czarne historyczki. Podczas darmowego spaceru pomniki i topografia śródmieścia służą za punkt wyjścia do pogłębionej rozmowy o rasie, przestrzeni i przeszłości miasta. Zeszłego lata, kiedy historyczki właśnie kończyły oprowadzanie, szłam akurat przez park, w którym stoi pomnik Roberta E. Lee. Był zwykły dzień, czyli miasto znajdowało się w stanie gotowości na akty przemocy, tym bardziej że druga rocznica ataków z 2017 roku przypadała zaledwie kilka dni później.

Pomnik Lee, najczęściej odgrywający rolę zimnego podglądacza życia wykwaterowanych ludzi oraz pracowników śródmieścia, stoi w małym parku. W bezpośrednim sąsiedztwie znajdują się główny oddział biblioteki

miejskiej, gdzie pracuje mój partner, oraz siedziba Towarzystwa Historycznego Hrabstwa Albemarle i Charlottesville. Kiedy sprowadziłam się do miasta, tutejsi historycy wyjaśnili mi, że ta druga organizacja ma reputację towarzystwa historycznego białych, pozycjonującego się – zarówno w sposób subtelny, jak i niespecjalnie subtelny – w opozycji do Jefferson School, lokalnego ośrodka dziedzictwa afroamerykańskiego.

Zrozumienie, co mają na myśli, nie zajęło mi wiele czasu. Rzuciła się w oczy nieobecność towarzystwa w miejskich programach poświęconych konfederackim pomnikom. Organizacja piętrzyła też trudności przed historykami i dziennikarzami szukającymi informacji o pochodzeniu rekwizytów Ku Klux Klanu w jej zbiorach. „W moim odczuciu spokojnie można powiedzieć, że czasy się zmieniły” – oznajmił prasie były dyrektor towarzystwa Stephen Meeks. Do dziś nie mam pewności, czy sugerował, że nastała epoka bardziej postępową, więc nie musimy już zawracać sobie głowy sprawami, o których jego zdaniem lepiej nie wiedzieć, czy też skarżył się na nowe warunki, w myśl których społeczność domaga się wiedzy o swojej przeszłości. W lipcu 2019 roku, kiedy władze miasta uczciły życie ofiary linczu, Johna Henry’ego Jamesa, czarnego sprzedawcy lodów zabitego przez biały tłum w 1898 roku, następca Meeksa wykorzystał tę okazję, żeby na swoim prywatnym Facebooku przypomnieć wszystkim, że linczowano też białych.

Tamtego dnia, mimo zbliżającej się rocznicy, w parku było dość spokojnie. Nie zamierzałam spędzać tam czasu, po prostu przechodziłam. Potem jednak, mijając bibliotekę, zauważyłam snajperów policyjnych na dachu towarzystwa historycznego, skąd monitorowali park. Później się dowiedziałam, że dostrzegli ich również uczestnicy spaceru z oprowadzaniem. Po dwóch latach od ataków intensywna kontrola to nowa forma codziennej przemocy, uważana przez władze miejskie za dopuszczalny kompromis, który pozwala zapobiec poważniejszym zagrożeniom porządku publicznego.

Towarzystwo historyczne chciało pomóc policji, a być może uznało, że nie może odmówić. Obiektywnie to rozumiem. Ja jednak widziałam to następująco: funkcjonariusze stanu celowali z góry do obywateli starających się przerwać łańcuch rasistowskiego napędu, tych samych

obywateli, którzy wcześniej mimo prób nie zdołali wciągnąć towarzystwa historycznego do współpracy przy poprzednich działaniach.

Włodarze miasta, którzy w 1924 roku świętowali wzniesienie pomnika Lee, obiecywali, że każdego, kto przy nim stanie, nauczy on historii. Słowo „nauczyć” może również oznaczać zadanie komuś cierpienia tak wielkiego, że spowoduje zmianę zachowań: „To cię nauczy rozumu”. Ze względu na własną śmiertelność owi włodarze przyjemność znajdowali w tym, że uczyć będzie ich pomnik, nieożywiony, ale równie związany z nieprzemijającym, jak wierzyli, wyrazem ich władzy. Próby jej utrzymania mogą mieć postać represyjnych praw, skompromitowanej nauki albo wybuchu przemocy. Ale mogą także sprawiać, że człowiek czuje się tak, jakby w zwykły dzień celowano do niego z broni. Bo czasami tak właśnie jest.

Uzdrowiające krajobrazy

W 1934 roku Joseph DeJarnette, dyrektor Western State Hospital w wirgińskim Staunton, udał się na wycieczkę w pobliskie góry, które w każdy inny poranek widział z okna gabinetu jako dalekie, spowite siną mgłą szczyty. Western State zbudowano w taki sposób, aby pacjentom dać jak najwięcej okazji do oglądania wirgińskiego Pasma Błękitnego, bo według poprzedników DeJarnette’a górski krajobraz miał działanie terapeutyczne, mógł koić niespokojny umysł. Podczas tej wycieczki w 1934 roku góry jednak wcale nie działały na DeJarnette’a kojąco. Wręcz przeciwnie.

„W grudniu minionego roku przypadła mi w udziale wizyta w górzystym rejonie naszej ukochanej Wirginii – podsumował wyprawę w swoim raporcie z 1935 roku – gdzie natrafiłem na pewną rodzinę liczącą szesnaścioro dzieci, z których ja zobaczyłem dwanaścioro i mogłem na pierwszy rzut oka oszacować ich umysłowość na poziomie imbecyli”. Dalej pisał: „Rodzina ta żyła w skrajnej biedzie, bez podstawowych wygod. Powiedziano mi, że w tym samym hrabstwie w podobnych warunkach mieszka pięćdziesiąt innych rodzin o podobnym stanie umysłowym. Co to oznacza?”

Nie martwcie się, DeJarnette sam odpowiedział na to pytanie:

Oznacza to, że Wirginia zezwala na gromadzenie się w jej granicach hord owych klanów, które nie miały prawa się urodzić, które zagrażają inteligencji jej obywateli, które wypełniają jej sądy zbrodniarzami i zbrodnią i które nakładają na jej skarbiec niewyobrażalny ciężar.

Oczywiście skalę tego ciężaru spróbował dokładnie wyliczyć.

„Jeśli tej jednej rodzinie, którą odwiedziłem, będzie wolno się rozmnażać, za sześć pokoleń prześcignie Juke’ów i Kallikaków” – stwierdził, wskazując często przywoływane przykłady kakogennych rodzin, które zdążyły się stać klasycznymi eugenicznymi straszakami. Jak przekonywał, owe kolejne pokolenia pociągną za sobą „miliony dolarów kosztów pomocy i niekończący się szlak utrapień społecznych, gdziekolwiek osiadą”. Na szczęście, zapewniał, „pracownicy opieki społecznej współpracują z nami w celu sterylizacji całej rodziny”.

Prawie dekadę po publikacji *Mongrel Virginians* i przyjęciu ustaw o sterylizacji i integralności rasowej góry pozostawały dla wirgińskich eugeników miernikiem postępu. Naturalnie nie mogli oni przyznać się do porażki ani w rzadkim przebłyску zdrowego rozsądku stwierdzić, że ich obliczenia są bez sensu. Skoro ich plan działał, skoro kierowali się niezachwianą logiką, dlaczego liczba „ułomnych” wciąż rosła?

Swój raport z gór DeJarnette zakończył ulubionym cytatem z Williama „Dziekana” Inge’a, wpływowego angielskiego eugenika i duchownego anglikańskiego: „Państwo ma równe prawo do usuwania niepożądanych obywateli, co ogrodnik do odchwaszczania swojego ogrodu”. Jako że sama zupełnie nie znam się na angielskim ogrodnictwie, mogłabym zapytać: czy w Anglii obowiązuje większa akceptacja dla ogrodników, którzy przez dziesięć lat mozolą się na tej samej działce, w ogóle jej nie ulepszają i tylko sobie brudzą ręce?

Albo pytanie jeszcze dziwniejsze: jak się odchwaszcza górę?

Niestety Wirginia i na nie miała odpowiedź.

Park Narodowy Shenandoah, położony w Paśmie Błękitnym, to obecnie jedno z najbardziej niezawodnych kół napędowych przemysłu turystycznego ośmiu hrabstw w środkowej Wirginii, włącznie z tym, w którym mieszkam. Zgodnie z przeprowadzonym niedawno przez zarząd parku badaniem wpływu ekonomicznego, opublikowanym w czerwcu 2019 roku, 1,26 miliona osób, które odwiedziły park w ciągu poprzedniego roku, „łącznie przyniosło lokalnej gospodarce 116 milionów dolarów”. Lwia część tych zysków, imponujące 86 milionów, to bezpośrednie wydatki turystów.

Zgodnie z aktualnym stanowiskiem Służby Parków Narodowych niebagatelny wpływ parków na gospodarkę to tylko przyjemny dodatek. Jeffrey Olson, dyrektor ds. komunikacji, powiedział ostatnio w audycji *Marketplace* na antenie NPR: „Parki narodowe nie powstały jako źródło zysków ekonomicznych, którym są obecnie. Powstały, żeby zabezpieczać i chronić te wspaniałe naturalne, historyczne i kulturalne krajobrazy naszego kraju. Tak się po prostu składa [...], że [goście parków] ponadto przynoszą zysk ekonomiczny odwiedzanym miejscowościom”.

To przyjemna koncepcja, uderzająca we wszystkie właściwe nuty: że uczyniono pewne dobro, za którym poszedł ogromny dochód pasywny. Ja jednak skłaniam się ku przekonaniu, że Park Narodowy Shenandoah mimo wszystko powstał z myślą o prywatnych i publicznych zyskach. Jak również – że do urzeczywistnienia tego zysku przyczyniła się eugenika.

W Wirginii ruch eugeniczny obdarzył możliwych dużą swobodą wyrażania, a potem realizacji swoich idei dotyczących ustępstw na rzecz stanu, do których powinni być zobowiązani tak zwani bezproduktywni obywatele. Władze stanu uważały, że kryterium „bezproduktywności” spełnia ogromna liczba ludzi, którzy z tej przyczyny są im winni swoją wolność reprodukcyjną – odebranie jej jednostkom miało przynieść korzyść ogółowi. Po czterech latach od przyjęcia ustaw o sterylizacji i integralności rasowej podobną logiką dawania i zabierania kierowali się twórcy Parku Narodowego Shenandoah. Zadanie ułatwiło im przyjęcie w Wirginii w 1928 roku daleko idących przepisów o wywłaszczeniu.

Kiedy ludzie mówią, że coś powstało dla dobra publicznego, w tej części mojego mózgu, która nadal myśli w pełni jak historyk, rodzi się pytanie: „Ale co wtedy oznaczało »dobro publiczne«? I kto dawał sobie prawo, żeby je definiować?”. W przypadku Shenandoah są one bardzo ważne dla zrozumienia, jak powstał ten park.

Żeby go stworzyć, władze stanowe i federalne musiały zdecydować o losie górskich osad znajdujących się w obrębie jego nowo wyznaczonych granic. Czy ludzie mieszkający w górach nie mogli po prostu tam zostać? Jasne, ale twórcom parku to się nie podobało, bo wielu z nich było biednych. To, jak chcieli i potrzebowali wykorzystywać ten teren, kłóciło się z zasadami ochrony przyrody – jedną z definicji „dobra publicznego” –

promowanymi przez władze. Górale uprawialiby rolę, hodowali zwierzęta, polowali i łowili ryby. Ścinałoby drzewa i palili drewno. Mogliby również straszyć turystów. „Oto rodzina Smithów z Richmond na weekendowej wędrownicy. Och nie, przed nimi grupka prostaków!”

Aby uporać się z tą kwestią, władze postanowiły wysiedlić górali, łącznie około pięciuset rodzin, dzięki nowo zdobytemu narzędziu wywłaszczenia. Innymi słowy, szkodę wyrządzoną mniejszej liczbie osób miał zrównoważyć zysk po stronie dobra ogółu. Tylko z tym jednym elementem historii wiąże się wystarczająco dużo bólu, ale swoimi działaniami władze w pewnym sensie otworzyły puszkę Pandory. Żeby usprawiedliwić swoje decyzje, grono wpływowych ludzi obsadziło góralskie rodziny w roli ułomnych obywateli, dzikich lokatorów na cennym gruncie. Kiedy już przylgnęła do nich taka etykieta, nie dało się jej zerwać. Posługiwała się nią również machina biurokratyczna, która decydowała o ich dalszym losie. Dalszym losem niektórych mieszkańców tych górskich osiedli były zaś placówki takie jak Lynchburg Colony oraz Western State.

Ponieważ wychowałam się w pobliżu łańcucha Smoky Mountains we wschodnim Tennessee, ponoszę pewne ryzyko osobiste, przyznając, że nigdy w życiu nie widziałam nic równie pięknego jak pejzaże wirgińskiego Pasma Błękitnego i doliny Shenandoah. Sądzę, że w tym akurat poprzednicy DeJarnette’a mieli rację. Ten krajobraz rzeczywiście ma wartość terapeutyczną, zanurza patrzącego w kojącej panoramie nieba i bezkresnych gór.

W obu tych regionach znajdziemy różnorodne tereny, ale Smokies w Tennessee są nieco mniej łaskawe dla turystów niebędących zaprawionymi entuzjastami pieszych wędrowek. Widoki i wodospady, wiosenne kwiaty i jesienne liście są tam tym piękniejsze, im surowsze są góry dokoła. Z kolei wirgińskie Pasma Błękitne jest łatwiej dostępne. W tych górach jedną z największych przyjemności jest samo patrzenie na nie, bez potrzeby ich penetrowania.

Tak się też składa, że moja ocena jest zbieżna z kilkoma przyczynami, dla których pierwszy park narodowy na Południu rząd postanowił utworzyć w Wirginii, a nie w Tennessee (choć taki też już był w planach i owszem,

o tamtejszych wysiedleniach również można opowiedzieć niejedną historię). W 1925 roku komisja odpowiedzialna za wybór lokalizacji stwierdziła: „Great Smokies mają kilka wad wymuszających odłożenie w czasie ich przekształcenia w park narodowy; ich surowość i wysokość uczynią budowę dróg oraz inne niezbędne działania bardzo poważnym przedsięwzięciem, kosztownym i czasochłonnym”.

Strata dla Tennessee była zyskiem dla Wirginii. Nowy park narodowy miał zapewnić rekreację i ochronę przyrody, ale lokalni agitatorzy nie musieli się w pełni utożsamiać z tymi celami, by rozumieć, że może on również przynieść inne korzyści. Utworzenie parku oznaczało, że rząd federalny pomoże w budowie infrastruktury, na przykład dróg, którymi przyjadą goście i ich samochody, a wraz z nimi turystyczne dolary.

Nowy park narodowy mógł także pomóc liderom przedsiębiorczości z doliny Shenandoah w wyrównaniu rachunków ze zurbanizowaną częścią stanu. W skali całego kraju Ameryka w latach dwudziestych uległa „urbanizacji”, co oznaczało, że po raz pierwszy w historii więcej ludzi mieszkało w miastach niż na wsi. W rejonach takich jak Wirginia przemiana jednak następowała wolniej i powodowała znajome tarcia między ludnością miejską i wiejską. Mięwały one charakter praktyczny, na przykład podczas debat nad podziałem stanowych funduszy, albo ideologiczny, gdy często pytano, kim są „prawdziwi” Amerykanie. Wirginia jeszcze w latach pięćdziesiątych była stanem przeważnie wiejskim, ale lokalni liderzy z doliny przewidywali, że wraz z wsysaniem przez miasta stanowych pieniędzy i migrantów z prowincji czeka ich degradacja do roli balastu.

Może jednak za sprawą parku, dzięki silnej gospodarce, nowym drogom i kwitnącemu biznesowi – choć raz to ludzie z Północy mieli wydawać pieniądze tutaj – najlepsi i najzdolniejsi mieszkańcy okolicy przestaliby wyruszać w świat. Może kolejni zaczęliby zasiedlać tamtą część stanu. Miejscowi zwolennicy projektu przyrzekli wierność „nowemu duchowi agitacji, reklamy, poszukiwania nowych osadników, przyciągania turystów, a przede wszystkim jedności i współpracy, aby zapewnić dolinie Shenandoah należne jej miejsce pod słońcem”.

Przedsiębiorca George Freeman Pollock wziął sobie tę ambicję do serca i stał się niezrównanym agitorem. W latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku osiedlił się w dolinie Shenandoah w nadziei, że uda mu się obrócić w sukces feralną spuściznę. Zmarły ojciec Pollocka był głównym właścicielem upadłej kopalni miedzi, a jego dług obejmował między innymi nieco ponad dwa tysiące hektarów obciążonej wysoką hipoteką ziemi w Paśmie Błękitnym. Pollock spróbował ratować inwestycję, przekształcając tę ziemię w teren rekreacyjny dla dzianych amatorów otwartych przestrzeni z północnej Wirginii, Marylandu, Waszyngtonu i Nowego Jorku. Nadał mu nazwę Skyland Resort. Kiedy przygotowania do utworzenia parku narodowego nabierały tempa, wykreował się na zaufanego doradcę planistów, człowieka stąd mogącego działać na rzecz ludzi z zewnątrz.

Nie ulega wątpliwości, że Pollock kochał góry. Dużo mniejszym szacunkiem darzył natomiast swoich górskich sąsiadów. Jak napisał Darwin Lambert, historyk Parku Narodowego Shenandoah: „[...] żeby nie dać się wygonić z Pasma Błękitnego, [Pollock] zdominował górali, czasami bronią, czasami rozumiejąc ich motywy lepiej od nich samych, a czasami czystą bezczelnością”. Pollock posłużył się jednak również inną formą dominacji: pomógł zwrócić uwagę akademików na sprawność genetyczną swoich sąsiadów. Przeprowadzone badania wykorzystano następnie do oszacowania „potrzeb” górali, kiedy zaludnione tereny przekształcano w park narodowy.

Nazwę Pollocka kanciarzem, bo nie przychodzi mi do głowy lepsze określenie na jego działania. W 1925 roku uważał się już za właściciela niezrównanego górskiego imperium. W centrum owego imperium znajdował się zaś sielsko luksusowy Skyland Resort. Chociaż Pollock podawał się za właściciela najcenniejszego – taką miał nadzieję – terenu w przyszłym parku, w rzeczywistości przez większość życia miał długi. Z najgorszych tarapatów finansowych wyciągali go ustosunkowani klienci i goście ośrodka. „Obawiam się, że gdyby nie pan Byrd, utraciłbym tę górę – pisał Pollock o wirgińskim senatorze Harrym F. Byrdzie. – A gdybym ją utracił, nie byłoby Parku Narodowego Shenandoah”. Jak widać, nie należał do skromnych.

Nawet ci, którzy znali Pollocka u kresu życia, postrzegali go jako świetnego biznesmena, pomimo przekonujących dowodów, że nim nie jest. „Jego zdolności biznesowe musiały być niebagatelne – domniemywa Lambert. – W przeciwnym razie, rozpoczynając bez konkretnych środków, jak mógłby stale rozbudowywać i ulepszać swoje wielopoziomowe przedsiębiorstwo?” Potem robi zastrzeżenie: „Ponosił jednak straty i z rzadka, jeśli w ogóle, wychodził z długów”. Zwolennicy Pollocka godzili te fakty, sławiąc go jako człowieka, którego najgorszym wrogiem była jego własna szczodrość.

A zresztą czymże jest drobny dług, jeśli dzięki temu jest dobra zabawa? Opowieści o swych wyczynach Pollock uwieczniał w biuletynie obozowym pod tytułem „Stony Man Camp Bugle Call”, mającym około dwustu prenumeratorów żądnych najświeższych górskich plotek o odbywających się w danym sezonie cake walkach, przedstawieniach teatralnych, potańcówkach, minstrelach, a nawet, w sierpniu 1901 roku, wymyślnym turnieju walki na kopie. „Pan Pollock stanął do turnieju jako Rycerz Skylandu, walczący w fioletowo-białych barwach dla panny Willie Stealy – relacjonowano w jednym z artykułów. – Wszyscy rycerze byli odziani w przepiękne zbroje, ze srebrnymi napierśnikami i srebrnymi hełmami, wysokie buty i rajtuzy”. Czyż taka zabawa nie jest bezcenna?

Jeśli wyszukane przyjęcia w głuszy Pollock urządzał kosztem spłaty podatku lub raty kredytu, łatwo, wzorem jego zwolenników, uznać go za czarującego ekscentryka. Z pewnością jednak potrafił być bezwzględny biznesmenem, kiedy wymagały tego okoliczności, co zdarzało się często w relacjach z sąsiadami z gór.

Wielu z nich uważał po prostu za dzikich lokatorów, prostaków, którzy umościли się wśród szczelin i grani bez poszanowania dla legalnej własności. W swoich wspomnieniach zatytułowanych *Skyland. Heart of the Shenandoah National Park* [Skyland. Serce Parku Narodowego Shenandoah] Pollock pisze, że po śmierci ojca postąpił zgodnie ze wskazówką rodzinnego prawnika: natychmiast utworzył osadę w górach i wygrodził pięćdziesiąt hektarów jako swoją bazę. Prawnicy mieli się uporać z wszelkimi komplikacjami dotyczącymi tytułu do gruntów, tymczasem jednak w razie potrzeby mógł bronić swojego terenu siłą. Nie

dostrzegając ironii losu, że jego strategia polega na przywłaszczeniu sobie i zajęciu ziemi bez prawa własności – zupełnie jak dzicy lokatorzy – Pollock został góralem.

Ze względu na jego pokaźne długi kredytowe i brak własnego kapitału komplikacje dotyczące tytułu do gruntów okazały się bardziej złożone, niż przypuszczał. W świecie Pollocka nawet wierzyciele byli jednak pod jego urokiem. Miał przedziwny zwyczaj przebierania się za Teddy’ego Roosevelta, kiedy w interesach wyjeżdżał do Charlottesville, żeby zabiegać o prolongatę długów:

W tamtych latach [...] przysposobiłem sobie kostium wzorowany na zdjęciach stroju, jaki Teddy Roosevelt nosił na Zachodzie – sztruksowe spodnie z wysokimi butami i sztruksowa kurtka myśliwska opadająca na spodnie prawie do kolan, misternie wykończona skórzanymi frędzlami. Tak samo wykończone były też nogawki spodni na szwach zewnętrznych. Nosiłem typowy płócienny pas Armii Stanów Zjednoczonych z koltem kaliber .45 przypiętym do pasa oraz kapelusz kowbojski. [...] Zawsze wkładałem ten kowbojski strój, a Sędzia słuchał, uśmiechał się lekko i zawsze dawał mi jeszcze trochę czasu. Niech go Bóg błogosławi!

Skutki przekonania Pollacka o jego wątpliwych prawach do tych górskich terenów chyba szczególnie dotkliwie odczuwała jedna z rodzin, Nicholsonowie. Nestora rodu, Aarona Nicholsona, Pollock często nazywał „królem dzikich lokatorów w tym regionie”. Utrzymywał, że podstawą roszczeń Aarona są po prostu wyobrażenia trzęsącego się starca o tym, jak powinien działać świat: że skoro Aaron wykarczował teren, postawił na nim domy i uprawiał ziemię, to należała ona do niego, a nie do Pollocka. Ten był, rzecz jasna, innego zdania. „Mój ojciec i pan Allen [dawny wspólnik ojca w interesach] byli właścicielami większości terenu, na którym mieszkali [Nicholsonowie]” – pisał o swoim spadku.

Potomac Appalachian Trail Club (Potomacki Klub Szlaków Appalachów), którego zamożni członkowie często odwiedzali ośrodek Pollocka, uwiecznił nawet Aarona Nicholsona w karykaturze wydrukowanej na pamiątkowych mapach okolicy. Został on na niej przedstawiony jako Król Wolnego Stanu Kotliny, przerysowany człowiek z gór, bosy i z bronią w ręku, mówiący: „To wszystko moja ziemia [...] sam

żem ją wymierzył i sam żem wyrombał, od szczytu do szczytu, jak okiem siengnoł”.

W swoich wspomnieniach Pollock twierdzi, że Nicholson wykrzykiwał te słowa do geodetów, którzy przyszli zbadać teren. Pollock był w owym czasie uwikłany w spór prawny z podmiotem usiłującym określić, ile terenów rzeczywiście do niego należy, aby przejąć je za niespłacone długi. Pollock, chcący się pozbyć geodetów, miał ich skierować na farmę Nicholsona, żeby zapytali, do kogo należy ta ziemia. Żart polegał na tym, że wiedział – przynajmniej we własnej opowiadstce – że Nicholson pogrozi im, jak na górskiego prostaka przystało, weźmie ich na muszkę i zaserwuje bełkotliwy wykład o prawie zasiedzenia. Według Pollocka plan wypalił w stu procentach. Geodeci uciekli i już nie wrócili. „I mógłbym tak opowiadać dalej, przypadek za przypadkiem, o tym, jak cudem unikałem nieszczęść, kiedy walczyłem o tytuł do ziemi” – pisze, rozpaczliwie starając się tchnąć ducha przygody w historyjki, które po odarciu z całej przesady traktują po prostu o uchylaniu się od podatków i pożyczaniu pieniędzy od zamożnych przyjaciół.

Puenta opowieści jest taka, że zespół archeologiczny pod kierunkiem Audrey Horning na podstawie pomiarów dokonanych w połowie lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku na zlecenie Służby Parków Narodowych odkrył później, że do Aarona Nicholsona rzeczywiście należało co najmniej dziewięćdziesiąt siedem hektarów ziemi.

Pollock określał sam siebie jako „drobną brodawkę, jeśli można tak powiedzieć, na nosie pięknej kobiety”, irytujący element zakłócający piękny widok i zaskakująco trudny do usunięcia.

W lutym 1925 roku „Page News and Courier”, lokalna gazeta z Luray w Wirginii, opublikowała list Pollocka. Powstał w jego zimowym domu w Nowym Jorku, ale adresowany był do sąsiadów z Południa:

Koniecznienie sprzedajcie państwu swoje majątki i złożcie podanie o pracę, gdy tylko rozpocznie się modernizacja na terenie parku; znajdziecie dobry zarobek w pobliżu domu; prawdopodobnie nie będziecie musieli opuszczać farmy, którą sprzedaliście państwu, starsi będą mogli dalej uprawiać swoje poletka, wasze rosnące dzieci wkrótce będą miały gdzie iść do szkoły, a jeśli z rozwałą podejdziecie do zarobków, prędko zaoszczędzicie dość pieniędzy, żeby kupić dom gdzie indziej, jeżeli zechcecie.

Obiecywał: „[...] dostaniecie od Wujka Sama dobrą ofertę”.

Była to jednak czysta spekulacja. W maju 1925 roku prezydent Coolidge podpisał zgodę na utworzenie Parku Narodowego Shenandoah, ale określenie dokładnych jego granic i wybór strategii pozyskania gruntów pozostawiono do późniejszego ustalenia. Pewne było tylko to, że terenów nie wykupi rząd federalny i nie będzie bezpośrednio rozmawiał z nikim, kto rości sobie do nich prawo. Jeśli Wirginii zależało na tym przedsięwzięciu, musiała zapłacić za ziemię i darować ją państwu.

Władze stanu, wraz z sojusznikami w Waszyngtonie, przewidziały taki scenariusz i w geście dobrej woli przez cały poprzedni rok prowadziły szeroko zakrojone kampanie zbierania funduszy. Darczyńcy mieli możliwość symbolicznego zakupu ziemi w nowym parku (Pollock „kupił” czterysta hektarów, co przekładało się na deklarację wsparcia finansowego w wysokości około sześciu tysięcy dolarów). Politycy przekonywali do parku, obiecując, że przyniesie on okolicy olbrzymie bogactwo w postaci przychodów z turystyki i spowoduje napływ lepszych imigrantów, oczarowanych tamtejszym pięknem i duchem przedsiębiorczości.

Ta skoordynowana kampania to było naprawdę coś. William E. Carson, nowo mianowany przewodniczący wirgińskiej komisji ds. ochrony środowiska, chwalił działania stanu na rzecz pozyskiwania funduszy z niemałym podziwem:

[...] przyjmowano od ludzi deklaracje w wysokości od sześciu do dwudziestu tysięcy dolarów, a gdy przeanalizowaliśmy kampanię, odkryliśmy, że właściwie brak informacji o wielkości tego obszaru, wartości gruntów, stanu ich własności, tego, czy ludzie zechcą sprzedać swoją ziemię, a także jednoznacznej gwarancji, że rząd Stanów Zjednoczonych ją przyjmie, a jednak udało się sprzedać ten pomysł, wyznaczyć teren i zebrać około dwudziestu sześciu tysięcy deklaracji.

Taka bezprzykładna determinacja wydałaby mi się czymś zupełnie obcym, gdybym nie przeżyła roku 2018 – kolejnego momentu, kiedy możni postanowili ogłosić nadejście w Wirginii nowej epoki podobnego rodzaju. Był to rok konkursu na Amazon HQ2, drugą siedzibę spółki, oraz zwycięskiej oferty przedstawicieli Alexandrii i Arlington w Wirginii. Sezon składania ofert dał nam dobrą lekcję, jak wiele są gotowe poświęcić władze lokalne dla przyciągnięcia biznesu. W tym przypadku chodziło o zachęty

finansowe w wysokości co najmniej siedmiuset pięćdziesięciu milionów dolarów, które w zamian miały sprowadzić zdolniejszych pracowników, zwiększyć liczbę miejsc pracy i zapewnić wdzięczność Amazona. Z mojego punktu widzenia nawiązanie takiej relacji wymagało politykierstwa i agitacji na niepojętą skalę, zamaskowanych głośno powtarzaną deklaracją, że wszyscy Wirgińczycy traktują tę szansę z takim samym entuzjazmem jak nasi władarze. Gubernator Ralph Northam w imieniu nas wszystkich zamienił stanowe motto na slogan reklamowy i oznajmił: „Wirginia jest dla miłośników Amazona”^[17].

Może to prymitywne porównanie, kiedy mowa o czymś, co po prawie stuleciu od opisywanych tu wydarzeń cieszy się powszechną miłością. Warto jednak podkreślić, że zanim Park Narodowy Shenandoah zaistniał, był ofertą realizowaną za pomocą broszur z hasłem „TEGO CHCĄ WSZYSCY”, rozpowszechnianych przez negocjatorów z politycznego nadania, nazywających samych siebie przywódcami wyprawy wojennej. Niepodlegającym dyskusji elementem tej oferty była główna zachęta w niej zawarta: darmowy i wolny od roszczeń tytuł własności do olbrzymich gruntów, bez obciążeń i należności, darowany rządowi federalnemu.

Początkowym celem było pozyskanie stu pięćdziesięciu tysięcy hektarów. Do nadzorowania tego procesu władze Wirginii wyznaczyły przewodniczącego Carsona. W 1926 i 1927 roku stan kontynuował kampanię gromadzenia funduszy, a tymczasem do doliny Shenandoah wysłano inżynierów, żeby dokonali pomiarów i ustalili granice nieruchomości. Wrócili z rozczarowującymi wynikami. Pierwsze szeroko zakrojone badania wykazały, że na wybranym terenie znajduje się 5650 działek, na których stoi 3250 domów zamieszkanym przez co najmniej 7000 ludzi. Katrina Powell, profesorka anglistyki na uczelni Virginia Tech zajmująca się tematem wysiedlenia góralskich rodzin podczas zakładania parku narodowego, ustaliła, że na etapie wczesnego planowania orędownicy parku umyślnie zafałszowali liczebność miejscowej ludności. Był wśród nich Pollock, który zapewniał władze, że można tam znaleźć tylko „kilka małych górskich gospodarstw bez większej wartości”. Nie spodziewano się odkryć znacznej rozbieżności między przewidywaną a faktyczną liczbą mieszkańców.

Służba Parków Narodowych zarządziła ponowne pomiary i na ich podstawie zmniejszono wielkość parku do 132 tysięcy hektarów. Zanim ostatecznie nastąpiło otwarcie, miała się ona zmniejszyć raz jeszcze, do około 65 tysięcy hektarów. Władze stanu zgodziły się przeznaczyć na zakup gruntów co najmniej milion dolarów, w przedsięwzięcie włączyło się również wielu dużych darczyńców pokroju Rockefellerów i Carnegieh. Przewodniczący Carson nienawidził tej roboty. „Podlizywanie się bandom bogaczy to nie jest odpowiednia praca dla człowieka mojego temperamentu” – pisał do swojego przyjaciela Harry’ego Byrda.

Od 1928 roku nie trzeba już było się tak usilnie podlizywać, bo Wirginia przyjęła Public Park Condemnation Act, czyli ustawę o przejęciu gruntów pod parki publiczne, przyznającą władzom stanowym prawo do pozyskiwania terenów pod parki przez wywłaszczenie. Gromadzenie środków albo asygnowanie określonej kwoty to jedno, ale faktyczne wykorzystanie tych pieniędzy do zakupu ziemi to zupełnie co innego. Trafiali się oczywiście właściciele ziemscy, których nie trzeba było nakłaniać do sprzedaży, ale urzędnicy stanowi napotykali różne przeszkody. Z wieloma właścicielami trudno się było skontaktować, wybuchały kłótnie o ceny gruntów, niektórzy odmawiali sprzedaży, a pomiary prowadziły do sporów o własność. W stanie zawieszenia znalazła się też niepokojąco duża liczba farmerów dzierżawiących ziemię; nie mając prawa do rekompensaty, byli zdani na łaskę stanu.

„Jawnie beznadziejnym przedsięwzięciem jest próba pozyskania niezbędnego terenu poprzez bezpośredni zakup – donosił Carson – ponieważ cały projekt może zahamować ktokolwiek z tysięcy właścicieli lub osób wysuwających roszczenia, jeżeli nie otrzyma astronomicznej i nieuczciwej kwoty, dochodzi do rozpraw z przysięgłymi, odwołań i najróżniejszych niekończących się opóźnień, którymi egoistyczni, uparci i chciwi pieniacze zakłócają procedury”. Przemilczany pozostał fakt, że owe astronomiczne kwoty najwyraźniej równały się liczbom podawanym przez same władze stanu przy zbieraniu środków – od dwunastu do piętnastu dolarów za hektar – teraz jednak uważano je za zbójckie, świadczące o chciwości górali.

Chociaż park nadal cieszył się ogromnym poparciem wśród lokalnych przedsiębiorców, w miejscowej prasie i w listach kierowanych do władz stanowych i federalnych przez zatroskanych mieszkańców zaczęły się pojawiać określenia takie jak „parkowa propaganda”. Jeden z zamożniejszych właścicieli ziemskich złożył, ostatecznie oddalony, wniosek o sądowy nakaz wstrzymania wywłaszczenia. Nowa ustawa o wywłaszczeniu miała uprościć działanie biurokratycznej maszynery, która ugięła się pod ciężarem zadań związanych z nowym parkiem narodowym. Jednak zdaniem niektórych przez wprowadzenie tej ustawy władze stanu w najlepszym razie dopuściły się marnotrawstwa, a w najgorszym – okrucieństwa. Skoro ta ziemia jest taka cenna, argumentowała część mieszkańców, dlaczego mamy ją oddać rządowi federalnemu? Pewien profesor z Uniwersytetu Wirginii w typowo wirgińskim stylu zainicjował skromną kampanię nawołującą do rezygnacji z utworzenia parku narodowego na rzecz parku stanowego, w którym, zgodnie z jego logiką, można by przynajmniej zaprowadzić segregację zgodnie z prawem stanowym, aby oszczędzić białym turystom zniewagi związanej z mieszanym ras. Lewis Willis, właściciel ziemski z Marys Rock, w 1932 roku podsumował w liście do prezydenta Hoovera cierpienia związane z oczekiwaniem, aż stan zajmie jego grunty:

Ten park narodowy zrodził się z ambicji, napędzany był odwołaniami do chciwości i karmił się przesadą i fałszem. [...] Jesteśmy skłonni do racjonalnych poświęceń dla dobra ogółu, kiedy to konieczne. Nie zamierzamy jednak opuścić naszych domów, żeby rozślawić paru polityków i umożliwić nielicznym sięgnięcie do kieszeni turystów.

Przestudiowawszy listy do władz słane przez rodziny z gór podczas wysiedlenia, Katrina Powell dochodzi do wniosku, że właścicielom ziemskim trudno było podważać proces wywłaszczenia lub mu się opierać, w znacznej mierze wskutek dezinformacji na temat projektu, czasem niezamierzonej, a czasem wręcz przeciwnie. Na przykład Pollock w swojej roli propagatora idei parku rozповідаł w lokalnych gazetach, że w przewidywalnej przyszłości „Wujek Sam” zamierza zezwolić wielu rodzinom na pozostanie na swoich gruntach w charakterze dzierżawców, a co bardziej dziarscy górale mają dużą szansę włączyć się w projekt

tworzenia parku jako płatni pracownicy, odpowiedzialni za oczyszczanie terenu i budowę infrastruktury. Pozwalam tu sobie na spekulację, ale wydaje mi się prawdopodobne, że Pollock rzeczywiście wierzył, że najuleglejsi górale mogą „zapracować sobie” na pozostanie, jeśli w jakiś sposób przysłużą się władzom, choćby tylko publicznie wyrażając wdzięczność.

W to wierzą przecież wszyscy kanciarze, prawda? Że ludziom ambitnym wymyślenie siebie na nowo przychodzi z łatwością. „[Hochsztaplerzy] rozkwitają w czasach transformacji i gwałtownych przemian”^[18] – pisze psycholożka Maria Konnikova w książce *Myśl jak oszust, żeby nie dać się oszukać*, a ja kiwam głową, bo wiem, co w tej historii będzie dalej.

Podobnie jak władze stanu Pollock był gotów zrobić wszystko, żeby zapewnić przyszłemu parkowi jak najlepsze perspektywy. Skyland Resort stał się de facto kwaterą główną tego projektu, a sam Pollock raczył planistów parku wykwintnymi daniami, nielegalnym alkoholem i szerokim wyborem rozrywek. Pisywał listy do miejscowych gazet, uczęszczał na spotkania lokalnej społeczności i stale pełnił funkcję przewodnika. Jego celem było imponować i przekonywać – i odnosił w tym zakresie olbrzymie sukcesy.

Na początkowych etapach planowania parku Pollock często celowo prowadził gości przez obejścia swoich najbiedniejszych sąsiadów i łączył te widoki z barwnymi opowieściami o życiu w górach, aby wzbudzić w odwiedzających to samo paternalistyczne nastawienie, które sam żywił wobec tych rodzin. „Wiedziałem, że nie odwiedziwszy osobiście tych ludzi w ich domach – stwierdzał we wspomnieniach, opisując jedną z wizyt – nie sposób sobie wyobrazić ich ubóstwa i niedoli”. Głównym celem tych wycieczek było uspokojenie serc i umysłów orędowników parku, którym ciążyła na sumieniu perspektywa wysiedlenia mieszkańców gór. Pollock najwidoczniej rozumiał, że skutecznym sposobem na rozwianie ich wątpliwości będzie przedstawienie wysiedlenia jako zysku, a nie straty. Zamiast złoczyńcami promotorzy mogli stać się bohaterami, którzy wybawią górali od ich najgorszych instynktów i pchną ku bardziej cywilizowanemu życiu.

W swoich opowieściach Pollock z całą pewnością przemilczał to, że sam przyczynił się do tej biedy. Wielu jego sąsiadów, czy to z wyboru, czy z braku innych możliwości, pracowało na jego rzecz: bezpośrednio w Skyland Resort, przy robotach budowlanych albo przy wytwarzaniu dóbr konsumowanych przez gości. „Ci z Corbin Hollow byli od nas zależni, żeby móc się utrzymać” – pisał Pollock, ukazując zatrudnianie mieszkańców jako swego rodzaju działalność charytatywną. Zdarzało mu się nawet obwiniać pracowników za opłakany stan swoich finansów. „Jesienią tego roku – skarżył się – biednemu Pollockowi nie zostało nic oprócz ulepszeń poczynionych w Skylandzie i jego otoczeniu”.

Za różne usługi płacił gotówką albo, kiedy robiło się kruczo, niechcianym szajsem walającym się po ośrodku, między innymi płytami, książkami, ubraniami zostawionymi przez gości czy uszkodzoną zastawą stołową. Na przykład w 1995 roku archeolodzy prowadzący prace w Corbin Hollow znaleźli tam stos ze czterdziestu par eleganckich butów w dobrym stanie, co wskazuje na to, że przedmioty oferowane przez Pollocka zamiast wynagrodzenia niekoniecznie na cokolwiek się jego pracownikom przydawały.

Ale tak już po prostu było w tym rejonie góry i czasem niektórzy mieszkańcy znajdowali sposób, żeby to wykorzystać. Na przykład odgrywając górskich prostaków przed bogatymi turystami, mogli handlować bimbrem i rękodziełem. Praca dla Pollocka wydawała się zapewne mniej ryzykowna niż przeprowadzka. Ten sam zespół archeologiczny ustalił również, że „obecność Skylandu z całą pewnością zatrzymywała mieszkańców w kotlinie, chociaż zwykle przyrost naturalny i podział terenów skłaniał do migracji”.

Piszący dużo wcześniej Darwin Lambert doszedł do podobnych wniosków:

Tutejsi nie wiedzieli, że są „góralami”, dopóki nie przekonali ich o tym ludzie z zewnątrz. Pollock i jego goście, którzy mitologizowali ich w ten sposób już w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku – wykorzystując jako źródło rozrywki oraz tajemniczych zagrożeń służbę i siłę roboczą, dostarczycieli alkoholu oraz obiekt działalności charytatywnej – przekonali do tego osoby z okolic Skylandu i uzależnili je od siebie, zatrzymali w górach wielu, którzy w przeciwnym razie by stąd wyjechali.

To właśnie w pobliżu Skylandu przedstawiciele Służby Parków Narodowych wyrobili sobie pierwszy, zwykle nieprzychylny pogląd o tych ludziach.

Ten nieprzychylny pogląd skłaniał promotorów parku do przekonania, że mieszkańcy gór skorzystaliby na nagłym skoku w lodowatą wodę współczesnego świata. Praca zarobkowa byłaby lepsza niż życie z roli, a najambitniejsi i najzdolniejsi górale mogliby wykorzystać okazje nadarzające się w regionie dzięki nowo powstałej branży turystycznej. Planistom nie przyszło do głowy, że część górali już pracuje w branży turystycznej i ich los wcale się nie polepszył. Woleli myśleć o nich jako o łagodnych ludziach, zadowolonych z losu, których trzeba życzliwie popchnąć w dwudziesty wiek.

Łatwo wyobrazić sobie Pasma Błękitne jako sielską krainę usianą wioskami i gospodarstwami, gdzie uprawiano rolę na własne potrzeby, że nie wspomnę już o słynnym ośrodku wypoczynkowym George'a Pollocka. Wyobraźmy je sobie jednak inaczej: jako miejsce położone zaledwie pięćdziesiąt kilometrów od Uniwersytetu Wirginii i dwie godziny drogi od stolicy kraju, w którym przybysze z Waszyngtonu, tak turyści, jak i ludzie zaangażowani w projekt parku narodowego, regularnie spotykali górali. Z jednej strony narodziło się powszechne, choć błędne wyobrażenie, że rodziny z gór niewiele wiedzą o świecie zewnętrznym. Z drugiej strony świat zewnętrzny na pewno wiedział o nich.

W 1928 roku, tym samym, w którym Wirginia przyjęła ustawę o przejęciu gruntów pod parki publiczne, w Pasma Błękitne przeprowadziła się młoda edukatorka Miriam Sizer, świeżo upieczona absolwentka Uniwersytetu Wirginii. Jej pierwszym opiekunem był George Pollock, który zapewnił i sfinansował jej zatrudnienie w szkole letniej utworzonej dla mieszkańców gór. Nie znam pierwotnego układu między Sizer a Pollockiem, nie ulega natomiast wątpliwości, że w ciągu dwóch miesięcy od przyjazdu – czy to z wyboru, czy pod wpływem zachęty, a zapewne pod wpływem obu tych czynników – wcieliła się bardziej w rolę badaczki niż nauczycielki.

Pollock przedstawił ją wysoko postawionym urzędnikom Służby Parków Narodowych i przesłał Sekretarzowi Spraw Wewnętrznych esej jej autorstwa, który zamierzała zgłosić do „New York Timesa”. W liście

wprowadzającym wysłanym Johnowi Bohnowi z „Timesa” Sizer poinformowała, że „za radą pana Pollocka” przeprowadziła badanie warunków socjologicznych na terenie przyszłego parku. Z dramatyczną emfazą oznajmiła, że tamtejsi górale to „współcześni Robinsonowie Crusoe, ale pozbawieni jego znajomości cywilizacji. Pograżeni w niewiedzy, unurzani w samozadowoleniu, praktycznie pozbawieni ambicji, tożsamości obywatelskiej, zrozumienia dla prawa i poszanowania prawa, ludzie ci stanowią problem, który wymaga i doprasza się uwagi myślących mężczyzn i kobiet”.

Kiedy czytam list Sizer, wyobrażam sobie, jak śmiało dopisuje „i kobiet” na końcu pisma, które miało zrobić wrażenie na redaktorze „Timesa”. Również i tak często wyglądała eugenika: ktoś po prostu starał się realizować swoje interesy, dodać znaczenia własnemu życiu, deprecjonując życie innych.

Jak tłumaczyła Sizer w liście do „Timesa” i w późniejszej korespondencji, uważała, że rząd ma wobec góralskich rodzin powinność, która nie sprowadzała się tylko do zapłaty za grunty potrzebne do stworzenia parku. Bez interwencji z zewnątrz, podkreślała, bardzo wielu spośród tych górali zostanie nędzarzami i przestępcami, roznoszącymi swoje upodobanie do alkoholu i zamiłowanie do hazardu, swoją rozwiązłość i niepraworządność po miastach i miasteczkach. W jej ocenie byłoby lepiej, gdyby rząd „coś z nimi zrobił”. Sizer, tak jak Pollock, wierzyła, że w tym, co się wydarzy, ma do odegrania ważną rolę. Początkowo wyobrażała sobie coś w rodzaju rezerwatu dla najbiedniejszych rodzin. Dzięki temu zapewniłoby się im schronienie, a jednocześnie można by nimi zawiadywać poprzez wywieranie poprawczego, powściągającego wpływu.

W miarę rozwoju jej idei wiele z nich na pierwszy rzut oka wcale nie budziło wątpliwości. Sizer miała rację, że zarówno władze stanowe, jak i federalne były odpowiedzialne za pomoc najbiedniejszym. Miała także rację, że samo wygnanie mieszkańców z tych ziem i zapędzenie ich do miast to nie był racjonalny plan, również dlatego, że w tych miastach niekoniecznie znaleźliby przyjazne środowisko. Zwróciła uwagę, przypuszczalnie ponosząc pewne ryzyko osobiste, że w najbliższej

położonych miejscowościach nie robi się tego, co należy, aby przyszykować się do wysiedlenia, na przykład nie dba się o to, żeby szkoły pomieściły nowych uczniów.

Idee Sizer opierały się jednak również na nieugiętych przekonaniach i zawodowym wykształceniu, co kazało jej dojść do wniosku, że górale są słabo rozwinięci fizycznie i psychicznie, niezdolni do zadbania o własne przetrwanie. Współczuła im, ale było, jak było.

W owym czasie urzędnicy stanowi i federalni nie mieli spójnego planu poradzenia sobie ze skalą przesiedleń. Przy pogarszającej się gospodarce nawet ci górale, którzy zdołali uzyskać rekompensatę za grunty, musieli się gdzieś podziać. Nie mogli liczyć na scenę jak z *Bogatych biedaków*, w której rodziny ładują swój skromny dobytek na ciężarówki i odjeżdżają ku lepszemu życiu. Pollock preferował system, który pozwoliłby się pozbyć najgorszych mieszkańców, ale tym lepiej wykształconym (oraz co bardziej „zasuszonym” starszym góralom, jak sam by ich określił) umożliwił pozostanie w parku w roli robotników i dzierżawców. Po 1933 roku programy Nowego Ładu miały dać kolejne możliwości. Pod koniec lat dwudziestych z brzemieniem przesiedleń musiała się jednak zmagać sama Wirginia.

Sizer natychmiast zniechęciła do siebie urzędników odpowiedzialnych za parki. Nie jestem bynajmniej jej biografką, ale w swojej korespondencji, wprawdzie skromnej, jawi się jako taka osoba, która zawsze chce pokazać, że jest najmądrzejsza, co zapewne nie było najlepiej odbierane przez planistów zmagających się z rozmaitymi trudnościami. To był wrażliwy etap przygotowań parku narodowego. Obowiązujące porozumienie zakładało, że aby przejście tytułów własności było jak najczystsze, rząd federalny nie włączy się w żaden sposób w ustalenia dotyczące gruntów i ludzi. Czy próba przesiedlenia tych osób nie oznaczałaby, że rząd ma wątpliwości co do tego rodzaju ustaleń? William Carson musiał posprzątać za kulisami i poskromić Sizer, by zapewnić federalnych obserwatorów, że „najlepsze, co można zrobić dla tych ludzi, to spowodować, że rząd wkroczy i zajmie tę ziemię”.

Pracą Sizer zainteresowali się natomiast inni ludzie przeczuwający, co się szykuje, którzy zapewne dowiedzieli się o niej przez Pollocka i jego

siatkę kontaktów. W 1929 roku Mandel Sherman, dyrektor nowo utworzonego Washington Child Research Center (Waszyngtońskiego Centrum Badań nad Dziećmi), ufundowanego przez Rockefellerów, zaproponował przeprowadzenie pełnego akademickiego badania rodzin mieszkających na terenie planowanego parku. Dla naukowców takich jak on, postrzegających topografię jako nieprzeniknioną granicę, a górali jako obiekty poddane idealnej kwarantannie, góry były czymś w rodzaju laboratorium zapewniającego kontrolowane warunki. Oto mieli przed sobą dziewiczy przedmiot badań, nieskalany przez współczesny świat ani, co może najważniejsze, przez kontakty z innymi uczonymi. Można tam było badać zależności między dietą, środowiskiem, osobowością i inteligencją, a zważywszy na to, jaka instytucja patronowała Shermanowi, szczególnie interesował go wpływ tych czynników na rozwój dziecka. Sherman, socjolog z wykształcenia, nawiązał współpracę z Thomasem Henrym, dziennikarzem naukowym z „Washington Evening Star”, i zaprosił Sizer do ich zespołu badawczego w charakterze pracownicy terenowej.

Ależ to musiał być moment dla Sizer. Wykazała się inicjatywą, żeby przekonać o istotności swojej pracy i wykształcenia, a teraz, niespełna rok po przyjeździe w góry, została kluczową uczestniczką najprawdziwszego badania terenowego, które mogło mieć ogólnokrajowe znaczenie. Oczywiście to oznaczało, że pozostanie w górach na czas nieokreślony, żeby Sherman i Henry mogli podpisać się pod danymi, które zbierze. Byłaby natomiast jedną z tych „myślących kobiet”, które tak śmiało opisała w liście do „Timesa”.

W 1929 roku prezydent Hoover postanowił zbudować w przyszłym parku letni dom, co sprawiło, że tamtejsze dzieci z gór stały się przedmiotem ogólnokrajowego zainteresowania, i co okazało się dobrodziejstwem dla zespołu Shermana. Przy okazji odwiedzin Charlesa Lindbergha prezydent odkrył, że sąsiedzi nie rozpoznają słynnego lotnika, postanowił więc ufundować nową górską szkołę i obsadzić tam na stałe nauczycielkę, Christine Vest. Sherman i Henry uznali nowo otwartą szkołę za dogodną bazę dla badaczy, którzy przybywali „uzbrojeni w zabawki do rozpoznawania kształtów, monety, tytoń do żucia, stopy testów inteligencji,

notesy i inne akcesoria z uniwersyteckiego laboratorium psychologicznego”.

(Przyznaję, długo nie mogłam zasnąć dręczona myślą o tym, że urażone uczucia nierozpoznanego Charlesa Lindbergha mogły w pewien sposób poskutkować eksperymentami psychologów na wiejskich dzieciach).

Cokolwiek pierwotnie motywowało Shermana i Henry’ego, byli oni zachwyceni perspektywą, że w Paśmie Błękitnym znajdą okazję do skomplikowania (żeby posłużyć się ówczesnym żargonem akademickim) debaty „natura czy wychowanie”. Z punktu widzenia badaczy rysowała się ewidentna prawidłowość. Rodziny żyjące w głębi terytorium przyszłego parku były najbiedniejsze i w najgorszej sytuacji, natomiast te mieszkające bliżej miast radziły sobie lepiej.

Oczywiście badacze, którzy swoje ustalenia opublikowali w 1933 roku w książce *Hollow Folk* [Pusty lud]^[19], do opisu rodzin z Pasma Błękitnego posługiwali się typowo eugenicznym językiem. Wielu górali zostało na przykład określonych mianem „czystego nasienia”, ale będących w trakcie postępującej degeneracji za sprawą niezdrowego środowiska oraz stylu życia. Tak się składa, że podobny argument sformułował osiemdziesiąt lat później J. D. Vance na kartach *Elegii dla bidoków*: stwierdził, że ludzie dobrego szkocko-irlandzkiego nasienia zbłądzili i pozwolili, żeby w ich rodowodzie zagnieździła się bieda. Książka *Hollow Folk* opierała się również na eugenicznym aksjomacie, że „skoro tylko sporadycznie dochodziło do mieszania się z osobami innego pochodzenia”, ustalenia i wnioski dotyczące inteligencji i rozwoju obiektów badania są bardziej wiarygodne.

Ponieważ rzecz interesowała specjalistów w zakresie rozwoju dziecięcego, badacze poświęcili również dużo uwagi kwestiom takim jak nieślubne dzieci oraz płodność najuboższych kobiet. Tak, aby ich praca – jak to ujął pewien dystyngowany sędzia z Wirginii – była w „kordialnej zgodzie” z innymi podstawowymi ideami ruchu eugenicznego i nauki rasowej. W jednym z najbardziej przerażających fragmentów badacze stawiają pytanie, czy ubogie kobiety z gór, które ponoć nie uskarżają się podczas porodu, są genetycznie predysponowane do wyższego progu bólowego, co mogłoby się wiązać z ich zdolnością do wykonywania

ciężkich prac fizycznych. Mit ten zaczerpnięto bezpośrednio z ówczesnych przekonań medycznych na temat osób czarnych, szczególnie czarnych kobiet, co z kolei miało swój początek w poglądach zdeprawowanych właścicieli niewolników. W 1851 roku doktor Samuel Cartwright w swoim artykule *Diseases and Peculiarities of the Negro Race* [Choroby i cechy szczególne rasy murzyńskiej] przekonywał, że zarówno zniewoleni robotnicy, jak i „wolni murzyni” są podatni na dolegliwość nazywaną *dysaesthesia aethiopica*: chorobę umysłową nieodróżnialną od lenistwa, powodującą jednocześnie niewrażliwość skóry oraz nerwów, możliwą do wyleczenia regularną chłostą.

Jako dokument historyczny *Hollow Folk* przydaje się, żeby przyjrzeć się tym ideom na etapie formowania i prześledzić, jak dogmatyczny nacisk na kwestie rasy i genetyki, bez zmiany ostatecznych konkluzji, może przybierać również łagodniejsze oblicze teorii kulturowych. Sięganie po takie łagodniejsze oblicze to strategia nadal stosowana przez dzisiejszych eugeników, którzy nieraz zajmują kompromisowe stanowisko w debacie „natura czy wychowanie”, pod warunkiem że pozwoli im to dojść do wniosków umacniających ich przekonania o bezsprzecznej niższości określonych klas, ras i grup. Na przykład długa kariera współczesnego politologa i białego supremacjonisty Charlesa Murraya pokazuje, jak przydatna bywa taka elastyczność. W swojej książce *The Bell Curve* [Krzywa dzwonowa] z 1994 roku twierdził, na podstawie badań współczynnika inteligencji, że Czarni są nieodwracalnie mniej inteligentni od białych, natomiast w ostatnich latach przestawił się na tematykę niedoli białych i genetycznych realiów struktury klasowej.

Shermana i Henry’ego również interesowało dowiedzenie i prześledzenie degeneracji tak genetycznej, jak i kulturowej. Być może nie zgodziliby się z częścią sobie współczesnych co do tego, w jakim stopniu da się ją odwrócić, widzieli jednak wyraźną prawidłowość wzbudzającą ich entuzjazm. Im dalej człowiek zapuszczał się w głąb przyszłego parku, tym bliżej był zgnilizny.

Niewykluczone, że jest w tym trochę prawdy, bo z *Hollow Folk* można też wyczytać, że rodziny w najtrudniejszym położeniu akurat były również najbliższymi sąsiadami George’a Pollocka. Badacze nie uwzględnili

w znaczącym stopniu tego, że obecność Skylandu, turystów i ekonomiczna kontrola Pollocka mogły mieć wpływ na życie góralskich rodzin. W tekście pojawiają się natomiast pewne oznaki. W jednym z fragmentów mężczyzna obserwujący poród żony mówi jej, żeby nie zachowywała się jak „hotelowa kobitka” (Sherman i Henry próbowali czasem pisać z użyciem górskiego dialektu) i nie poddawała się bólowi, w czym kryło się zapewne oczekiwanie, że jego żona jest bardziej wytrzymała niż miastowe kobiety.

Moim zdaniem do najsmutniejszych portretów górskiego życia należy obrazek z Corbin Hollow, osady położonej najbliżej Skylandu. Badacze zastali tam kobiety ubrane w suknie wieczorowe, podczas gdy ich małe dzieci chodziły w workach. Określili tę sytuację mianem „ciekawej” i na tym poprzestali, choć przypuszczalnie rozumieli, że te suknie to odrzuty po gościach hotelu. Nie zainteresowali się tym, jak to jest być kobietą wykopującą z ziemi zgniłe warzywa w sukni wieczorowej ani dlaczego Pollock i jego goście oddawanie wymyślnych, niepraktycznych strojów uznali za dopuszczalną formę dobroczynności albo wręcz zapłaty za wykonywane usługi.

W ponoć najbardziej odosobnionej chacie w całych górach badacze napotkali starego górala słuchającego płyt gramofonowych, a wzmianka na ten temat służy im za osobliwy wstęp do dyskusji o prymitywnej muzyce. I tym razem jest oczywiste, że gramofon i płyty to szmelc z hotelu Pollocka, ale badaczy nie interesuje wyjaśnienie, skąd się wzięły w chacie, ani ustalenie, jak działa rynek wymiany dóbr i usług między poszczególnymi osadami. Zauważają jedynie, że ulubioną płytą górala są ballady morderców, „ogromnie dlań realistyczne”.

Kiedy ukazywało się *Hollow Folk*, mieszkańcy Pasma Błękitnego zdążyli już posłużyć za inspirację do wielu artykułów, w tym w „New York Timesie” i „Washington Post”. Henry uczynił ich tematem serii tekstów we własnym dzienniku, „Washington Evening Star”, pełniących funkcję swoistej zapowiedzi dłuższego badania i obiecujących ukazanie „ukrytych społeczności zacofanych analfabetów, którzy żyją w średniowiecznej nędzy”. Jeszcze w 1935 roku „Washington Post” nadal publikował takie same historie o ludziach z gór „żyjących w prawdopodobnie najbardziej prymitywnych warunkach w Stanach Zjednoczonych”. Jak wyjaśnia Sue

Eisenfeld w *Shenandoah. A Story of Conversation and Betrayal* [Shenandoah. Historia o rozmowie i zdradzie], ten akurat materiał prawdopodobnie czytano w tej okolicy, bo „Washington Post” był dostępny w górskich sklepach i na poczcie.

Możemy również skrytykować autorów *Hollow Folk* za zlekceważenie innego oczywistego powiązania: badanie rozpoczęło się w roku wybuchu wielkiego kryzysu, a zatem dokumentuje los wiejskich rodzin w najgorszym okresie najgorszego kryzysu gospodarczego w kraju. Przygodni czytelnicy *Hollow Folk* mogliby pomyśleć, że wahania na giełdzie miały niewielki wpływ na życie mieszkańców prymitywnych górskich osad, ale to błędne przypuszczenie. Co więcej, w góry kryzys przyszedł wcześniej w postaci zarazy drzewnej i nieudanych zbiorów, z czego górale już się nie otrząsnęli. Poprawę ich sytuacji uniemożliwił nie tylko ogólnokrajowy kryzys gospodarczy, ale również fakt, że góralskie rodziny miały teraz nowego gospodarza: rząd federalny.

Po 1933 roku większość rodzin pozostałych w parku mieszkała tam nadal z tej przyczyny, że były zbyt biedne, by przeprowadzić się bez wsparcia. Wśród nich było kilkaset rodzin dzierżawiących grunty, nieuprawnionych do rekompensaty za utratę domów i ziemi. Rząd federalny wydał im specjalne zezwolenia na tymczasowe pozostanie na terenie parku, ale obłożył tę obecność surowymi regułami. Jak przystało na typowego właściciela nieruchomości, nie odmówił sobie próby przyspieszenia procesu pomocą w podjęciu decyzji o wyprowadzce.

Zgodnie z nowymi warunkami górale nie mogli bez zezwolenia wprowadzać na tej ziemi żadnych zmian. Obejmowało to ścinanie drewna na opał, zbieranie plonów, a nawet wykonywanie regularnych prac ogrodniczych w rodzaju wycinki krzaków. Nie mogli zbierać jabłek, których w parku było w bród i które stanowiły dla tych rodzin ważne źródło pożywienia i dochodu. Ludziom pozostającym w domach, które niegdyś do nich należały, nie było również wolno dokonywać napraw, ponieważ procedura wywłaszczeniowa dotyczyła nie tylko gruntów, ale też nieruchomości. Ten przepis dotkliwie szkodził rodzinom pragnącym przenieść część swoich domostw poza park i tam je odbudować. (Na

przykład moja rodzina w Tennessee w tym samym okresie przetrwała swoje wysiedlenie, bo wolno jej było rozebrać dom i postawić go od nowa poza strefą wywłaszczenia). J. Ralph Lassiter, wyznaczony na pierwszego dyrektora nowego parku, na prośbę jednej z tamtejszych rodzin o zgodę na zbiórkę drewna na opał odpowiedział następująco: „Nie uważam, abyśmy byli odpowiedzialni za zapewnienie im drewna, i jestem zdania, że im szybciej zrozumieją, że muszą radzić sobie sami, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych”.

Na miejscu trzymało ludzi również zatrudnienie. Na przykład senator Harry Byrd był właścicielem sadu jabłkowego w górach i namawiał robotników, aby pozostali tam, jak długo się da, i kontynuowali pracę. Zatrudnionym u Byrda taki układ wydawał się pewnie nie gorszy od innych, bo przyszłość była nieprzewidywalna.

W tym okresie radykalnie zmieniły się plany rządu federalnego wobec wysiedlonych rodzin, a po 1933 roku w proces eksmisji włączyła się rozbudowana biurokracja utworzona w ramach rooseveltowskich programów Nowego Ładu. Dzięki tym nowym programom – oraz nadwyżce siły roboczej potrzebnej do ich realizacji – rząd federalny zrewidował swoją decyzję o nieangażowaniu się w przesiedlanie góralskich rodzin. Jak zwykle liczył się czas. Jednym z pozytywnych wydarzeń było utworzenie w ramach Departamentu Spraw Wewnętrznych Subsistence Homestead Division (Wydziału Gospodarstw Samowystarczalnych), który w 1934 roku uruchomił program Shenandoah Homesteads (Gospodarstwa Shenandoah). W ramach tego programu część mieszkańców wysiedlonych z gór miała możliwość przeprowadzenia się na niewielkie farmy na specjalnie utworzonych rolniczych osiedlach w pięciu okolicznych hrabstwach.

Te programy zostały jednak stworzone i obsadzone przez osoby o zdecydowanych przekonaniach co do tego, którzy biedni zasługują na pomoc, a którzy nie. Młode rodziny z dziećmi (byle niezbyt wieloma) mogły stanąć na przodzie kolejki; białe rodziny zawsze radziły sobie lepiej niż czarne. Pracownicy pomocy społecznej, którzy rozpatrywali wnioski, bywali podatni na wpływy, a w swoim procesie decyzyjnym często bazowali na lokalnych plotkach, aby eliminować „problemowe” rodziny.

Wsparcie federalne zależało również od kryterium dochodowego. Osiedlający się w gospodarstwach de facto zawierali z rządem federalnym umowę najmu i oczekiwano, że z czasem spłacą swoje nowe domy. Kandydaci pozbawieni środków finansowych lub tacy, którzy nie mogli wykazać, że znajdą pracę, nie spełniali warunków.

Przy wszystkich rodzajach wsparcia rząd wymagał zgodności i współpracy podczas procedury, co oznaczało, że potencjalni beneficjenci musieli rozumieć – lub udawać, że rozumieją – zawiłości nowej biurokracji, których często nie rozumieli sami urzędnicy. Pod górkę mieli górale pozbawieni sojuszników we władzach, a także ci, którzy nie potrafili „rozszyfrować” osobowości decydentów i reagować odpowiednio przymilnie bądź ulegle.

Odpowiedzialność za góralskie rodziny, które nie zakwalifikowały się do federalnych programów wsparcia, spoczęła na wirgińskim Stanowym Departamencie Opieki Społecznej, który mógł im proponować skromną pomoc doraźną i samodzielnie szacować potrzeby. Pracownikom wolno było również rekomendować oddanie dzieci pod opiekę stanu. Ponadto mieli prawo zgłaszać zaniepokojenie postępowaniem dorosłych uznanym za niemoralne lub niezgodne z prawem, co mogło skutkować więzieniem bądź osadzeniem w zakładzie.

W innej części Wirginii, nieco dalej na południe, w pobliżu Blacksburga poza granicami parku, lokalni mieszkańcy lękali się bezwzględnej taktyki pracowników opieki społecznej potocznie nazywanej „górskim nalotem”. Działała ona tak: pracownicy opieki społecznej ze wsparciem szeryfa niespodziewanie pojawiali się w osadzie i wykorzystując element zaskoczenia, nakazywali grupom dorosłych i dzieci wsiąść do czekających samochodów, które następnie wiozły ich do miejscowego sędziego, aby wydał nakazy umieszczenia w zakładzie; względnie, jeśli nakazy uzyskano już wcześniej, jechały wprost do danej placówki. Historyk Daniel Kelves w książce *In the Name of Eugenics* [W imię eugeniki] cytuje dawnego właściciela sklepu w wirgińskim hrabstwie Montgomery opisującego te naloty: „Wszyscy, którzy wtedy pobierali zasiłki, bali się, że im to zrobią. [...] Szeryf tam jeździł [do Brush Mountain] i ładował ich

wszystkich w parę samochodów, i zawoził do Staunton [Western State Hospital], żeby ich tam wysterylizowali”.

O ile mi wiadomo, tego typu nalotów nie urządzano na rodziny zamieszkałe w granicach parku. Istnieją jednak dowody na to, że stanowi urzędnicy zdrowia publicznego i opieki społecznej uważali za przesądzone, że proces eksmisji zakończy się osadzeniem części górali w zakładach. Miejscowy lekarz, Roy Sexton, napisał do Służby Parków Narodowych z obietnicą: „[...] najgorszych z tego towarzystwa po przeprowadzeniu badania zamkniemy w kolonii”.

Historyczka Molly Ladd-Taylor, która w książce *Fixing the Poor. Eugenic Sterilization and Child Welfare in the Twentieth Century* [Naprawić ubogich. Sterylizacja eugeniczna i opieka nad dziećmi w dwudziestym wieku] pisze o Minnesocie, ale jej spostrzeżenia są równie prawdziwe w odniesieniu do Wirginii, przekonuje, że eugenika i opieka społeczna zazębiały się, kiedy „cel eliminacji tak zwanych nieprzystosowanych zbiegał się z potrzebą utrzymania na niskim poziomie podatków i kosztów pomocy, czasem jednak bywało, że cel opieki społecznej, którym było zapewnienie wsparcia ubogim, oraz cel eugeniczny redukcji ich liczby kłóciły się ze sobą”. Były to poważne spięcia, często obciążające młode białe kobiety rozpoczynające karierę. Ich chęć zdobycia tożsamości zawodowej krzyżowała się z pragnieniem podkreślenia wspólnej płaszczyzny z ekspertami w branży. Ową wspólną płaszczyznę często okazywało się przekonanie, że problemy społeczne mają źródło biologiczne.

Po publikacji *Hollow Folk* Miriam Sizer otrzymała od władz stanu dodatkowe fundusze, żeby pozostała w Paśmie Błękitnym i wspomogła proces przesiedlania. Wyobrażam sobie, że była już wtedy kobietą orkiestrą, kimś potrafiącym dokonywać szacunków pod kątem przyznania pomocy, ale również, jak jej pierwotny opiekun George Pollock, służyć jako pośrednik i swoisty przewodnik różnym stanowym i federalnym biurokratom, którzy przyjechali w góry, żeby zarządzać biednymi.

Ze względu na swoją rolę w wydaniu *Hollow Folk* Sizer była wśród góralskich rodzin obarczona winą przez skojarzenie. Miejscowi wiedzieli

o istnieniu książki i wielu z nich, zarówno mieszkających na terenie parku, jak i poza jego granicami, miało o nią żal. Niektórzy, z artykułów prasowych autorstwa zespołu badaczy albo jemu poświęconych dowiedziawszy się przed wydaniem o wnioskach zawartych w publikacji, oprotestowali ją tak stanowczo, że Sherman i Henry zdecydowali się na nietypowy krok i w ostatecznym tekście odpowiedzieli na, jak to określili, „zalew gniewnych listów”. Zdaniem miejscowych badacze posługiwali się wadliwą metodologią. Stosowane przez nich testy inteligencji powstały z myślą o dzieciach miejskich, a nie wiejskich. Mieszkańcy nie byli pewni, z czym wiążą się te testy, ale mieli pewność, że nikt nie prosił tych wiejskich dzieci o rozpoznawanie ptaków i roślin ani nie badał ich znajomości otoczenia – a to w ten sposób, przekonywali autorzy listów, można by rozpoznać ich prawdziwe zdolności.

Sherman i Henry utrzymywali, że to właśnie takie badania prowadzono, a wiejskie dzieci spisywały się tak słabo, że nie rozpoznawały nie tylko fauny i flory, ale nawet pór dnia takich jak poranek, południe i noc. „Ich styl życia nie uwzględnia upływu czasu ani dni” – pisali Sherman i Henry, po czym wyjaśniali, że kiedy nie robi się nic wartościowego, wszystkie dni muszą być praktycznie jednakowe.

Rodziny z doliny Shenandoah poznałam za pośrednictwem nie *Hollow Folk*, ale zbioru fotografii wykonanych w 1935 roku przez Arthura Rothsteina, młodego fotografa na państwowej posadzie. Rothsteina, zatrudnionego w Farm Security Administration (Agencji Bezpieczeństwa Gospodarstw), wysłano w celu udokumentowania procedury eksmisji i uwiecznienia tej społeczności na fotografiach, zanim zniknie. Kiedy ten sam proces przechodziła moja rodzina w Tennessee i oczekiwała na przesiedlenie przez Tennessee Valley Authority (Zarząd Doliny Tennessee), rząd przysłał Lewisa Hine’a, żeby sfotografował ostatnie dni tamtejszej wiejskiej ludności. Dla jej członków zdjęcia Hine’a były zarazem straszne i wspaniałe. Choć uchwyciły moment potwornej straty, były również jedynymi fotografiami wielu bliskich ludzi. Właśnie dlatego wyszukiwałam wykonane przez rządowych fotografów zdjęcia wiejskich rodzin tuż przed eksmisją, początkowo kierowana dość egoistyczną i krępującą chęcią okrzyknięcia naszych fotografii, autorstwa słynnego Hine’a, „najlepszymi”

w tym ponurym gatunku. Oto, jak napotkałam rodziny z Shenandoah: jako bohaterów i bohaterki zdjęć osób, które wyglądały i żyły jak moi dziadkowie w niepewnych chwilach nadciągającego końca.

O zbiorze fotografii Rothsteina mogłabym powiedzieć dwie rzeczy, a prawdziwa może być jedna lub druga: albo celowo wykonał niekorzystne portrety, albo był żółtodziobem, który uczył się, eksperymentując. Miał w nawyku fotografowanie pozujących ludzi, którym słońce świeci w twarz, więc krzywią się bądź mrużą oczy. Kiedy indziej miewał kłopoty z kompozycją, dzieci fotografował zdecydowanie za bardzo z góry, a dorosłych – za bardzo z dołu. W takim przypadku aparat przyciąga uwagę, a pozujący muszą nienaturalnie zadzierać lub opuszczać wzrok. Jakkolwiek było naprawdę, zawsze miałam wrażenie, że w zdjęciach Rothsteina jest coś nie tak, zwłaszcza w jednym z nich, przedstawiającym chyba matkę z córką.

Najpierw widzimy matkę, podpisaną w tytule zdjęcia jako Fannie Corbin, stojącą pośrodku kadru. Włosy ma wysoko upięte i jest ubrana w gładki fartuch. Rękawy bluzki sięgają do łokci, a dłońmi ściska krótkie poręcze po obu stronach pięciu schodków, prowadzących na zadaszony ganek, gdzie w cieniu stoją niektóre jej dzieci. Nastoletnia córka, która, jak się później dowiedziałam, miała na imię Mollie, jest widoczna za matką, ubrana schludnie, w sukience z paskiem i w berecie. Mollie stoi swobodniej, ale jeśli dobrze się przyjrzeć jej stopom, widać, że piętę lewej nogi opiera na stopniu powyżej. Fannie patrzy prosto w obiektyw, a jej lewa ręka blokuje drogę córce. To obraz dyskomfortu i wycofania.

Wiele lat później, z filmu dokumentalnego Richarda Knoxa Robinsona poświęconego tym fotografiom, zatytułowanego *Rothstein's First Assignment* [Pierwsze zadanie Rothsteina], miałam się dowiedzieć, że Rothstein często towarzyszyłSizer krążącej po osadach. Fotograf sugeruje, że obecność Sizer i jej duma z wkładu w powstanie *Hollow Folk* mogły wpłynąć na narrację zawartą w tych zdjęciach, zwłaszcza w towarzyszących im krótkich opisach. Jedno z dzieci jest podpisane jako „półgłówek”. Na innym znajduje się dziewczyna „około szesnastu lat, ale o mentalności dziecka siedmioletniego”. Pewną dorosłą kobietę opisano przez pryzmat jej (niedorzecznej) płodności – „matka dwadzieściora

dwojga dzieci” – a inna została zidentyfikowana jako „żona Eddiego Nicholsona, która często chodzi żebrac do ośrodka wypoczynkowego”.

Katrina Powell odnalazła Sizer również w niemy filmie *A Trip to Shenandoah* [Wycieczka do Shenandoah], nakręconym dla rządu w 1936 roku. Powell pisze: „Widzimy Sizer trzymającą chłopca za kark, zapewne po to, żeby nie ruszał się podczas filmowania, gdy ona mówi o jego ciele i wskazuje je palcem. [...] Film jest pozbawiony narracji, można jedynie wywnioskować, że odebranie dziecka rodzicom i przekazanie go pod opiekę stanu wpłynie korzystnie na jego zdrowie”.

Nie wiemy, czy Sizer była obecna również wtedy, gdy Rothstein w 1935 roku fotografował Fannie i Mollie Corbin. Sue Currell, pisząca o związkach między eugeniką a fotografią dokumentalną, przedstawia inne wyjaśnienie dyskomfortu widocznego na zdjęciu, a opiera je na druzgoczącej wiedzy, którą ja nie dysponowałam, dopóki ona nie opublikowała w 2017 roku swojego eseju *You Haven't Seen Their Faces* [Nie widzieliście ich twarzy].

Tekst Currell ujawnia, że kiedy Rothstein fotografował rodzinę Corbinów, pracownicy opieki społecznej przesądziли już o wywiezieniu Mollie na sterylizację do Lynchburg Colony. „Zdjęcie Fannie Corbin z córką Mollie – pisze Currell – pokazuje zatem tę młodą kobietę w okresie pomiędzy klinicznym uznaniem za »imbecylkę« a osadzeniem w zakładzie w celu sterylizacji, gdzie, według wypisu wydane go przez Stanową Radę Szpitalną, przebywała do czerwca 1940 roku”. Te ustalenia uzupełniają naszą wiedzę o przerażające szczegóły. Podczas pracy nad filmem dokumentalnym Robinson odkrył również tajemniczy list od miejscowego lekarza Roya Sextona – wynika z niego, że między 1935 a 1942 rokiem w zakładzie umieszczono aż jedenaścioro członków rodziny Corbinów, w tym dziewięcioro dzieci.

Tak więc, stwierdza Currell, „znużenie Fannie jest odzwierciedleniem faktu, że przez pięć lat przyjeżdżali, badali, obserwowali, fotografowali i eksmitowali – i żadna z tych rzeczy nie przyniosła nowego domu i nowego życia, które im obiecywano i których tak rozpaczliwie potrzebowali”.

Nie wiem, jaki los spotkał Mollie Corbin po 1940 roku. Wiem natomiast, co stało się z jej młodszą kuzynką, Mary Frances, chyba jednym z ostatnich dzieci urodzonych na terenie dzisiejszego Parku Narodowego Shenandoah. Wiem, bo z czasem została orędowniczką osób, które w dzieciństwie zamknięto w zakładzie i wysterylizowano tak jak ją i Mollie.

Mary rzadko wspominała życie w dzisiejszym parku narodowym. Zapamiętała natomiast co innego. Zapamiętała, że po przeprowadzce jej rodzina nie przeżyła długo i że zabrano ją do Lynchburg Colony. Kiedy miała jedenaście lat, poddano ją tam operacji, podczas której coś poszło bardzo nie tak. Zapamiętała pielęgniarkę mówiącą jej, że wszystko w rękach Boga. Mary mimo wszystko doszła do siebie i zrozumiała, że została wysterylizowana. Nie jest to coś, co mogłaby o sobie powiedzieć każda pacjentka, wcale nie z powodu upośledzenia umysłowego, ale dlatego, że personel często to zatajał, udając, że celem operacji było po prostu wycięcie wyrostka.

Mary zapamiętała, że przez większość prawie szesnastu lat spędzonych w kolonii zmuszano ją do mycia i kąpania innych pacjentek. Jeśli źle się spisywała, personel kładł ją spać z osobą niekontrolującą czynności fizjologicznych albo zamykał w małej sali z kimś skłonny do przemocy. Zapamiętała pierwszy smak pracy za pieniądze, zapamiętała dolara zarabianego miesięcznie na czyszczeniu ziemniaków w kuchni ośrodka. Była to próba przed życiem poza murami placówki, które się zbliżało, bo stan upośledzenia umysłowego Mary się „poprawił”, choć władze stanu wcześniej uznały go za trwałą dolegliwość. W rzeczywistości władz wcale nie obchodziło, czy Mary się poprawiło. Po prostu dożyła epoki deinstytucjonalizacji, gdy poszczególne stany dla oszczędności zaczęły wypuszczać wieloletnich pacjentów psychiatrycznych. Dorośli pacjenci tacy jak Mary, wysterylizowani i ulegli, byli idealnymi kandydatami do powrotu na łono społeczeństwa.

Mary ostatecznie przerwała milczenie w filmie *The Lynchburg Story*. Wystąpiła również w artykule śledczym Mary Carter Bishop pod tytułem *An Elite Said Their Kind Wasn't Wanted* [Elita powiedziała, że takich jak oni, nikt nie chce] na łamach „Roanoke Times”. W rozmowie z Bishop opisała, jak straszne były te pierwsze lata wolności, mimo że udawało jej

się znaleźć pracę i cieszyła się niezależnością. Gdy pracowała nie dość ciężko, szefowie grozili odesłaniem do kolonii. Żyła w strachu, że wszystko znów zostanie jej odebrane.

Mary z całą pewnością zapamiętała czas, który nazwała najlepszym w swoim życiu: wyjście za męża. W 1958 roku, kilka lat po zwolnieniu z Lynchburg Colony, wzięła ślub z Robertem Donaldem. Znalezienie męża, który akceptował to, że ona nie może mieć dzieci, było prawdziwym darem. W małżeństwie przeżyli dziesięć dobrych lat. A potem Robert ją zostawił. Mary już zawsze wierzyła, że zmienił zdanie w kwestii dzieci. „Teraz to już koniec” – powiedziała.

Mary zmarła 14 kwietnia 2015 roku. Nie wiem, kto jest autorem jej nekrologu w „Madison County Eagle”, ale ten tekst ma w sobie wiele prawości. Osoba, która go napisała, nazywa *Hollow Folk* „skompromitowanym badaniem etnograficznym”, a potem wyjaśnia:

Od przymusowej eksmisji z domu w górach, kiedy badanie *Hollow Folk* „wykazało”, że „problemy” Corbinów wynikają z ich odizolowania od społeczeństwa (co pozwoliło uzasadnić wywłaszczenie tych ziem, aby zrobić miejsce dla Parku Narodowego Shenandoah) aż po przymusowe osadzenie w zakładzie i sterylizację mnóstwa członków jej rodziny – kiedy „ustalono”, że wiele dzieci Corbinów jest „nieprzystosowanych” do posiadania dzieci – *Hollow Folk* i rządowe programy, które wykorzystywały to badanie, miały druzgoczący wpływ na jej rodzinę.

W nekrologach bardzo rzadko widuje się ironiczne cudzysłowy lub określenia typu „skompromitowane badanie etnograficzne”. Ale czemu nie wskazać winnych? Za bardzo przejmujemy się przebaczeniem, nierozgrzebywaniem przeszłości. Ja wolę wersję wydarzeń przedstawioną przez Mary: całą prawdę. Jest lepsza niż to, jak część włodarzy Charlottesville próbowała upamiętnić Carrie Buck jako kobietę, która na nowo udowodniła swoją produktywność jako porządna, ciężko pracująca obywatelka.

Dalsza część nekrologu pokazuje, jak Mary chciałaby zostać zapamiętana: „Mary odegrała ważną rolę w zakończeniu wirgińskiego programu eugenicznego. [...] Ona i grono jej przyjaciół i przyjaciółek z »Kolonii« znalazło siłę, aby stawić czoło temu dziedzictwu. Wybrali się do Richmond, żeby protestować przeciwko eugenicie u gubernatora, i udało

im się doprowadzić do zakończenia programu rządowego, który wpłynął na życie tylu ludzi”. Mary otwarcie opowiadała o swoim bólu filmowcom, dziennikarkom, badaczkom i działaczom na rzecz praw osób z niepełnosprawnością. Pozostawiła po sobie obszerne świadectwo, żeby inni wiedzieli, czego w kolonii doświadczyły dzieci takie jako ona.

Właśnie o takich ludziach Joseph DeJarnette mówił, że nie mieli prawa się urodzić i że są w Wirginii chwastami do wyrwania. Bardzo to trafne, że dziś w Western State jest zachwaszczony ogród.

Być może pewnego dnia, w życzliwszym świecie, nareszcie upomnimy się o tych, którzy są w nim pochowani.

Pacjent jest dobry do pracy, a praca jest dobra dla pacjenta

Jest wiosna, w mieście dzień wesela. Na trawniku Western State Hospital w wirgińskim Staunton stają czyste białe namioty, a szpital nie jest już szpitalem, ale luksusowym hotelem. Słońce ogrzewa cegły i górę. Przybywa panna młoda. Oto nowy początek. Wszystko, co bolesne, można zostawić w tyle. Bądź co bądź szpitale psychiatryczne były miejscem zapomnienia, czyż nie? A przynajmniej na to liczone. W 1824 roku władze Wirginii wybrały Staunton na lokalizację nowego szpitala, ponieważ miasto sąsiadowało z wiejską nicością. Ulokowanie tam pacjentów mogło pomóc im zapomnieć o cierpieniu. Ułatwiało również społeczeństwu zapomnienie o „niebezpiecznych, nieopanowanych i odrażających członkach”. W *Historii szaleństwa w dobie klasycyzmu* filozof Michel Foucault pisze: „Łagodne i urozmaicone krajobrazy wsi wyrrywają melancholików z ich jedyne go zmartwienia”^[20]. W pierwszych latach istnienia Western State być może była to prawda.

Zresztą kto wie? Może to bardzo trafne, że teraz urządza się tam ślub. Może się mylę co do tego miejsca. Bądź co bądź ma ono wszelkie cechy kościoła, czyż nie? Pomyślcie o tych wszystkich duszach, które się tam odmieniły. Pomyślcie o pobliskich grobach i małej kapliczce, która tam niegdyś stała. Również dla tego budynku z pewnością znajdzie się nowe zastosowanie; zaprojektował go uznany architekt. Ktoś zarobi na tych starociach. Tymczasem jednak możemy czerpać z niego lekcje i rozdawać bez ograniczeń: „Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela”.

Tę samą lekcję otrzymała pewnego ranka wiosną 1931 roku pacjentka numer 18235 z Western State Hospital, choć o tym nie wiedziała. Osiemdziesiąt siedem lat później, w słonecznej czytelni Biblioteki

Wirgińskiej, przeczytałam oficjalny dokument z jej sterylizacji. Przesunęłam palcem po osobliwym zdaniu zapisanym na marginesie przez nieznaną dłoń: „Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela”. A potem, pod spodem: „Niech Bóg wybaczy”. Co znaczą te słowa? Czy napisano je z czułością czy z pogardą dla pacjentki? Co zostało złączone? Kto dopuścił się czynu wymagającego wybaczenia? Gdyby tamtego ranka dyrektor szpitala, Joseph DeJarnette, postanowił ulepszyć budynek, a nie kobietę, lepiej bym знаła historię owego dnia.

Opowiadając komuś o tych dopiskach, raz nieopatrznie się pomyliłam. Powiedziałam, że zdanie w dokumencie brzmiało: „Niech Bóg nam wybaczy”. Przez drobne przejęzyczenie stworzyłam alternatywną historię Western State, taką, w której lekarze czuli wahanie bądź skruchę w związku z krzywdą wyrządzaną pacjentom. Dodaniem jednego zaimka napisałam to miejsce na nowo.

Ale nic to. Historia miejsc w rodzaju Western State zawsze podlega rewizji.

W 2003 roku Staunton zmierzyło się z trudną kwestią: co ma zrobić niewielka, zainteresowana historią społeczność z takim miejscem jak Western State Hospital?

Western State otwarto w 1928 roku jako Western State Lunatic Asylum. Szczyt rozrostu placówki, pożerającej kolejne tereny, aby pomieścić coraz większe grono pacjentów, przypadł na lata po drugiej wojnie światowej, kiedy ośrodek zajmował pięćset trzydzieści hektarów w sercu miasta. Z czasem zaczął on przypominać bardziej królestwo niż szpital. Na jego terenie znajdowały się urodzajne pola uprawne, ogrody rekreacyjne, domy pracy, obiekty lecznicze, budynki sypialne oraz domy dla personelu. Dziś obrzeża dawnego szpitala leżą po bardziej zurbanizowanej stronie Staunton, na skraju nowoczesnego śródmieścia.

Szpital powstał w epoce tworzenia rozmaitych instytucji w Wirginii. W Staunton w tym czasie, a dokładnie w 1842 roku, założono także Uniwersytet Mary Baldwin, niegdyś uczelnię żeńską, oraz w 1839 roku Virginia School for the Deaf and Blind (Wirgińską Szkołę dla Głuchych i Niewidomych). Rozwój miasta nierozzerwalnie wiąże się z tymi trzema

instytucjami, z których każda na swój sposób miała służyć osobom na marginesie społeczeństwa. Dzięki tej wyjątkowej tożsamości Staunton figuruje nieraz na kartach historii postępu. Kiedy indziej jednak było to miejsce, gdzie z pewnością ignorowano przemocowe praktyki wymierzone w grupy w trudnym położeniu albo wręcz brano w nich udział.

Pierwotny kompleks Western State przestał funkcjonować jako szpital w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku, kiedy stopniowo przeniesiono go do nowej placówki, położonej pięć kilometrów dalej. W 1981 roku dawny teren został przejęty przez Departament Więziennictwa Wirginii i częściowo przekształcony w Zakład Karny w Staunton, więzienie dla mężczyzn o średnim rygorze. Przekształcenie nie wymagało wielu unowocześnień, ale władze stanowe na tyle umocniły strukturę najważniejszych budynków, że pozostały one czynne do 2003 roku. Wtedy więzienie zamknięto, a teren wrócił do miasta, które tą drogą wzbogaciło się o mniej więcej trzydzieści hektarów ziemi pełnej budynków w różnym wieku i o różnym przeznaczeniu.

W całym hrabstwie nadal działa kilka zakładów karnych i poprawczych oraz firm z tego sektora. I choć zwykle nie szczędzę określenia „kontrowersyjny”, opisując każdy taki zakład, tutaj jest ono szczególnie adekwatne. Na przykład w 2018 roku miejscowe Shenandoah Valley Juvenile Justice Center (Schronisko dla Nieletnich Doliny Shenandoah) zostało poddane kontroli władz stanu, kiedy pod adresem personelu wniesiono oskarżenia o stosowanie „technik obezwładniania”, takich jak zawiązywanie oczu i bicie. Częstym tematem w lokalnych wiadomościach są utrzymujący się niedobór personelu oraz skandaliczne warunki panujące w Zakładzie Karnym Hrabstwa Augusta położonym w Craigsville, oddalonym o pół godziny drogi. Przeciwno Libre by Nexus, miejscowemu przedsiębiorstwu powstałemu w 2014 roku, trwa obecnie kilka procesów związanych z modelem komercyjnych usług poręczenia dla imigrantów. W listopadzie 2018 roku współczesny Western State Hospital zawarł, opiewającą na dziewięćset tysięcy dolarów, ugodę z rodziną starszej pacjentki oddziału psychiatrycznego. Bliscy kobiety twierdzili, że szpital naruszał jej godność osobistą w tak rażący sposób, że doprowadziło to do jej przedwczesnej śmierci. Swoje niedociągnięcia wszystkie wymienione

podmioty przypisują konieczności działania pod presją związaną z tym, że po cięciach stanowych funduszy ledwo wiążą koniec z końcem.

Tego typu skandale pojawiają się wszędzie, gdzie istnieją podobne placówki. W Staunton rzutują jednak na reputację miasta, które się pragnie jawić jako zaciszna miejscowość turystyczna. Myślę, że Staunton chce być ośrodkiem dla odwiedzających park narodowy, którzy wpadają do sklepów ze starociami i na smaczny lunch, a nie społecznością o długiej, ciągle żywej historii więzienia ludzi. To oczywiście zrozumiałe, niemniej takie pragnienie grozi konfliktem z własną przeszłością. A przecież to właśnie ta przeszłość, a przynajmniej jej uładowana wersja, którą karmieni są przybysze zachwycający się dobrze zachowaną architekturą i krajobrazem historycznym, napędza przemysł turystyczny i w znacznej mierze odpowiada za dzisiejszy rozwój gospodarczy.

Było niemalże przesądzone, że pierwotny kompleks Western State Hospital, położony tak blisko perły miasta, którą jest jego centrum, z czasem zasili rozwijającą się branżę turystyczną. Wyzwanie polegało jednak na znalezieniu partnera, któremu starczy kapitału i pomysłowości, żeby urzeczywistnić odpowiednią wizję nowego oblicza tego miejsca. W 2006 roku, po rozważeniu kilku kandydatów, miasto przekazało teren Western State dwóm deweloperom z Richmond, Robinowi Millerowi i Danowi Geckerowi. Mężczyźni szacowali, że projekt pochłonie około dwustu pięćdziesięciu milionów dolarów, a o sukcesie ich oferty przesądziło precyzyjne określenie dwóch początkowych faz rewitalizacji. Zamierzali przekształcić najważniejsze obiekty na terenie ośrodka w ekskluzywne budynki mieszkalne pod nazwą The Villages at Staunton, a zyski z ich sprzedaży zainwestować w stworzenie luksusowego hotelu Blackburn Inn. Plan przewidywał również trzy kolejne fazy – w tym budowę nowych domów, biurowców i obiektów handlowych na pozyskanych gruntach – nie były one jednak dokładnie sprecyzowane. W ciągu następnych czternastu lat fazę pierwszą i drugą zrealizowano zgodnie z zapowiedzią: mieszkania trafiły na rynek około 2008 roku, a hotel stanął w roku 2018.

Moje pojawienie się w Staunton przypadło na rok 2016, kiedy wraz ze swoim partnerem Joshem zdecydowałam się na akcję typu „wracamy do

domu, ale kawałek dalej”. Chyba można powiedzieć, że były nam potrzebne kojące krajobrazy. Moje pierwsze przeczucie, że w mieście coś się zmieniło, odezwało się jednak wcześniej, na odległość, kiedy szukaliśmy domu i przeglądałam nieruchomości w internecie, żeby na nowo zapoznać się z okolicą. Gdy piszę te słowa cztery lata później, dziwnie się czuję, że moją pierwszą reakcją na renowację Western State było pogardliwe parsknięcie, bo jakaś strona zapytała, czy mam ochotę wydać pół miliona dolarów, żeby zamieszkać w tej gównianej norze.

Teraz nastąpi ten fragment książki, za który w Staunton zapewne zostanie obłożona klątwą: w którym twierdzę, że zrewitalizowane Western State to przede wszystkim zachwycający architektonicznie wabik na boomerów. Ale błagam, ja tylko czerpię bezpośrednio z wizji samego Robina Millera, który jasno stwierdził, że oferty nieruchomości będą adresowane przede wszystkim do „osób spoza okolicy szukających miejsca na spędzenie emerytury albo kupujących drugi dom”. Trzeba przyznać mu rację, że nie miałoby sensu reklamowanie osiedla miejscowym. Ceny nowych nieruchomości w The Villages at Staunton wahają się od 250 do 500 tysięcy dolarów, podczas gdy mediana rocznych zarobków oscyluje tutaj w granicach 45 tysięcy dolarów na gospodarstwo domowe. Postępy projektu śledziłam ze swojego punktu obserwacyjnego w mieście, historycznego domu, który razem z Joshem wynajęliśmy od właścicielki jeżdżącej po mieście pick-upem z naklejką „Hamuję pod starymi domami” na zderzaku i mającej w nosie, że te, które sama wynajmuje, mają dziury w podłodze.

W 2012 roku dziennikarz Logan Ward, piszący dla National Trust for Historic Preservation (Narodowej Fundacji na rzecz Ochrony Dziedzictwa Historycznego), stwierdził, że „wystarczy się rozejrzeć po wspaniale zachowanych budynkach zaprojektowanych w eklektycznej mieszance stylów architektonicznych, aby zrozumieć, że Staunton zawdzięcza swój renesans ochronie dziedzictwa historycznego”. Jak zauważył, od 2000 roku „do miasta napłynęło ponad 50 milionów dolarów z prywatnych inwestycji – od domów jednorodzinnych po wielofunkcyjne projekty komercyjne”. Bill Hamilton, dyrektor ds. rozwoju gospodarczego

w Staunton, ochoczo się z tym zgodził. „Ochrona dziedzictwa historycznego jest tak ważną częścią naszej tożsamości – oznajmił – że nie da się jej oddzielić od rozwoju gospodarczego miasta”.

Oto, jak do tego doszło. W latach osiemdziesiątych w całym kraju wybuchł szal na punkcie ochrony dziedzictwa historycznego małych miasteczek. Z inicjatywy National Trust for Historic Preservation zrodziła się koncepcja, że po dekadzie recesji lokalne społeczności mogą tchnąć życie w miejscową gospodarkę, stawiając na rozwój oparty na ochronie dziedzictwa historycznego. Typowym przykładem może być, dajmy na to, obskurny sklep żelazny w centrum – już dawno niepełniący pierwotnej funkcji i trochę zniszczony – który ponownie znajduje zastosowanie jako lokal dla innego dochodowego biznesu, takiego jak restauracja lub (w końcu mowa o latach osiemdziesiątych) solarium. Przedsiębiorcy gotowi przygarnąć niedoskonałe obiekty wymagali oczywiście pewnych zachęt. Miały one postać federalnych i stanowych ulg podatkowych, a National Trust szkolił miejscowych w ich zdobywaniu i wykorzystaniu.

W Staunton ta gorączka zagościła dość wcześnie. W 1985 roku, dzięki kilkorgu oddanych entuzjastów historii architektury, miasto zyskało miano Main Street Community, oznaczające ścisłą współpracę z National Trust. Dzisiaj przy naszej „Main Street” (tak naprawdę nazywającej się Beverley) mieszczą się kina, restauracje, galerie sztuki, butiki, biura i gabinety, prawie wszystkie podporządkowane spójnej wizji podkreślającej wiktoriański rodowód budynków. Dzięki temu Staunton stało się miastem pięknych fasad. W literaturze turystycznej nazywa się je „idealną bazą”, miejscem, gdzie można się odprężyć między odważniejszymi przygodami, na przykład tymi w Parku Narodowym Shenandoah. Taka reputacja przyczynia się do stałego wzrostu branży turystycznej, aktualnie wartiej około pięćdziesięciu sześciu milionów dolarów rocznie.

W swoim najlepszym wydaniu ochrona dziedzictwa historycznego odgrywa rolę dogłębnie obywatelską, mniej związaną z wpisywaniem starych budynków do rejestru zabytków, a raczej nakierowaną na subtelne zachęcanie lokalnych społeczności do namysłu nad swoją tożsamością. Zgodnie z tą logiką jesteśmy tylko tymczasowymi opiekunami miejsc, w których żyjemy, a ochrona dziedzictwa historycznego pozwala

rozmieszczać w otoczeniu przypomnienia o tym fakcie i łagodzić odruch zmieniania i przekształcania tych miejsc z pokolenia na pokolenie.

Ochrona dziedzictwa historycznego ma jednak również inne oblicze. Bywa swoistym narzędziem kapitalizmu kataklizmowego, kiedy to dawna strata zmienia się w dzisiejszy zysk deweloperów. Ulgi podatkowe i fundusze na odnawianie problematycznych nieruchomości mogą umiejscowić ochronę dziedzictwa historycznego w skomplikowanym systemie ekonomicznym, po którym najłatwiej się poruszać konsultantom, inwestorom, prawnikom i architektom. Dlatego część zagadnień z zakresu ochrony dziedzictwa historycznego zawsze będzie bliższa światu deweloperki grającej o wysokie stawki. Z jednej strony to przejaw typowych rozterek wielu społeczności – jak dużą część miasta ma prawo posiadać jeden deweloper? – z drugiej jednak próbuje się je rozwikłać, wykorzystując reputację ochrony dziedzictwa historycznego jako dobra obywatelskiego.

Kiedy ja studiowałam ochronę dziedzictwa historycznego, do naszych najważniejszych źródeł należał skromny poradnik techniczny Donovan Rypkema pod tytułem *The Economics of Historic Preservation* [Ekonomika ochrony dziedzictwa historycznego]. Po publikacji w 1994 roku ta książka, napisana przez rzeczoznawcę majątkowego przedzierzgniętego w konserwatora zabytków, odmieniła branżę. Przewodnik Rypkema to materiał szkoleniowy: zawiera dane mające pomóc konserwatorom zabytków przekonująco mówić o takich rzeczach, jak rentowność, wartość nieruchomości czy ulgi podatkowe. Jego największą zasługą było jednak przyjęcie filozofii National Trust i naszpikowanie jej sterydami, pokazanie, że ochrona dziedzictwa historycznego może być rozwiązaniem szerokiego zbioru wyzwań ekonomicznych, z którymi mierzą się lokalne społeczności. Chcecie stworzyć nowe miejsca pracy? Ochrona dziedzictwa historycznego zapewni atrakcyjną przestrzeń dla nowych firm i zagwarantuje zatrudnienie handlowcom. W waszej miejscowości brakuje przystępnych mieszkań? Łatwiej i taniej odrestaurować starsze, niezamieszkane domy niż zbudować nowe. Gwałtownie rosną koszty energii? Zabytkowe nieruchomości są bardziej energooszczędne. Rypkema i ci, którzy poszli w jego ślady, zrewolucjonizowali ochronę dziedzictwa historycznego jako taką i uczynili

z niej rodzaj architektonicznego panaceum skoncentrowanego na przyszłości, a nie tylko na przeszłości.

Dziedzictwem Rypkemy dwie dekady później jest między innymi to, że konserwatorzy zabytków potrafią dziś swobodnie mówić o ekonomii, deweloperce, aktywach, rynkach, dochodach i rewitalizacji. Rzadko jednak mówią o kapitalizmie. Jeśli już, to istnieje tendencja, żeby ochronę dziedzictwa historycznego postrzegać jako reakcję *przeciwko* kapitalizmowi, działanie obywatelskie, które chroni ludzi i miejsca przed ekonomiczną eksploatacją dzięki przedłożeniu zrównoważonego rozwoju nad szybki zysk.

Kiedy po raz pierwszy przyjechałam do Staunton jako osoba, która wpadła na leniwy lunch podczas wizyty u rodziny, myślałam, że miasto znalazło magiczną receptę na wierność najlepszemu obliczu ochrony dziedzictwa historycznego, co nie jest bynajmniej łatwe.

Ale potem się tu przeprowadziłam i zamieszkałam po sąsiedzku z Western State.

Pewnie to jest ten moment w książce, kiedy macie ochotę powiedzieć: „Wszystko pięknie, ale gdzie historia samego Western State? Na razie opowiedziałas nam o jednym dyrektorze, a rozdział o szpitalu to chyba właściwe miejsce, żeby przynajmniej streścić inne fakty z przeszłości tego miejsca, prawda?”.

To samo pytanie zadawałam sobie codziennie przez ostatnie cztery lata: gdzie jest historia Western State?

Nie chcę wyjść na szczegółarę, ale muszę wyjaśnić, że odpowiedź na jedno pytanie (gdzie jest historia Western State?) nie jest równoznaczna z odpowiedzią na inne: jaka jest historia Western State? Pytanie „gdzie jest?” zawsze prowadzi do pytania „jaki jest?”, istnieje jednak między nimi znacząca różnica. Gdzie jest, na przykład, historia zniewolenia w Stanach Zjednoczonych? Według wielu dzisiejszych właścicieli i zarządców historycznych plantacji – tam jej nie znajdziemy. Takie osoby często uzasadniają swoje decyzje interpretacyjne argumentem, że historię zniewolenia można znaleźć gdzie indziej, między innymi w pracach akademickich. W takich przypadkach odmowa odpowiedzi na pytanie

„gdzie jest?” to jednak celowa strategia mająca zapobiec naszemu dotarciu do pytania „jaka jest?”, bo wtedy historyczne nieruchomości trzeba by uznać nie tylko za zabytki architektury, ale również miejsca traumy.

W żargonie historyków publicznych tę strategię często nazywamy „uciszaniem przeszłości”. Robimy tak na cześć fundamentalnego tekstu o tym samym tytule, badania *Silencing the Past. Power and the Production of History* [Uciszanie przeszłości. Władza i produkcja historii] Michela-Rolpha Trouillota z 1995 roku. Książka Trouillota omawia zjawisko, które od dawna dostrzegano i komentowano, ale rzadko wyjaśniano z równą klarownością: to, jakie informacje są dokumentowane, a jakie pomijane w narracji historycznej, odzwierciedla walkę o władzę. Trouillot, haitański antropolog, przekonuje, że uwidaczniając tę walkę, *przyznając, że ona istnieje*, możemy dotrzeć do głębszego zrozumienia nie tylko przeszłości, ale również funkcjonowania władzy we współczesnym świecie.

„Nigdy nie jesteśmy równie pogrążeni w historii jak wtedy, gdy udajemy, że tak nie jest” – pisze Trouillot. Dlatego kiedy zaczęłam zadawać sobie pytanie, gdzie jest historia Western State, jednocześnie musiałam zapytać, gdzie jej nie ma i dlaczego.

Żeby mogła napisać tę książkę, moja wydawczyni Anne namówiła mnie na nocleg w Blackburn Inn jakieś pół roku po jego otwarciu. Ten wypad miał uzupełnić moje poprzednie odwiedziny – w roli klientki hotelowej restauracji – oraz położyć kres mojemu bezproduktywnemu nawykowi piorunowania tego miejsca wzrokiem w drodze do pracy. Dla ułatwienia Anne zgodziła się dotrzymać towarzystwa mnie i mojemu partnerowi.

Po przyjeździe nie biegałam po terenie hotelu z dawnymi rzutami i dokumentami historycznymi w ręku i nie raczyłam wszystkich, którzy mieli pecha ze mną rozmawiać, makabrycznymi informacjami w stylu: „To tutaj cięli ludzi!”. Nie mówiłam tego nawet Anne, która może zniosłaby takie straszliwe wtręty na dowód, że pracuję. Nie wybuchłam również z lubością oburzeniem, kiedy na miejscu nie powitała nas żadna słabo przygotowana wystawa poświęcona mrocznej stronie historii Western State ani kiedy się przekonaliśmy, że hotel nie oferuje wycieczki z przewodnikiem „Najczarniejsze karty medycyny psychiatrycznej”.

Jako historyczka publiczna odwiedziłam już wiele miejsc o podobnym charakterze jak odmienione Western State – i dzięki temu miałam już niskie oczekiwania oraz dużą odporność. Nocowałam w dawnych więzieniach, szpitalach psychiatrycznych i na plantacjach. Miałam w rękach sprzęt, którego używano do krzywdzenia ludzi, a czasem nawet do pozbawiania ich życia. Nie chcę kreować się na twardzielkę. Podkreślam tylko, że kiedy trzeba, umiem zdystansować się od makabrycznej historii różnych miejsc i zwykle dobrze mi to wychodzi.

Perspektywa spędzenia nocy w Blackburn Inn napawała mnie jednak niepokojem. Nie bałam się mrocznej historii ani duchów, ale z lękiem myślałam o tym, że będę musiała przyznać, że z perspektywy wzniosłości architektonicznej deweloperzy naprawdę dali radę. No i posłuchajcie, nie będę ukrywać: ten hotel jest naprawdę fajny. Zajebiście fajny. A nawet całkiem przytulny. Po powrocie do domu kupiłam sobie kołdrę identyczną jak ta, pod którą tam spałam.

Wielu konserwatorów zabytków uważa, że zbyt długo zwlekamy z pogodzeniem dwóch myśli: że dawne szpitale psychiatryczne powinny być zarazem okazami architektonicznej biegłości i miejscami traumy. W apelach o adaptowanie obiektów w rodzaju Western State często odwołują się oni do przykładu tak zwanych budynków Kirkbride’a – od nazwiska lekarza i architekta Thomasa Story’ego Kirkbride’a. Około 1840 roku Kirkbride stworzył plan szpitali psychiatrycznych harmonijnie dostosowujący ich infrastrukturę do coraz powszechniejszego wśród lekarzy i reformatorów ruchu na rzecz bardziej humanitarnej medycyny psychiatrycznej. Projekty Kirkbride’a stawiały na zwiększenie komfortu pacjentów, dostęp do świeżego powietrza, światła słonecznego oraz stosownej higieny. W sumie jego idee wykorzystano przy budowie około siedemdziesięciu szpitali w całym kraju, które – w swoim życiu po życiu jako nieużywane budynki – okazały się wyzwaniem dla lokalnych społeczności. Do dziś w Stanach Zjednoczonych zachowało się ich kilkanaście.

Budynki Kirkbride’a mają zagorzałych wielbicieli, wśród których są konserwatorzy zabytków, fotografowie, a nawet łowcy duchów. Wszyscy

oni mają ten sam argument za ratowaniem tego, co z tych obiektów zostało. Jak twierdzą, jeśli te miejsca przepadną, stracimy ważną więź z przeszłością. Niektórzy wręcz sugerują, że mity na temat początków psychiatrii zagrażają tym budynkom w nie mniejszym stopniu niż zaniedbanie. Zgodnie z tą logiką ze względu na piętno ciążyące na praktykach, które dzisiaj mogą się wydawać barbarzyńskie, znika nam z oczu fakt, że te placówki naprawdę projektowano z myślą o pomaganiu ludziom. Jak przekonywał fotograf i popularyzator działań konserwatorskich Ian FERENCE w swoim wykładzie TEDx z 2017 roku: „Jasne, mieli tam zimne kąpiele, mieli przymusowe prysznice, gdzie pacjentów pętano i spryskiwano z węża, były też różne terapie wstrząsowe – zwłaszcza z użyciem elektrowstrząsów – ale najważniejszą sprawą jest optymizm, który towarzyszył szpitalom psychiatrycznym w epoce ich powstawania”.

Punktem spornym dla entuzjastów, a przynajmniej takim, w którym mogą im się skończyć odpowiedzi, jest pytanie, co zrobić z tymi obiektami po wysłuchaniu apeli, żeby je ratować. Przyznajmy szczerze, że absolutnie nie jest to łatwe pytanie. Większość ludzi opowiada się za projektami, które w jakiś sposób upamiętnią historię tych miejsc i ich pierwotne przeznaczenie. Robert Kirkbride, architekt spokrewniony z Thomasem i zaangażowany w ochronę jego budynków, wskazuje na udaną modernizację Oregon State Hospital. Część pierwotnego kompleksu przekształcono w Oregon State Museum of Mental Health (Oregonie Muzeum Zdrowia Psychicznego), gdzie znajduje się przestrzeń upamiętniająca dawnych pacjentów i pacjentki, między innymi sala z nieodebranymi prochami trzech i pół tysiąca osób tam zmarłych. Przekształcanie takich budynków w muzea nie jest jednak rozwiązaniem atrakcyjnym dla deweloperów, którzy wydają miliony dolarów na renowację. I mówiąc szczerze, z perspektywy finansów kierunek komercyjny to czasem jedyna sensowna opcja. Mimo to Robert Kirkbride namawia planistów i deweloperów, aby szukali sposobów na objaśnianie historii tych miejsc i osadzanie ich w kontekście. Najlepiej, gdyby byli oni otwarci na myśl, że rozglądając się za nowym przeznaczeniem budynków, nie powinni wymazywać ich przeszłości.

Western State nie jest budynkiem Kirkbride'a, ale projektowano go zgodnie z podobną filozofią. Według deweloperów jest jednak czymś jeszcze lepszym, a to za sprawą związku z Thomasem Jeffersonem, który w Wirginii jest na wagę złota. Właśnie poprzez więź z Jeffersonem wreszcie możemy poznać historię Western State, a przynajmniej jej część opowiadaną przez deweloperów dla wyjaśnienia architektonicznego rodowodu tego miejsca.

Kiedy w hotelu Anne spała błogo w łóżku tak wygodnym, że do dzisiaj wspominamy je z zachwytem, ja w swoim pokoju z materiałów reklamowych i tekstów na stronach Blackburn Inn i The Villages at Staunton lepiłam główną narrację deweloperów o tym miejscu. Żeby się zorientować, jakie elementy i jakie historie są dla nich najważniejsze, ponownie przeczytałam wywiady, których udzielili lokalnej prasie.

W ich wersji historia Western State Hospital tak naprawdę zaczyna się w 1840 roku, kiedy dyrektorem ówczesnego Western State Lunatic Asylum został genialny młody lekarz, doktor Francis T. Stribling. Był to miejscowy chłopak, świeżo upieczony absolwent Akademii Medycznej Uniwersytetu Pensylwanii. Po powrocie do Staunton odziedziczył po swoim poprzedniku szpital niespełna dziesięcioletni, wciąż w fazie prac architektonicznych. Zainspirowany przez Kirkbride'a (który również studiował na Uniwersytecie Pensylwanii) i własną filozofię opieki nad pacjentami nabrał przekonania, że w leczeniu chorób umysłowych architektura może być ważnym sprzymierzeńcem.

Stribling został dyrektorem Western State w punkcie zwrotnym dla medycyny psychiatrycznej. Do tego czasu pacjentów często traktowano jak przestępców, unieruchamiano ich dla wygody personelu i umieszczano w warunkach przypominających więzienie. Rzadko myślano o potencjalnym wyzdrowieniu z optymizmem; z pacjentami postępowało się raczej jak z kłopotliwymi zwierzętami, ledwie poświęcając uwagę ich potrzebom i wygodzie. Stribling z kolegami był jednak przekonany, że należy zerwać z przeszłością, i w pierwszym roku na stanowisku dyrektora przysięgał traktować pacjentów „jak przyjaciół i braci” i „stawiać pytanie, czy w zwalczeniu ich choroby i przywróceniu im wszelkich przywilejów

i radości istot rozumnych nie pomógłby nam system moralnych środków tyle wszechstronnych, co ludzkich”.

Stribling uważał, że dla pacjenta nie ma gorszego miejsca niż więzienie czy przytułek, bardzo się więc starał, żeby Western State nie przypominało takich placówek. Ta filozofia oraz sposoby jej wdrożenia stały się typowe w czasach zapamiętanych jako epoka medycyny moralnej, kiedy ścisłą izolację i fizyczne unieruchamianie zastąpiły humanitarne metody leczenia. „Leczymy ich – pisał Stribling o pacjentach w 1837 roku – jako istoty ludzkie zasługujące na troskę i opiekę, a nie kryminalistów wyjętych spod prawa, niegodnych nawet naszego współczucia”. Ponieważ zależało mu na powrocie pacjentów na łono społeczeństwa, chciał przyśpieszać leczenie, a przynajmniej nie pogarszać ich stanu, dlatego zaprojektował przyjemny budynek szpitalny i zapewnił jak najlepszy dostęp do piękna przyrody. Oczywiście jego teorie w zakresie medycyny moralnej odnosiły się wyłącznie do białych pacjentów, a Western State mogło utrzymywać swój przyjemny charakter dzięki pracy zniewolonych robotników, najpierw wynajętych placówce przez samego Striblinga, a później przez nią zakupionych. Informacji o ich obecności i pracy brakuje w powtarzanych opowieściach o tamtych dawniejszych czasach.

Kiedy Stribling przystąpił do rozbudowy Western State, w przełożeniu pragnień na konkrety pomógł mu architekt Thomas Blackburn, który wcześniej pracował dla Thomasa Jeffersona przy budowie Uniwersytetu Wirginii. Zdolności zdobyte przy okazji tego przedsięwzięcia Blackburn wykorzystał do stworzenia wspaniałych planów realizujących oczekiwania Striblinga: zapewnienia pacjentom dostatku świeżego powietrza i światła, widoków różnorodnych krajobrazów oraz dostępu do wielu wygod, na przykład na okazałym terenie rekreacyjnym. Obaj mężczyźni przyczynili się do powstania najciekawszych i najstarszych części Western State, w tym dzisiejszego Blackburn Inn. Ich partnerstwo było długie i owocne, trwało do 1858 lub 1859 roku, a Stribling pozostał dyrektorem Western State aż do śmierci w 1874 roku.

Dziś na stronie Blackburn Inn, w dziale zatytułowanym „Historia hotelu”, poświęcono przeszłości tego miejsca jakieś trzysta słów. Większość z nich dotyczy ważnej roli Striblinga w rozbudowie szpitala (choć

w jednym miejscu jego nazwisko napisano z błędem). Czytamy, że był człowiekiem, który wierzył w „to, co nazywał »moralnym leczeniem«, skupionym na emocjonalnym dobrostanie pacjentów”. W hotelowym opisie podkreślono też różne detale architektoniczne z jego czasów, które goście mogą oglądać do dziś. „Stribling i Blackburn wspólnie zbudowali również przestronne skrzydła z pokojami, wspaniałe ogrody oraz piękne kręte schody wiodące na kopułę i werandę na dachu”.

W następnej części tej narracji rzuca się w oczy nagły przeskok w czasie:

Western State Hospital przeniesiono potem w inne miejsce, a dawne obiekty przekształcono w 1981 roku w więzienie o średnim rygorze. Edward Murray, pierwszy dyrektor więzienia, doceniał piękno krajobrazu i choć na terenie trzeba było zbudować pewne elementy infrastruktury więziennej, starał się zachować jak najwięcej z pierwotnego stanu.

Kiedy zakład karny zamknięto, nieruchomość przejęło miasto Staunton i zaczęło szukać dewelopera, który odrestaurowałby zabytkowe budynki i teren. Firma z Richmond, Miller and Associates, udowodniła, że może się tego podjąć. W 2006 roku została nowym właścicielem trzydziestohektarowej nieruchomości, którą dzisiaj znamy jako The Villages of Staunton [sic!], ekskluzywne osiedle wielofunkcyjne.

Być może dostrzeżliście stuletnią lukę między epoką Striblinga a 1981 rokiem. Pojawia się ona również w materiałach reklamowych The Villages at Staunton. Strony obu firm linkują do siebie nawzajem. Pewnie zgodnie z marketingową logiką goście tacy jak ja, wygodnie rozłożeni w łóżku – którzy myślą sobie: „A gdyby zostać tu na stałe?” – mogą po prostu wejść na stronę hotelu i przeskoczyć na nieruchomości. Czy mogłabym się dowiedzieć, że w tej luce mieści się czas reorganizacji Western State po wojnie secesyjnej, ery eugeniki i ostatecznego zwrotu ku deinstytucjonalizacji? Lepsze byłoby pytanie: czy w ogóle by mnie to obchodziło?

Istnieją dwie historie na temat epoki Striblinga, które w doskonały sposób spinają przeszłość i teraźniejszość, więc może właśnie dlatego są dziś powtarzane – żeby załatać tę lukę. Pierwszą poznałam z ust mieszkańców, po przeprowadzce do Staunton. Ponoć rodziny spoza miasta, odwożące córki na Uniwersytet Mary Baldwin, czasem przez pomyłkę

meldowały się z nimi w Western State. Jeśli to prawda, nieporozumienie można tłumaczyć faktem, że uczelnia i szpital są położone blisko siebie. Chodzi jednak o to, że dopóki ktoś nie sprostował błędu, rodzice całkiem chętnie zostawiali młode kobiety w placówce, bo nie dało się jej odróżnić od malowniczego, nowo wybudowanego uniwersytetu. Innymi słowy, nie było to ponure miejsce, po którym snuli się znękani pacjenci, ale takie, gdzie rodzice mogli sobie wyobrazić szczęście swoich dzieci.

Deweloperzy opowiadają podobną historię podkreślającą tutejszą dawną szczęśliwość. Zwracając uwagę na pomniejsze szczegóły architektoniczne, Dan Gecker zasugerował dziennikarce „Richmond Times-Dispatch”, że „to miejsce było tak piękne, że płot okalający posesję nie służył zatrzymywaniu pacjentów, ale powstrzymywaniu lokalnych mieszkańców przed urządzaniem pikników na terenie kompleksu, a przynajmniej tak mówi legenda”. Ta legenda jest akurat prawdziwa. W 1848 roku personel placówki wykupił w miejscowej gazecie ogłoszenie, w którym zakazywano rekreacji na terenie szpitala, obejmującym między innymi bujny parkowy trawnik. Około 1855 roku wzniesiono zdobne żelazne ogrodzenie – niekoniecznie nie do sforsowania, ale zakończone krótkimi, ostrymi kolcami, które mówiły: „Nie wchodzić”. Stoi ono do dziś.

Obie historie dotyczą tak zwanych normalnych ludzi w Staunton, zarówno gości, jak i miejscowych, którzy chcieli uzyskać dostęp do Western State ze względu na zachwycający krajobraz i piękną architekturę. Ponieważ po modernizacji kompleks reklamuje się właśnie odtworzonymi krajobrazami i architekturą, to sprytny sposób na połączenie jego dawnej i obecnej tożsamości. Najlepsze jest oczywiście to, co deweloperzy zostawiają niedopowiedziane: że dzięki ich staraniom nie musimy już być tymi zazdrosnymi mieszkańcami miasteczka, których nie wpuszczono w to cudowne miejsce, bo byli akurat zdrowi na umyśle. Teraz, za stosowną opłatą, jesteśmy ze wszech miar mile widziani po drugiej stronie żelaznej bramy.

„Ale po co sprzedawać historię z płotem jako legendę?” – zastanawiałam się w półśnie na wygodnym łóżku w Blackburn Inn, powoli odpływając w niebyt. Aby uzyskać ulgi podatkowe, deweloperzy musieli przedstawić władzom wykaz podobnych szczegółów oraz ich opisy, trudno

więc sobie wyobrazić, żeby Miller i Gecker nie znali rzeczywistego rodowodu ogrodzenia. Czy zrobienie z tego legendy to po prostu lepszy marketing? Być może. Ale może to także łagodna sugestia: tutaj jest tyle historii, że jak możemy poznać ją całą?

Wypełnianie stuletniej luki w historii przedstawionej przez deweloperów moglibyśmy zacząć od obiektu znanego jako Budynek Wheary'ego. W 2008 roku deweloperzy potwierdzili odrodzenie Western State, rozwieszając tutaj baner, widoczny z głównej arterii miasta, z napisem MIESZKANIA NA SPRZEDAŻ. Już dwa lata po przejęciu kompleksu przez nowych właścicieli na rynek trafiły pierwsze odnowione lokale w The Villages at Staunton. Wśród nich były mieszkania w Budynku Wheary'ego, przechrzczonym na The Lofts.

Tempo transformacji świadczy o umiejętnościach ekipy deweloperów. Postanowili zacząć od odrestaurowania zbioru obiektów, wśród których był Budynek Wheary'ego, a decyzja ta miała również charakter praktyczny, związany ze stanem tych budowli. Od roku 1981 do 2003 wykorzystywał je Departament Więziennictwa, co oznaczało, że zostały częściowo zmodernizowane i były mniej zaniedbane. Rozpoczęcie renowacji właśnie od nich było dużo łatwiejsze, pozwalało pozyskać środki na odwrócenie sytuacji rynkowej, a zyski miały zasilić kolejne fazy projektu.

Taka decyzja jednak oznaczała również, że wbrew sugestiom zamieszczonym na stronie hotelu rozkwit odrestaurowanego Western State nie zaczął się od budynków projektu Francisa Striblinga i Thomasa Blackburna. Budynek Wheary'ego został zbudowany w 1935 roku, a zaprojektował go Joseph DeJarnette.

DeJarnette, który długością sprawowania funkcji dyrektora Western State przebił Striblinga o trzy lata, również realizował w szpitalu własną filozofię projektową. Podobnie jak słynniejszy poprzednik, wywodził ją ze swoich poglądów na temat pacjentów. W latach 1905–1943 kierował się tą filozofią przy aranżowaniu rzeczywistości Western State. Przerabiał budynki i stawiał nowe, zarządzał terenami szpitala i je rozbudowywał oraz może nawet w większym stopniu niż Stribling wykorzystywał te

okoliczności w służbie terapii, którą uważał za skuteczną. Ową filozofią była eugenika.

Celem eugeniki zawsze było hodowanie lepszych ludzi. Zdaniem zwolenników z początków dwudziestego wieku, o dziwo, mówiła ona jednak również językiem nadziei. „Jeśli teraz nie ustaniemy w dążeniu do celu – rozumowali – pewnego dnia nastanie ład na świecie”. Dziś ich cel najlepiej rozumiemy jako walkę o czystość rasową i genetyczną, oni jednak wiedzieli, że jego ostateczna realizacja nie nadejdzie za ich życia. Tymczasem więc praktykujący eugenicy tacy jak DeJarnette musieli budować swój ład ze złamanych ludzi, którzy w ich ocenie nie mieli prawa żyć, a jednak żyli. Jeśli zaś na krótką metę nie dało się uzyskać czystości genetycznej, być może za nagrodę pocieszenia mogłaby posłużyć czystość ekonomiczna.

DeJarnette wierzył, że jego pacjenci osiągnęli swoje granice i nie poczynią już postępów za sprawą nauki czy medycyny. Marzył o ich eliminacji. W 1934 roku policzył, że w Niemczech przez pierwszy rok obowiązywania nowej ustawy o ochronie przed dziedzicznie chorym potomstwem wysterylizowano 56 244 osoby. „Niemcy pokonują nas w naszej własnej grze” – skarżył się. Nie liczył na nadrobienie strat. Pod koniec kariery chwalił się jednak na łamach „News Leadera”, że przepisy wirgińskiej ustawy sterylizacyjnej z 1924 roku, której był orędownikiem, zastosowano wobec 4604 osób, z czego on sam odpowiadał za 1205 zabiegów. Oszacował, że przyczynił się do zapobiegnięcia narodzinom 138 130 ułomnych dzieci. Jego zdaniem niewątpliwie było to nie lada osiągnięcie.

Kiedy DeJarnette wygłaszał podobne stwierdzenia o wartości swoich działań, często był gotów wycenić tę wartość dosyć dosłownie. Szacował, że gdyby tym potencjalnym ułomnym dzieciom pozwolono żyć, oznaczałoby to koszty w wysokości dwóch milionów dolarów. Dzięki ich eliminacji DeJarnette mógł przedstawić tę potencjalną stratę jako realny zysk: oszczędności stanu i całego społeczeństwa wynikające z ich nieobecności. Jak doszedł do tych liczb? Kalkulacje uwzględniały szacunkowe koszty przebywania przez całe życie w stanowych szpitalach, inspirowane własnymi danymi DeJarnette’a z Western State. Ponadto

dokonywał jednak daleko idących ekstrapolacji opartych na domniemanym potencjale do wywoływania przez te osoby szkód wskutek przestępczości oraz wymaganego przez nie wsparcia ze środków publicznych lub dobroczynnych.

To był dopiero początek. Stosowana przez DeJarnette'a arytmetyka miała także wciągnąć jemu współczesnych w świat, w którym te długi mnożą się razem z dłużnikiem. Na poparcie obliczeń często sięgał po popularne teksty eugeniczne. Jego ulubionym badaniem było *The Kallikak Family. A Study in the Heredity of Feeble-mindedness* [Rodzina Kallikaków. Studium dziedziczności upośledzeń umysłowych] Henry'ego Goddarda z 1912 roku, które rozślawiło wśród eugeników tę w znacznej mierze fikcyjną rodzinę. Książka Goddarda opowiada historię Martina Kallikaka, człowieka prawego i bohatera wojny o niepodległość. Chociaż Martin jest mężem kwakierki, rozpalony bitewną gorączką ulega wdziękom karczemnej dziewczki z nizin społecznych. Ta zachodzi w ciążę i rodzi syna, który, tak jak matka, jest upośledzony umysłowo. Nie ma to jednak znaczenia dla Martina. On żyje dalej, wraca do swojego wzorowego małżeństwa i wypełnia drzewo genealogiczne normalnymi dziećmi. To happy end dla Martina, ale nie dla społeczeństwa.

Jak tłumaczy *The Kallikak Family*, upośledzony umysłowo nieślubny syn Martina płodzi następne upośledzone dzieci. Gdy docieramy do współczesności, jedna schadzka dała w sumie 480 potomków. Według Goddarda 143 z nich również było upośledzonych umysłowo, łącznie z kobietą, którą nazwał „Deborah Kallikak”, osadzoną w New Jersey Home for the Education and Care of Feeble-minded Children (Domu Kształcenia i Opieki dla Upośledzonych Umysłowo Dzieci w New Jersey), czyli instytucji, którą zarządzał. Goddard podaje szczegóły z życia Debory w tej placówce jako szwaczki czy kelnerki. Zamieszcza długie opisy jej upośledzenia umysłowego, które nie spowodowało „żadnych widocznych wad” i nie zakłócało jej zdolności do „obsługi elektrycznej maszyny do szycia, gotowania oraz wykonywania praktycznie wszystkich innych robót domowych”.

Deborah Kallikak, która naprawdę nazywała się Emma Wolverton, znalazła się pod kuratelą stanu i została osadzona w zakładzie, kiedy miała

osiem lat. Jej zdolności, uprzedza Goddard, nie należy uznawać za dowód, że mogłaby dobrze funkcjonować po wypuszczeniu na wolność. Prowadziłaby wtedy życie „podłe, niemoralne i przestępcze, choć ze względu na swoją umysłowość nie ponosiłaby za to odpowiedzialności”. Takie już brzemię upośledzonych umysłowo, wyjaśnia Goddard, potęgowane faktem, że „wiele osób uważanych za upośledzone umysłowo [...] nie zostałyby uznane za takowe przez niewprawionego widza”. Na przykład biedny Martin nie mógł wiedzieć, że idzie do łóżka z ułomną. Tu Goddard prawi łagodne kazanie mężczyznom z dobrych rodzin, aby powściągali swe zwierzęce żądze. Praktyczniejszym rozwiązaniem, podkreśla, będzie jednak sterylizacja nieprzystosowanych.

Chociaż Goddard bronił swojego badania przez kolejne trzydzieści lat, należał również do nielicznych eugeników, którzy po latach rewidowali część swoich przekonań. Paul Lombardo odkrył między innymi, że w 1927 roku, kiedy praca Goddarda stała się podstawą werdyktu w sprawie Buck kontra Bell, on sam kwestionował potencjalne nieścisłości ówczesnych klinicznych definicji upośledzenia umysłowego. Na przykład w przeprowadzanych przez armię testach inteligencji wielu żołnierzy, którzy zaciągali się do wojska podczas pierwszej wojny światowej, miało wyniki podobne do osób upośledzonych umysłowo. Być może należało zweryfikować standardy.

Josepha DeJarnette’a nie cechowała jednak podobna elastyczność. „Przy założeniu, że każda wysterylizowana osoba w ciągu pięciu pokoleń miałaby trzydziestu potomków, a John Kallikak w ciągu pięciu pokoleń miał ich 490, oznacza to, że pozbyliśmy się 60 000 potencjalnych ułomnych” – szacował w 1935 roku na podstawie 2203 sterylizacji przeprowadzonych do tego czasu w całym stanie. „Przy założeniu u każdego z tych ułomnych 30 potomków i 20 lat życia oznaczałoby to, że w ciągu pięciu pokoleń Wirginia utrzymywałaby każdego roku 1 200 000 osób, jeśli zaś przyjąć, że roczny koszt utrzymania jednej z nich wyniósłby 150 dolarów, daje to oszczędności stanu w wysokości 180 000 000 dolarów”. Oto typowa oszałamiająca arytmetyka DeJarnette’a.

Czystość ekonomiczną wyobrażał sobie jako rachunek, z którego wymazano dług zaciągnięty u społeczeństwa przez osoby w rodzaju Debory

Kallikak czy Carrie Buck. Miał obsesję na punkcie kontrolowania tych liczb, bez przerwy kalkulował rentowność swoich działań. Do 2000 roku połowa naszej populacji będzie szalona, wyliczył w swoich notatkach, ale może dzięki sterylizacji nie oszaleje nikt. Matematyczną skrupulatność wykazywał również w życiu prywatnym – rejestrował liczbę jabłek kupionych podczas podróży i koszt codziennych gazet. Każdego dnia nowe liczby. Każdego dnia szansa na ład i równowagę. Każdego dnia w drogę do szpitala, gdzie żyły te liczby, i z każdym rokiem przybywało ich coraz więcej.

Ład jednak ciągle się wymykał. Przyjemność sporządzenia ostatecznej kalkulacji zawsze przerzucało się na kogoś innego, na członka przyszłego pokolenia, który pewnego dnia pojawi się na świecie i, miejmy nadzieję, wreszcie zastanie czyste konto. W swych obłąkanych obliczeniach DeJarnette nabrał przekonania, że kiedyś wszystko będzie dobrze. Gdzie jednak sam mógł szukać satysfakcji? Gdzie mógł się urzeczywistnić ład, którego tak łaknął? Przyczyniając się do rozszerzania społecznej definicji osób nieprzystosowanych, przekonując, że stanowią one rosnące, kosztowne zagrożenie, DeJarnette sam tonął w długach spowodowanych ich przetrzymywaniem i opieką nad nimi. Jaki rachunek mógłby zrównoważyć ten paradoks?

Mogło to zrobić Western State. „W mojej opinii – pisał DeJarnette w 1921 roku, trzy lata przed przyjęciem wirgińskiej ustawy sterylizacyjnej – najbardziej humanitarną i praktyczną metodą radzenia sobie z nieprzystosowanymi jest sterylizacja”. Potem, jakby po namyśle, dodał: „Zgodnie z prawem Mendla wielu przedstawicieli tej klasy to takie same produkty jak pługi czy brony”. Ale pługi i brony to solidne narzędzia.

Trzy lata później zeznawał jako biegły, motywując stanowisko stanu, że Carrie Buck należy poddać sterylizacji. Dlaczego Wirginia miałaby przyznać sobie prawo do narzucenia takim młodym kobietom trwałej bezpłodności? „Korzyścią dla społeczeństwa są brak konieczności opiekowania się nimi oraz praca, jaką wykonują – wyjaśnia DeJarnette. – To one rąbią drwa i noszą wodę”. W odpowiedzi na to samo pytanie jego kolega Albert Priddy zeznał później, że lepiej nie zakłócać wykonywanych

przez nie prac domowych. „Ludzie nie chcą ich brać, gdy stale istnieje prawdopodobieństwo, że zostaną matkami”.

Władze stanu mogły osiągnąć absolutną perfekcję ekonomiczną, eliminując dzięki sterylizacji dług społeczny zaciągnięty przez nieprzystosowanych, ale zanim by się to stało, sterylizacja eugeniczna mogła także stworzyć wydajniejszą podklasę niewykwalifikowanej siły roboczej na użytek Wirgińczyków czystszej krwi. Tę samą logikę można było zastosować wobec osób, które nie wymagały sterylizacji, ponieważ żyły w odosobnieniu. One również mogły być wydajne aż do śmierci (kończącej ich ród). Dało się osiągnąć krótkoterminową równowagę ekonomiczną.

DeJarnette żył po to, aby do niej dążyć, cokolwiek robił, poświęcał to temu celowi. A fizyczna rzeczywistość Western State stała się jego księgą rachunkową. Najlepiej odzwierciedlały to produkcja dóbr rolnych przez szpital i powiększenie jego gruntów uprawnych. Dyrektor placówki odnotował, że na przykład 1917 rok był szczególnie urodzajny i przyniósł 2400 buszli brzoskwiń, 1400 beczek jabłek, 29 767 galonów mleka oraz „wszelkich warzyw pod dostatkiem”. Ten dostatek przeznaczony był nie tylko po to, żeby w owym roku nakarmić 1400 pacjentów i pacjentek Western State. Powstawała też nadwyżka, którą można było sprzedać z zyskiem, ten zaś ponownie zainwestować w szpital. W 1917 roku ów zysk wyniósł 17 860 dolarów. DeJarnette skalibrował nawet dietę pacjentów, złożoną z dóbr, które sami wytwarzali, tak aby zapewnić jak najbardziej opłacalne wyżywienie niezbędne do tego rodzaju pracy fizycznej.

W 1920 roku farmy, ogrody i sady Western State dawały już, jak określał DeJarnette, „olbrzymie” plony, w tym 41 000 funtów winogron, 19 000 funtów wieprzowiny, 35 000 galonów mleka, 125 ton siana i 121 748 funtów kapusty. Te towary łącznie przyniosły szpitalowi 49 644 dolarów zysku.

W 1926 roku DeJarnette powiększył grunty Western State o 102 hektary. Koszt ziemi, wynoszący 25 000 dolarów, został podzielony między Zgromadzenie Ogólne Wirginii i Western State, a lwia część długu, 16 000 dolarów, przypadła w udziale szpitalowi. DeJarnette, tonący w długach wszelakiej postaci, nie czuł jednak obaw przed tak dużym

wydatkiem. Stwierdził, że nowa własność zarobi na sobie po „paru pomyslnych sezonach”. Zakup oznaczał również, że Western State dysponowało teraz własnym zbiornikiem wodnym. Dyrektor w typowym dla siebie stylu szczegółowo tłumaczył, jak przysłuży się to przyszłym finansom szpitala: „6 210 000 galonów na kwartał po cenach ze Staunton, to jest 65 centów za 1000 galonów za pierwsze 35 000 galonów, 40 centów za kolejne 165 000 galonów, 20 centów do 2 000 000 galonów i 8 centów powyżej 2 000 000 galonów, daje łącznie 768 dolarów na kwartał, czyli 3072 dolarów rocznie, a więc równowartość odsetek od 50 000 dolarów”. Tłumacząc na prostszy język, kontrolowanie wody oznaczało dla miasta oszczędności. A także możliwość hodowli większej ilości żywego inwentarza wymagającego stałego dostępu do wody pitnej.

W 1931 roku szpitalne gospodarstwa przyniosły 71 000 dolarów, co w przeliczeniu na dzisiejsze pieniądze daje 1 210 858 dolarów. Produkty zjadane przez pacjentów i zwierzęta gospodarskie były zazwyczaj warte około połowy tej sumy, a przeróbka owoców i warzyw na konserwy, w zależności od roku, pochłaniała jedną czwartą. Reszta pieniędzy – około 25 procent – stanowiła czysty zysk szpitala. DeJarnette nie zatrzymywał tych sum dla siebie, ale część z nich często ponownie inwestował w gospodarkę rolną, kupując żywy inwentarz i maszyny oraz dobudowując nowe obiekty takie jak stodoły. Na przykład w 1931 roku farmy, ogrody i sady produkowały 65 000 galonów mleka, 36 603 funty wieprzowiny, 56 000 funtów winogron, 65 932 funty kapusty oraz pięćdziesiąt innych artykułów, takich jak jabłka, wołowina, brzoskwinie, śliwki, rzodkiewki, kabaczki, truskawki, kury i pomidory.

Pacjentom i pacjentkom Western State, których nie zatrudniano w polu, znajdowano inne zajęcia. Jeśli w szpitalu chciałeś poczytać książkę, przynosił ci ją pacjent. Jeśli trzeba ci było otworzyć drzwi, pacjentka była do usług. Pacjentki gotowały i podawały jedzenie zebrane przez innych pacjentów. Pacjenci ślali łóżka, przynosili pocztę i szuflowali węgiel do kotła. Jeśli się skaleczyłeś, pacjentka bandażowała cię przy użyciu gazy i opatrunków wykonanych przez innych pacjentów. Kiedy ze ścian odchodziła farba, podmalowywał je pacjent. Dzień w dzień ręce pacjentów i pacjentek szorowały każdy blat, każdą podłogę. Jeśli straciłeś podeszwę

w bucie, naprawiał go pacjent. Kiedy umierałeś, pacjent zszywał twój całun i składał cię do ziemi.

W 1915 roku wirgińska Stanowa Rada ds. Dobroczynności i Resocjalizacji opublikowała poradnik, w którym znalazła się ilustracja mająca pomóc władzom stanu w zrozumieniu wrodzonych ograniczeń rosnącej populacji ułomnych i upośledzonych umysłowo. Ludzki postęp przedstawiono na niej jako ciąg schodów. Mężczyźni i kobiety mozolą się i nie dają rady dojść na szczyt. Ich twarze i sylwetki są ponure; jedna z kobiet z rozpaczą patrzy w górę, jeden z mężczyzn osunął się na stopniu. Ilustracja ma pomóc w wyjaśnieniu skomplikowanej kwestii: czym dokładnie różni się idiota od imbecyla wysokiego sortu? A imbecyl niskiego sortu od pospolitego debila?

Różnica, jak tłumaczy ilustracja, polega na tym, jaki rodzaj pracy jest w stanie wykonywać każda z upośledzonych osób. Najniższy stopień zajmuje idiota, niezdolny do pracy. Z kolei jego sąsiadka stopień wyżej, imbecylka niskiego sortu, potrafi wykonywać proste, poślednie zadania. Imbecyl średni oraz imbecylka wysokiego sortu pną się wyżej, ku prostym i złożonym pracom fizycznym. Na szczycie jest debil, który najwyraźniej padł z przemęczenia, nadaje się zaś do pracy wymagającej rozumowania. „Tak właśnie jest w każdym przypadku. Nie poczynią postępu umysłowego. Nie mogą” – wyjaśnia raport. Lamentowano, że właśnie takie osoby zaludniają przepełnione zakłady Wirginii i jak dotąd nie można ich wysterylizować. Co z nimi począć?

Jak sugeruje raport: „Niektórzy przedstawiciele władz, na bazie przyjętej średniej wartości ekonomicznej robotnika rolnego w wysokości 1,50 dolara dziennie i kalkulacji wykonanych na tej podstawie, ustalili, że wartość ekonomiczna ułomnych umysłowo, z wyjątkiem idiotów, waha się od 30 do 75 centów dziennie, średnio zaś wynosi 54,6 centa, czyli przewyższa koszty opieki oraz utrzymania”. Wirginia mogłaby działać bardziej stanowczo i zaprząć upośledzonych umysłowo do pracy w placówkach, co zrównoważyłoby kosztą opieki, a może nawet – sugerowano w raporcie – przyniosło zysk.

Wirgińscy przywódcy nie byli w tej nadziei odosobnieni. W 1920 roku Mary T. Waggaman z US Bureau of Labor Statistics (Amerykańskiego

Urzędu Statystyki Pracy) odnotowała, że niektóre stany stosują skuteczne strategie zarządzania populacją nieprzystosowanych, zwłaszcza poprzez „zwiększenie ich wartości ekonomicznej”. Na dodatek, przekonywała, „prace domowe i rolne są dla tych dorosłych dzieci interesujące i dają im szczęście”. Z tego pragnienia zwiększonej wydajności zrodził się model Lynchburg Colony. Inne wirgińskie placówki miały jednak trudności z odnalezieniem trudno osiągalnej równowagi między minimalizacją kosztów a przetrzymywaniem dużej populacji pacjentów, wśród których znajdowały się osoby zamknięte w zakładzie wyłącznie na skutek uprzedzeń rasowych, płciowych czy klasowych.

Przyświecającym władzom Wirginii intencjom zwiększenia zakresu robót wykonywanych w stanowych placówkach sprzyjała wieloletnia powszechna akceptacja dla pracy pacjentów jako narzędzia terapii. Francis Stribling uważał na przykład, że praca zapewnia im przebywanie na świeżym powietrzu, aktywność fizyczną i ulgę od „ekscytacji chorobą”. Zachęcał pacjentów do pracy w ogrodach Western State oraz na mniejszej farmie (przed wyzwoleniem niewolników większość niezbędnych robót szpitalnych oraz bardziej wymagające prace polowe wykonywali zniewoleni robotnicy). DeJarnette wskazywał na podobne zalety, ale za jego kadencji Western State stało się tak bardzo zależne od siły roboczej pacjentów i pacjentek, że nie mogłoby bez niej działać. „Liczba pacjentów zatrudnionych w tym roku wyniosła średnio 1001, czyli 55,5 procenta – pisał w 1931 roku. – Wielu z nich niezwykle pomogło w działaniach tej instytucji; w rzeczy samej nasze środki nie pozwoliłyby na utrzymanie szpitala, gdyby nie wyborna współpraca poszczególnych wydziałów”.

Takie realia nie były wyłącznie efektem własnych preferencji DeJarnette’a. Władze stanowe nie zapewniały pacjentom dostatecznego finansowania. W końcowych latach kadencji DeJarnette’a środki Western State wynosiły rocznie od stu trzydziestu do stu pięćdziesięciu dolarów na pacjenta. Przez dziesiątki lat Wirginia odmawiała również podniesienia płac pracownikom szpitali, co dyrektorowi utrudniało utrzymywanie personelu. DeJarnette często nawoływał do poprawy w tym zakresie i nie wahał się obwiniać władz stanu za to, co uznawał za ich niedociągnięcia. W 1943 roku na jedną ze skarg zareagował następującym oświadczeniem:

„Nie mogę się pochwalić odpowiednim wyposażeniem szpitala, a jego brak od wielu lat utrudnia nam pracę, nad czym ubolewam w każdym sprawozdaniu rocznym, upraszając o środki na zaspokojenie tych potrzeb”. W istocie oburzało go oglądanie pacjentów sprawujących opiekę nad innymi pacjentami. Na temat pracy wymagającej i niewymagającej kwalifikacji miał drastycznie odmienne poglądy. Czasami jawił się wręcz jako konsekwentny zwolennik uczciwych zarobków dla wykształconego personelu i równego wynagrodzenia dla kobiet. Jego żona, na przykład, była jedną z pierwszych kobiet w Wirginii z dyplomem z psychiatrii, chociaż kiedy wzięli ślub w 1906 roku, zrezygnowała z pracy w Western State. DeJarnette mógł wyznawać takie poglądy i jednocześnie czerpać korzyści z pracy pacjentów, ponieważ nie uważał, że ten system sam w sobie jest represyjny. Był zdania, że system obowiązujący w Western State przypomina raczej fantazję hołubioną przez Waggaman, w której dorosłe dzieci są wdzięczne za to, że są produktywne. „Każdy rok umacnia mnie w pewności, że właściwie dobrana i zarządzana praca to najlepsze lekarstwo dla obłąkanych – pisał. – Zapewnia rozrywkę i fizyczne zmęczenie, a obie te rzeczy mają doskonałe działanie nasenne”.

Spory DeJarnette’a z władzami stanu z czasem przyczyniły się do zakończenia jego kariery na stanowisku dyrektora Western State. W 1943 roku miejscowy pastor kościoła episkopalnego Carroll Brooke publicznie sformułował zarzuty o zaniedbywanie pacjentów szpitala, oparte na tym, co sam zaobserwował, gdy świadczył tam posługę duszpasterską. W szczególności oskarżał Western State o to, że jest on „prowadzony bardziej jak więzienie niż jak szpital, a doktora J. S. DeJarnette’a, dyrektora, należy nakłonić do rezygnacji”. Społeczność Staunton stanęła w obronie DeJarnette’a. „News Leader” opublikował cały zbiór listów od jego lokalnych zwolenników i dołączył do „legionów jego przyjaciół, wyrażając nadzieję, że doktora DeJarnette’a czeka jeszcze wiele lat wartościowej służby”. Władze stanu nakłoniły jednak siedemdziesięciosiedmiolatka do rezygnacji, ponieważ uznały go za niezdolnego do pracy. DeJarnette na emeryturę mimo wszystko przeszedł z ulgą. Kilka lat wcześniej kupił w Staunton drugi dom pod inwestycje,

teraz więc chętnie rozpoczął życie na skromniejszą skalę z żoną i ulubioną siostrzenicą. Własnych dzieci nie miał.

Dwadzieścia lat po jego przejściu na emeryturę reformatorzy medycyny psychiatrycznej zaczęli omawiać zjawisko zaobserwowane w szpitalach stanowych w całym kraju, które nazwali „instytucjonalnym peonażem”. Przekonywali, że wskutek wykonywania przez podopiecznych wielu podstawowych robót, od gotowania po służbę dozorców, szpitale zaczęły ich postrzegać przede wszystkim jako pracowników, a nie pacjentów. Pomijając oczywiste wady terapeutyczne takiego układu, reformatorów niepokoiło to, że szpitale mogą przetrzymywać pacjentów dłużej niż to konieczne dla procesu leczenia, aby ich wykorzystywać jako siłę roboczą. W artykule z 1964 roku na łamach „Atlantic Monthly” psychiatra F. Lewis Bartlett tłumaczył:

Szpital stanowe potrzebują „dobrych pacjentów”, którzy będą przydatni, cenni, dogodni i niezastąpieni. Te stosunkowo łagodniej chorujące osoby, zamiast otrzymać pomoc w przezwyciężeniu choroby, na co mogą liczyć pacjenci każdej innej placówki medycznej, za sprawą instytucjonalnych potrzeb stanowych szpitali psychiatrycznych, patologicznie od nich uzależnionych, zostają skazani na pozostawanie „dobrymi pacjentami”.

DeJarnette bynajmniej nie zmuszał pacjentek i pacjentów do pracy bezpośrednimi nakazami i nie ma dowodów, żeby przetrzymywał kogokolwiek wyłącznie w roli siły roboczej. Nie musiał. Do każdego zadania, które uważał za poślednie lub niewymagające kwalifikacji, zawsze miał pracowników aż nadto.

W 1973 roku władze federalne podjęły próbę regulacji jednego z aspektów związanych z wykonywaniem prac przez pacjentów; zgodnie z wyrokiem w sprawie Souder kontra Brennan pracujący pacjenci powinni być objęci przepisami Fair Labor Standards Act, czyli ustawy o standardach sprawiedliwego zatrudnienia^[21]. W orzeczeniu podkreślono również, że potencjalnej wartości terapeutycznej wykonywania przez pacjenta pracy nie bierze się pod uwagę. Jeśli szpital czerpał korzyści ekonomiczne z takich czynności, miały być chronione jako praca, a ochrona ta obejmowała między innymi możliwość pobierania minimalnego wynagrodzenia. Skutki sprawy Souder kontra Brennan zostały później złagodzone, ale zmiany

wywołane tym wyrokiem miały współgrać z wieloma innymi przełomowymi decyzjami tamtej dekady, określającymi konstytucyjnie umotywowane podstawowe standardy opieki w placówkach zdrowia psychicznego.

Wielu ośrodków, pozbawionych możliwości korzystania z pracy pacjentów, nie było stać na dalsze funkcjonowanie na tak wielką skalę, dlatego sprawa Souder kontra Brennan wyznaczyła punkt zwrotny szerszej krajowej tendencji do deinstytucjonalizacji. Niektórzy historycy, na przykład Ruthie-Marie Beckwith, uważają, że deinstytucjonalizacja w latach siedemdziesiątych nie była wyłącznie skutkiem lepszego leczenia ani ponownego odkrycia moralności w opiece nad pacjentami, ale zjawiskiem motywowanym przez postępowania prawne zagrażające korzystaniu przez szpitale z pacjentów jako siły roboczej.

Może nigdy nie poznamy dokładnej wartości ekonomicznej prac wykonywanych przez pacjentów i pacjentki Western State, warto jednak próbować. Kiedy pacjenci wyrównali teren pod uprawę, o ile wzrosła późniejsza cena tego gruntu? O ile lat wydłużył się żywot kruchych obiektów architektonicznych dzięki ciągłemu sprzątanu i polerowaniu przez pacjentki? Ile zaoszczędzili miejscowi biznesmeni dzięki zatrudnianiu pracowników warunkowo zwolnionych ze szpitala, których wartość oszacowano matematycznie na połowę wartości zwykłych pracowników? Jak bardzo obniżyła się wartość płatnej pracy, kiedy niezbędne roboty w szpitalu wykonywali pacjenci? Skoro okoliczni właściciele ziemscy wiedzieli, że Western State jest wiarygodnym nabywcą, czy zawyżali ceny oferowanych gruntów? Jak teraz wyglądają nasze rachunki?

„Pacjent jest dobry do pracy, a praca jest dobra dla pacjenta” – pisał często DeJarnette. O pracowitości pacjentów i pacjentek świadczyły księgi rachunkowe Western State, ale także sama przestrzeń szpitala. Dziś jednak trudno dostrzec niektóre ślady tej pracowitości. Nie ma już farm, opuszczonych przez kolejne pokolenie dyrektorów redukujących szpitalne tereny. Potrzeba przenosin do nowocześniejszych obiektów zgrała się ze zmianą nastawienia do pracy pacjentów. Z czasem znaczną część gruntów szpitala sprzedano, część odkupiono, a część przekazano innym podmiotom

publicznym w celu budowy zarówno nowych budynków szpitalnych, jak i komercyjnych. Dziś dziedzictwo DeJarnette'a jako rolnika zachowało się głównie w archiwach Biblioteki Wirgińskiej w Richmond, dwie godziny na wschód od Staunton.

Z kolei dziedzictwo DeJarnette'a jako architekta widuję na co dzień. Nadzorował budowę siedmiu ważnych budynków w Western State – trzech domów dla lekarzy oraz czterech obiektów zakładowych. W przypadku kilku, w tym Budynku Wheary'ego, korzystał z typowych projektów architektonicznych, które samodzielnie adaptował. Z zewnątrz miały one zachowywać spójność z wcześniejszą architekturą, co często oznacza, że w wielu występują te same elementy co w budynkach starszych, ale wyglądają jak ich tańsze kopie (i rzeczywiście nimi są). Niewprawne oko mogłoby jednak dać się nabrać DeJarnette'owi udającemu Thomasa Blackburna.

DeJarnette uwielbiał swoje architektoniczne dzieła, bo dla niego były one czyste. Odzwierciedlały ład wyłoniiony z chaosu, ale przede wszystkim stanowiły pomniki ku czci jego ekonomicznej wydajności. Obiekty powstałe za jego czasów wzniesiono siłą pracy pacjentów, co zapewniło stanowi oraz samej instytucji ogromne oszczędności. W niektórych przypadkach koszty udawało się obciąć nawet o połowę. Dzięki pracy pacjentów DeJarnette pozostawał na plusie, mimo że z każdym nowo przyjmowanym pacjentem rosły koszty.

Może kiedy patrzył na te budynki, na moment przerywał szaleńcze kalkulacje. „Nie licząc kładzenia cegieł, praktycznie cały budynek to owoc pracy pacjentów, dzięki czemu kosztował on tylko tyle, co użyty materiał” – napisał o jednym z projektów. W swoich raportach DeJarnette często płynnie przechodzi od historycznej pogardy dla owej chodzącej zarazy, która przynosi długi dobrym ludziom, do wychwalenia towarów i budynków stworzonych przez pacjentów, czasem wspominając nawet o ich „wybornej współpracy”. Nie widział w tym sprzeczności, bo pochwały koniec końców kierował do siebie. To on zaprowadzał ład. On równoważył budżet. On czynił czystość z ludzkich wraków, których ostatecznej eliminacji miał nie dożyć. To był jego projekt.

Kiedy pacjenci budowali budynki, liczby się zgadzały i przynosiły pociechę. Oto jak DeJarnette opisuje budowę nowych domów dla lekarzy szpitala:

Zakwaterowanie dla jednego ze stażystów ukończono kosztem 4900 dolarów. Dom jest ceglany, ma dziewięć pokoi, dużą piwnicę, jest wybornie wykończony i stanowi cenne uzupełnienie dóbr szpitala. Gdyby ten dom budował wykonawca, kosztowałby on od 11 tysięcy do 12 tysięcy dolarów, ale my, szacując koszty, nie wliczamy pracy pacjentów. Z wyjątkiem murarki wszystkie prace budowlane wykonała nasza regularna siła robocza.

Jego regularna siła robocza odpowiadała nie tylko za ciężką pracę fizyczną przy kopaniu fundamentów i transporcie materiałów, ale również za drobniejsze detale, zdaniem DeJarnette'a „wybornie wykończone”, które specjaliści od architektury nazywają portykami, kolumnami i belkami. Dziś, po odrestaurowaniu, te domy wycenia się na czterysta tysięcy dolarów.

Chyba największą dumą napawał DeJarnette'a Budynek Wheary'ego, ukończony w 1935 roku. Ta budowla o powierzchni ponad czterech tysięcy metrów kwadratowych, w pierwotnym planie dwukondygnacyjna, a potem rozbudowana o kondygnację trzecią, została zaprojektowana z tym samym naciskiem na klasyczne detale architektoniczne, który widać w całym kompleksie. Miało tu zamieszkać dwieście pacjentek i pacjentów. DeJarnette'owi zależało na jak najnowocześniejszych wzmocnieniach i instalacjach użytkowych, a wszystko to było uwznioślone jego najszczerzą próbą odtworzenia motywów architektonicznych szpitala. „Plan budynku wykonam sam, przez co zaoszczędzę wydatku na architekta, a zbuduję go rękami pacjentów”. W gmachu mieli zamieszkać pacjenci Western State o skłonnościach samobójczych. Wymagane wzmocnienia były niezbędne dla ich bezpieczeństwa i kontroli.

Pod koniec kariery DeJarnette zaczął bardzo kluczyć w sprawie realizacji Budynku Wheary'ego. Zaprojektował go, aby zademonstrować ważny element swoich przekonań: że potrafi być człowiekiem, który nienawidzi zarazy, ale współczuje pacjentowi. Postawił szczególny nacisk na piękno tej budowli i uważał, że pomimo pewnych niecodziennych szczegółów niezbędnych ze względu na jej funkcję jest to najlepsze zakwaterowanie w całym szpitalu. „Ze wszystkich pogrążonych w smutku

i cierpieniu – napisał w 1931 roku – ci, którzy podnoszą rękę na siebie samych i często siebie okaleczają, usiłując uwolnić swą duszę z więzienia ciała, zasługują z naszej strony na najlepsze zakwaterowanie i najlepszą opiekę”.

Z Budynkiem Wheary’ego wiązał się jednak również gniew DeJarnette’a, bo to właśnie na tutejszych pacjentach skupiła się skarga Carrolla Brooke’a, która przyczyniła się do zakończenia kariery DeJarnette’a. „Jeden z oddziałów to po prostu długi strych, gdzie całymi dniami leży stu czterdziestu pacjentów, a ubrania walają się pod łózkami i rozrzucone wszędzie” – krytykował Brooke. DeJarnette gotował się ze złości:

Chociaż pan Brooke przypisuje sobie dobrą znajomość chorób psychicznych i metod ich leczenia, widocznie jego szkolenie nie obejmowało pacjentów o skłonnościach samobójczych, których my mamy tu około trzystu. „Długi strych” to całkowicie ogniotrwały oddział dla samobójców. Tamtejsza mnogość okien i szerokie korytarze zapewniają światło i powietrze osobom, które za sprawą swej niefortunnej dolegliwości są skazane na odosobnienie i stałą obserwację.

W tym miejscu przeszłość i teraźniejszość znowu się zderzają. Spór Brooke’a z DeJarnette’em o sposób traktowania pacjentów koncentruje się na tej części Budynku Wheary’ego, którą obaj nazywają „strychem” (*the loft*). Dokładnie tę samą nazwę deweloperzy Western State nadali budynkowi w nowym wcieleniu luksusowego apartamentowca.

Kimkolwiek był Joseph DeJarnette, czymkolwiek było Western State, ziściło się to w tym budynku.

Na tarasowym zboczu wzgórza przy szpitalu, za ostatnim rzędem budynków, jest cmentarz. Pochowano tam aż trzy tysiące pacjentów i pacjentek zmarłych w biedzie oraz takich, o których nie upomnieli się bliscy, a także garść pracowników szpitala, którzy wybrali Western State na miejsce wiecznego spoczynku.

Aby do cmentarza dojść z hotelu, przede wszystkim trzeba wiedzieć, że on w ogóle tam jest. Nie ma żadnych oznaczeń. Co więcej, przy prowadzącej do niego ścieżce stoi kilka tabliczek „wstęp wzbroniony”, a szlaban uniemożliwia ruch kołowy. Chociaż każda sprawna osoba może

ten szlaban po prostu obejść, przypuszczam, że wiele prób dotarcia na cmentarz kończy się właśnie tutaj, czy to przez wzgląd na zasady, czy z szacunku dla własności prywatnej. Nawet jeśli ktoś wie, że po drugiej stronie znajduje się cmentarz, brakuje oznaczenia i wyjaśnień, czy można tam dotrzeć oraz w jaki sposób.

Kiedy przeprowadziłam się do Staunton, błędnie założyłam, że zawierając umowę z miastem, deweloperzy nie przejęli terenu cmentarza. Sądziłam, że wciąż ma nad nim opiekę jakiś podmiot publiczny, stanowy albo lokalny. Alternatywa wydawała mi się zbyt bluźniercza, żeby brać ją pod uwagę – że aby uniknąć utrudnień podczas transakcji, miasto po prostu przeniosło własność cmentarza ze szczątkami ponad trzech tysięcy osób w ręce prywatne. Okazałam się naiwna. Myślałam sercem, a nie portfelem.

Po nocy spędzonej w Blackburn Inn rano poszłam na cmentarz. Sądziłam, że znajdę tam dowód przynajmniej jednej rzeczy ze stuletniej luki w historii prezentowanej przez deweloperów: dowód na to, że umierali tu ludzie. W Western State nawet to nie jest jednak takie proste.

Dzień był słoneczny i zimny, a mnie bolała głowa. Ale nic to – świeże powietrze jest doskonałym lekarstwem. Przypomniałam sobie, że mam szczęście, bo o tej porze roku zarośla są rzadsze. Przy poprzedniej wizycie zeszłej wiosny ziemia była miękka od opadów, a roślinność pięła się ku słońcu i kilka razy prawie się przewróciłam. Tego dnia szło się jednak dość łatwo. Ruszyłam ścieżką w górę, potem znowu w dół, minęłam zakazy i udałam się wzdłuż dębów do ukrytego zakątka.

Leżą tutaj trzy tysiące ludzi – przypominałam sobie. Nie sposób jednak stwierdzić, kim byli ani kiedy dokładnie umarli. Na tablicach nie ma nazwisk ani dat, a jedynie numery odpowiadające tym w archiwach stanowych, które, jak utrzymują władze Wirginii, są poufne. Przyznają one tylko tyle, że pierwszy pochówek miał miejsce w 1848 roku, ostatni w 2001 roku, a w międzyczasie umierali ludzie. Tablice, przysadziste prostokąty z betonu i metalu ułożone w długich rzędach, są wytarte i popękane. Liczb na wielu z nich nie da się już odczytać. Kiedy się na nie patrzy, nie wiadomo, ilu wśród zmarłych było mężczyzn, a ile kobiet, kto zmarł staro, a kto młodo, i jak się nazywał. Ponieważ w Western State przez znaczną część jego historii obowiązywała segregacja rasowa, możemy mieć

pewność, że zdecydowana większość osób była biała. Ale to wszystko. To miejsce to cmentarz bezimiennych zmarłych.

W 1986 roku Wirginia uchwaliła prawo, które w przypadku pochówków osób samotnych i ubogich wymusza wykonywanie tablic nagrobnych z trwalszego granitu oraz podawanie na nich nazwisk zmarłych i dat. Władze stanu przekonywały jednak, że nie mogą posłużyć się nowym prawem w celu identyfikacji pacjentów i pacjentek Western State. W 2008 roku grupa byłych pacjentów zawiązała koalicję na rzecz stworzenia na miejscu cmentarza jakiegoś trwalszego pomnika. Plany nie wyszły jednak poza fazę pomysłu. Możliwe, że te osoby, podobnie jak ja, dopiero później zrozumiały, że cmentarz w 2006 roku stał się własnością prywatną.

Tamtego poranka dziwnie mi się patrzyło na tak wielkie zaniedbanie, skoro przed chwilą opuściłam przestrzeń, w której lekarzy zwracających ludzką godność osobom z chorobami psychicznymi czczono jako bohaterów. Tam mnie zapewniano, że wyrazem ich heroizmu było podporządkowanie rzeczywistości szpitala potrzebie głoszenia owej godności. Tu tej godności odmawiano. A kto miał w tym udział? Nie tylko obecni właściciele terenu, ale również władze miasta i stanu.

Wieczorem, w mniej przytulnym łóżku w moim domu, znowu próbowałam zidentyfikować, co tak bardzo mi przeszkadzało w historii Western State przedstawianej przez deweloperów. Nie mogłam przecież zaprzeczyć, że odrestaurowana architektura faktycznie jest przepiękna. I choć ich wersję przeszłości tego miejsca uważam za niekompletną, nie nazwałabym jej fałszywą. Być może nawet bym przyznała, że ma ona sens. W myśleniu o miejscach takich jak Western State czy budynki Kirkbride'a rzeczywiście da się zabrnąć zbyt daleko w makabrę i przez to zaszkodzić szansom na powrót tych obiektów do codziennego użytku. Wyobrażam sobie argumenty – i padają one z ust takich ludzi jak Robert Kirkbride – że te budynki wciąż mogą spełniać swoje pierwotne uzdrawiające przeznaczenie, jeśli dzięki nim lokalne społeczności pozostawią w tyle mroczne rozdziały swojej historii.

Władze miasta i deweloperzy nie oczyścili jednak Western State z mrocznej przeszłości po to, aby kogoś uzdrowić – zrobili to, żeby

sprzedawać nieruchomości bogatym ludziom. I to nie dowolnym, ale pochodzącym z daleka, nieobciążonym zbiorowym stygmatem Western State, zainteresowanym tylko znalezieniem sobie idealnego drugiego domu. „Piękny dom z dala od domu” – sugerują teksty reklamowe na stronie. – „Zupełnie jak kiedyś”. Ani słowa o tym, że dawniej ubodzy pacjenci byli na te domy skazani. Jedynym echem tamtej prawdy jest ten zaniedbany cmentarz, pełen luk, odizolowany i w rozkładzie.

Zgodnie z filozofią leżącą u podstaw ochrony dziedzictwa historycznego powinniśmy czerpać z przeszłości to, co potrzebne nam teraz i w przyszłości. Ale co właściwie rewitalizacja Western State Hospital mówi o naszych dzisiejszych potrzebach?

W najprostszym odczytaniu opowiada ona o potrzebie dogodzenia przede wszystkim najzamożniejszym wśród nas. I o konieczności usprawiedliwienia tego kierunku rzekomą korzyścią, którą przy okazji odnosimy my wszyscy. Ja sama za sprawą takiej relacji stoję się jednak spekulanką pozbawioną możliwości zrozumienia, z czego dokładnie czerpię zysk. Czy z wykończenia pięknych budynków historycznych odnowionych niebagatelnym kosztem? Czy z pracy osadzonych tutaj pacjentów, którzy je pierwotnie zbudowali? Oczywiście może być prawdą i jedno, i drugie. Nowe Western State mówi nam jednak również to, że nasze potrzeby najlepiej zaspokoić, odsuwając tę dwoistość na bok.

W wywiadzie dla CityLab z 2015 roku Robert Kirkbride stwierdził: „Tych ludzi nie uwięziły budynki. Uwięzili ich ludzie. Łatwiej jednak obarczyć odpowiedzialnością budynek niż człowieka”. To prawda. Te budynki są jednak również majątkiem, którego wartość częściowo zależy od pozostałości dokonanych tu czynów. Niebezpieczeństwo w tych starych obiektach to nie tylko azbest i farba ołowiowa – to także okrutna historia, którą symbolizują. A mimo to, jak widzę, ludzie wcale nie „obarczają odpowiedzialnością budynków”. Przynajmniej nie tutaj, w Staunton. Wręcz przeciwnie: starym budynkom Western State architektura zapewnia odkupienie, rozmywa ich mroczną historię i pozwala skupić się na czymś innym.

I Francis Stribling, i Joseph DeJarnette rozumieli, że budynki mogą być przedłużeniem nas samych. Najdoskonalsze budowle pomagają wręcz pogodzić ze sobą wszystkie nasze ludzkie sprzeczności. Co takiego jednak staramy się pogodzić, kiedy sięgamy do przeszłości i zaczynamy czerpać znaczące zyski ekonomiczne z opowieści o pacjentach odizolowanych, ale zadowolonych, harujących, ale szczęśliwych, wypędzonych, ale pełnych godności? Co najmniej sugerujemy, że kiedyś te sprzeczności harmonijnie współistniały, a to po prostu nieprawda. Grozi nam, że pomyślimy: „No bo skoro kiedyś takie harmonijne współistnienie było możliwe, dlaczego nie mielibyśmy go osiągnąć teraz i w przyszłości?”.

W rewitalizacji Western State mój dyskomfort wywołuje to, że pozwala nam ona wyobrażać sobie nas samych jako ludzi, którzy prędzej ulżyliby cierpieniom, niż je wywoływali albo czerpali z nich korzyść. Świadczy o tym przecież trwałość fizycznego świata. Pozostałe szczegóły z przeszłości szpitala zmieniają się w przelotne epizody – krótkie zakłócenia linii przewodniej łączącej to, czym byliśmy, z tym, kim jesteśmy. Sposób modernizacji tego miejsca zachęca nas, abyśmy sobie wyobrażali, że zasłużyliśmy na więź z ludźmi, którzy tych najbardziej bezbronnych traktowali z troską i szacunkiem. Dzięki pięknemu otoczeniu możemy doświadczyć przyjemności kreowania świata dla osób, którym mniej się poszczęściło, bez konieczności robienia tego samodzielnie.

Ludzie będą mnie pytać, czasem w dobrej, a czasem w złej wierze, co na to można poradzić. Jeśli to kogoś pocieszy, złożyłam uroczystą przysięgę nie wpadać nieproszona na wesela w Western State i nie marudzić o sterylizacjach i wykorzystywaniu pacjentów jako siły roboczej. Nie nawołuję do muzeumifikacji komercyjnych inwestycji, bo byłaby to strata czasu. Jestem realistką. Co się stało, to się nie odstanie.

Ale czy w mieście i stanie, które szczytą się swoją przeszłością, naprawdę tak trudno byłoby żyć w prawdzie o tym, że otaczający nas świat wiąże się z życiem, pracą i stratą wykorzystywanych ludzi? Że to ich ręce modelowały teren, lepiły cegły, kopały fundamenty, wylewały beton i zbudowały majątek, który cały czas zyskuje na wartości, kiedy piszę te słowa? Czy moglibyśmy przyznać, że u zbyt wielu z nas niesmak wywołuje myśl, że budynki zaprojektowane przez wielkiego architekta zostały

zbudowane przez ludzi zniewolonych, a potem w nich zamkniętych? Czy moglibyśmy powiedzieć o tym, że ta praktyka trwa do dziś, że prawo Wirginii wciąż dopuszcza wykorzystywanie pracy więźniów do produkcji dóbr i mebli dla stanowych instytucji takich jak publiczne uniwersytety? Czy możemy przyznać, że nadal otaczają nas instytucje dehumanizujące ludzi, nie tylko w dalekich ośrodkach detencyjnych, ale tutaj, na naszym podwórku? Czy wolno nam pytać o to, czy nowi właściciele, którzy kupują domy w dzisiejszym Western State z myślą o emeryturze, wykorzystują swój przywilej polityczny, żeby ułatwić nam wszystkim dostęp do opieki zdrowotnej, w szczególności dotyczącej zdrowia psychicznego? Czy możemy pamiętać o tym, że stan Wirginia wykonał wyrok śmierci na Williamie Morvie, człowieku dotkniętym nieleczoną chorobą psychiczną, nie w zamierzchłej przeszłości, ale zaledwie trzy lata temu?^[22] Czy możemy przestać udawać, że gdybyśmy mieli możliwość, bylibyśmy Francisem Striblingiem, a nie Josephem DeJarnette'em?

Bo tutaj, w chwili obecnej, na te pytania mamy jasne odpowiedzi. Jesteśmy ludźmi, którzy nie potrafią zatroszczyć się nawet o cmentarz.

Tak jak Joseph DeJarnette jestem teraz osobą pochłoniętą liczbami. Przeglądając akta historyczne, nadal nie mogę zrozumieć części danych, które w nich znajduję. Dlaczego w jednym roku Western State wykazywało w rejestrze tyle młodych osób niepoczytalnych, a w kolejnym – tyle starych? Dlaczego w 1916 roku dwie osoby umieszczono tam dlatego, że zmarł ktoś w sąsiedztwie? Kim była osoba przyjęta rok później, cierpiąca jednocześnie na malarię i symptomy „szybkiego życia”? Jak właściwie szpital dawał radę przygotować rocznie piętnaście tysięcy słoików przetworów owocowych?

Liczba, o której myślę najczęściej, nie pochodzi jednak z rejestrów DeJarnette'a ani z archiwów Western State. To taka liczba, której w pewnym sensie wcale nie chciałam znać. Kiedy ją odkrywałam, już wiedziałam, że Western State Hospital to miejsce skłaniające do bezdusznych obliczeń. Nie chciałam sobie tego robić, a jednak bez tej jednej liczby wszystkie inne nie mają znaczenia.

Ta liczba to dwadzieścia osiem. Tylu osobom od 2015 roku udało się w ramach wirgińskiego Programu Odszkodowań dla Ofiar Sterylizacji Eugenicznej złożyć z powodzeniem wnioski o odszkodowanie, wynoszące 25 000 dolarów. Z tej liczby, dwadzieścia osiem, możemy wywieść większą: 700 000 dolarów. Tyle kosztuje żal po pięćdziesięciu pięciu latach eugeniki w stanie Wirginia.

Próbuję przekonywać samą siebie, że dwadzieścia osiem to dobra liczba. Oznacza ona, że Wirginia musiała wypłacić więcej niż te 400 000 dolarów pierwotnie przewidziane w budżecie, kiedy szykowano ten program po sześćdziesięciu latach od okresu najliczniejszych sterylizacji.

Niepokoi mnie jednak mój własny niezrównoważony rachunek. 700 000 dolarów to wciąż o 500 000 dolarów mniej od sumy ulg podatkowych przyznanych przez władze Wirginii deweloperom odpowiedzialnym za transformację Western State. To o 249 300 000 dolarów mniej niż łączne koszty budowy przewidziane przez tych deweloperów. To o 20 300 000 dolarów mniej od podanej przez nich sumy dotychczasowych inwestycji w ten projekt. Gdyby każda osoba poddana sterylizacji w Western State za kadencji DeJarnette'a – a on sam szacował, że było ich 1205 – wciąż żyła i otrzymała odszkodowanie, wypłacone im łącznie 30 125 000 dolarów byłoby nadal kwotą o 219 875 000 dolarów niższą od przewidywanej przez inwestorów przyszłej wartości zmodernizowanych nieruchomości. Gdyby te dwadzieścia osiem osób, które dostały odszkodowanie, zrobiło zrzutkę, wspólnie mogłoby dziś kupić co najwyżej trzy mieszkania w The Villages at Staunton.

Wiem, że ludzie będą mnie pytali, jak sobie wyobrażam wyrównanie własnego rachunku. Może niektórzy spytają wręcz, po co w ogóle go prowadzę. Czy nie lepiej tego nie robić? To już się stało. Wszystko. Będą pytali, co dobrego przyjdzie z mówienia o tych przykrych rzeczach. Przecież nigdy nie będziemy żyć w świecie, w którym nie istniał Western State Hospital. Kiedy będzie nam wolno stwierdzić, że zasłużyliśmy na pozostawienie tego za sobą?

Odpowiedź mam prostą: kiedy równie łatwo będzie dać drugą szansę człowiekowi, jak budynkom.

Podziękowania

Podziękowania zwykle pisze się po to, żeby docenić cenną pracę i wsparcie osób oraz instytucji, które przyczyniły się do powstania tekstu. Takie podziękowania tu również się znajdują, najpierw jednak chcę wykorzystać tę przestrzeń, aby zamieścić w niej inne oświadczenia, zgodne z drugim znaczeniem słowa *acknowledgement*, czyli akceptacją prawdy^[23].

Piszę te słowa w chwili pełnej eugenicznych idei dotyczących metod radzenia sobie przez Stany Zjednoczone z kryzysem COVID-19. Najpoważniejsze konsekwencje COVID-19 w nieproporcjonalnie dużym stopniu ponoszą osoby czarne, śniade, rdzennego pochodzenia, ubogie, niepełnosprawne i starsze. Dla obojętnego społeczeństwa oraz przywódców sfrustrowanych własną nieudolnością ich cierpienie jest akceptowalne. Z podjętych działań można wnioskować, że tych ofiar nie warto było chronić i nie miały one prawa oczekiwać należytej opieki. Tych, którzy szybko ozdrowieli po COVID-19 albo jeszcze się nie zarazili, często przedstawia się jako biologicznie „lepszycy” od ciężko chorujących i zmarłych. Każde bezduszne pytanie, jakie pojawia się w tej książce, każdy punkt odniesienia służący oszacowaniu relatywnej wartości życia danego człowieka, dzisiaj, tak jak zawsze, jawnie i nikczemnie wspiera logikę tych u władzy.

Obwinianie administracji Trumpa za słabą i nieskuteczną reakcję w całym kraju to wyjaśnienie zbyt łatwe i niepełne. Za ten kryzys odpowiada Biały Dom, ale również każdy, kto czerpie przyjemność, zysk bądź władzę z systemu, który wymaga od ludzi produktywności, bo inaczej będą zabijani przez zaniedbanie. Odpowiadają za niego wszyscy szefowie i przedsiębiorcy, którym dopiero prawo musi przypominać, że ich pracownicy to prawdziwi ludzie; odpowiadają za niego politycy wszystkich

frakcji sprzeciwiający się szeroko popieranym propozycjom ważnych zmian, jak na przykład powszechnej opieki zdrowotnej, które niezmiennie poprawiłyby jakość naszego życia. Za ten moment odpowiada również znieczulica zwykłych ludzi, którzy patrząc na życie osób na marginesie społeczeństwa, szukają sposobów, aby winę za ich niedolę zrzucić na niesprecyzowaną słabość, i sięgają po kształtowane przez siebie mity o własnej wyjątkowej wartości, żeby nimi wyjaśnić, kto w społeczeństwie jest wygrany, a kto przegrany. Odpowiada za niego każdy człowiek zadowolony z racjonowania dóbr, uważający, że pozbawianie kogoś innego środków to praktyczny środek przymusu.

W Stanach Zjednoczonych zmarło na COVID-19 ponad sto dwadzieścia tysięcy osób^[24], a gdy piszę te słowa, duża i głośna część społeczeństwa powołuje się na pseudonaukę dla usprawiedliwienia strat w ludziach, sięga po makabryczne i często spekulatywne argumenty dotyczące chorób współistniejących, niepełnosprawności, wyborów życiowych i zaawansowanego wieku ofiar. Sprawniejsi Amerykanie przeżyją – zapewniają nas politycy, jak na przykład w marcu wicegubernator Teksasu Dan Patrick – a może nawet, po przetrzebieniu słabych, czekają ich tłuste lata. Kiedy pisałam tę książkę, trudno mi było zwięźle i zrozumiale wyjaśnić, jak to możliwe, że eugenika, w swoim dwudziestowiecznym wcieleniu, zyskała tak wielką popularność wśród naukowców i laików, jakim cudem ludzie bez oporu wysłuchiwali tak szpetnych pomysłów i je akceptowali, przekonani, że ich dusza na tym nie ucierpi. Obecne wydarzenia uwolniły mnie od tego problemu.

Jestem wdzięczna za wsparcie Belt Publishing, wydawczyni i założycielce wydawnictwa Anne Trubek, starszej redaktorce i dyrektorce marketingu Marcie Bayne, współwydawcy Danowi Crissmanowi oraz kierownikowi realizacji zamówień Williamowi Rickmanowi. Przy projekcie graficznym i okładce ponownie miałam niezwykle szczęście pracować z Davidem Wilsonem i Meredith Pangrace. Długie podziękowania należą się również Michaelowi Jaunchenowi, redaktorowi prowadzącemu tej książki. Zaangażowanie i namysł Mike’a czyniły ją coraz lepszą, od najwcześniejszych wersji aż po ostatnią korektę, i jestem mu niebywale

wdzięczna. Większość tej pracy przypadła na okres pandemii oraz największego współczesnego kryzysu gospodarczego i jestem dumna, że stanowią część zespołu wydawniczego, który zmiany wymuszone przez te dwa równoczesne kryzysy podporządkował bezpieczeństwu i dobrostanowi personelu oraz autorów i autorek.

Ta książka nie powstałaby bez pracy badawczej i archiwalnej innych osób, w tym ekspertów i ekspertek cytowanych w całym tekście, a także personelu Biblioteki Wirgińskiej oraz Zbiorów Specjalnych Uniwersytetu Wirginii. Praca archiwistów bywa często niewidzialna, a ja doceniam to, jak wielkiego wysiłku i umiejętności wymaga porządkowanie zbiorów oraz tworzenie pomocy archiwalnych, które ułatwiają pracę badawczą. Szczególnie wdzięczna jestem Suzanne Fisher z Augusta County Historical Society. Suzanne wykonała ogromną pracę przy zbiorze dokumentów osobistych i materiałów ulotnych związanych z Josephem DeJarnette'em i poświęcała czas poza godzinami pracy, żeby mi pomagać. Wdzięczna jestem również Alison Bell z Washington and Lee University, która podzieliła się ze mną pracą na temat cmentarzy przy szpitalach psychiatrycznych, między innymi tego w Western State, i zapoznała mnie z gronem uczonych badających historię eugeniki w Wirginii. Serdecznie dziękuję historyczce publicznej Perri Meldon, która podzieliła moje zainteresowanie tematyką ziemi, przestrzeni i interpretacji eugenicznej przeszłości. Ogromnie doceniam jej koleżeństwo i gotowość do rozmowy o lekturach i tematach, które często są ciężkie i niejednoznaczne.

Największy dług mam wobec mojego partnera Josha Howarda. Nikt nigdy nie zrobił i nie zrobi więcej niż ten dobry człowiek. Dziękuję.

Rekomendowane źródła

- Baynton Douglas C., *Defectives in the Land. Disability and Immigration in the Age of Eugenics*, Chicago: University of Chicago Press, 2016
- Beckwith Ruthie-Marie, *Disability Servitude. From Peonage to Poverty*, Basingstoke: Palgrave Macmillan, 2016
- Bishop Mary Carter, *Don't You Ever. My Mother and Her Secret Son*, New York: HarperCollins, 2018
- Briggs Laura, *Reproducing Empire. Race, Sex, Science, and U. S. Imperialism in Puerto Rico*, Berkeley: University of California Press, 2002
- Brown Molly McCully, *The Virginia State Colony for Epileptics and Feeble-minded*, New York: Persea Books, 2017
- Cogdell Christina, *Eugenic Design. Streamlining America in the 1930s*, Philadelphia: University of Pennsylvania Press, 2004
- Cohen Adam, *Imbeciles. The Supreme Court, American Eugenics, and the Sterilization of Carrie Buck*, New York: Penguin, 2016
- Coleman Arica L., *That the Blood Stay Pure. African Americans, Native Americans, and the Predicament of Race Identity in Virginia*, Bloomington: Indiana University Press, 2013
- Currell Sue, *You Haven't Seen Their Faces. Eugenic National Housekeeping and Documentary Photography in 1930s America*, „Journal of American Studies” 51(2), s. 481–511
- Dorr Gregory Michael, *Segregation's Science. Eugenics and Society in Virginia*, Charlottesville: University of Virginia Press, 2008
- Eisenfeld Sue, *Shenandoah. A Story of Conservation and Betrayal*, Lincoln: University of Nebraska Press, 2015
- Gould Stephen J., *The Mismeasure of Man*, New York: W. W. Norton & Company, 1981
- Gregg Sara M., *Managing the Mountains. Land Use Planning, the New Deal, and the Creation of a Federal Landscape in Appalachia*, New Haven: Yale University Press, 2010
- Holloway Pippa, *Sexuality, Politics, and Social Control in Virginia, 1920–1945*, Chapel Hill: University of North Carolina Press, 2005

- Horning Audrey, *In the Shadow of Ragged Mountain*, Luray, Virginia: Shenandoah National Park Association, 2004
- Kelves Daniel J., *In the Name of Eugenics. Genetics and the Uses of Human Heredity*, New York: Alfred A. Knopf, 1985
- Kline Wendy, *Building a Better Race. Gender, Sexuality, and Eugenics from the Turn of the Century to the Baby Boom*, Berkeley: University of California Press, 2001
- Ladd-Taylor Molly, *Fixing the Poor. Eugenic Sterilization and Child Welfare in the Twentieth Century*, Baltimore: John Hopkins University Press, 2017
- Lambert Darwin, *The Undying Past of Shenandoah National Park*, Boulder, Colorado: Roberts Rinehart, 1989
- Levine Philippa, *Eugenics. A Very Short Introduction*, New York: Oxford University Press, 2017
- Lombardo Paul A., *Three Generations, No Imbeciles. Eugenics, the Supreme Court, and Buck v. Bell*, Baltimore: Johns Hopkins University Press, 2008
- McRae Elizabeth Gillespie, *Mothers of Massive Resistance. White Women and the Politics of White Supremacy*, New York: Oxford University Press, 2008
- Nelson Louis P., Claudrena N. Harold (ed.), *Charlottesville 2017. The Legacy of Race and Inequality*, Charlottesville: University of Virginia Press, 2018
- Nuriddin Ayah, *The Black Politics of Eugenics*, „Nursing Clio”, 1 czerwca 2017
- Ordovery Nancy, *American Eugenics. Race, Queer Anatomy, and the Science of Nationalism*, Minneapolis: University of Minnesota Press, 2003
- Parsons Anne E., *From Asylum to Prison. Deinstitutionalization and the Rise of Mass Incarceration after 1945*, Chapel Hill: University of North Carolina Press, 2018
- Powell Katrina M., „Answer at Once”. *Letters of Mountain Families in Shenandoah National Park, 1934–1938*, Charlottesville: University of Virginia Press, 2009
- Reich Justin, *Re-creating the Wilderness. Shaping Narratives and Landscapes in Shenandoah National Park*, „Environmental History” 6, no. 1 (styczeń 2001), s. 95–117
- Roberts Dorothy, *Killing the Black Body. Race, Reproduction, and the Meaning of Liberty*, New York: Vintage Books, 1997
- Robinson Richard Knox (reż.), *Rothstein's First Assignment*, Cinema Guild, 2011
- Rose Sarah F., *No Right to Be Idle. The Invention of Disability, 1840s–1930s*, Chapel Hill: University of North Carolina Press, 2017
- Saini Angela, *Superior. The Return of Race Science*, Boston: Beacon Press, 2019
- Schoen Johanna, *Choice and Coercion. Birth Control, Sterilization, and Abortion in Public Health and Welfare*, Chapel Hill: University of North Carolina Press, 2005
- Sherman Shantella Yolanda, *In Search of Purity. Popular Eugenics and Racial Uplift Among New Negroes 1915–1935*, [b.m.]: CreateSpace Publishing, 2016
- Smith David J., K. Ray Nelson, *The Sterilization of Carrie Buck*, Far Hills: New Horizon Press, 1999
- Stepan Nancy Leys, *The Hour of Eugenics. Race, Gender, and Nation in Latin America*, Ithaca: Cornell University Press, 1996

- Stern Alexandra Minna, *Eugenic Nation. Faults and Frontiers of Better Breeding in Modern America*, Oakland: University of California Press, 2015
- Tayac Gabrielle, *Eugenics and Erasure in Virginia. Walter Plecker's War Against Virginia's Tribes*, „National Museum of the American Indian Magazine” (luty 2009), s. 20–24
- Torpy Sally J., *Native American Women and Coerced Sterilization. On the Trail of Tears in the 1970s*, „American Indian Culture and Research Journal” 24(2), s. 1–22
- Trombley Stephen (reż.), *The Lynchburg Story. Eugenic Sterilization in America*, Channel Four and Filmmakers Library, 1994

Źródła archiwalne

W tej książce wykorzystano zbiory archiwalne Library of Virginia (Richmond), University of Virginia Special Collections (Charlottesville) i Augusta Country Historical Society (Staunton). Ponadto ogromnie przydatne okazały się różne zasoby cyfrowe, w tym Eugenics Archive (eugenicsarchive.ca), zarządzane przez Social Sciences and Humanities Research Council of Canada. Georgia State University College of Law, za pośrednictwem Paula Lombardo, prowadzi elektroniczną czytelnię źródeł prawnych związanych z eugeniką oraz ważnych dokumentów dotyczących sprawy Buck kontra Bell. HathiTrust Digital Library oraz Internet Archive ułatwiły mi zlokalizowanie i lekturę tekstów eugenicznych z epoki. Poniżej znajduje się krótki wybór tych tekstów.

Cox Earnest Sevier, *White America*, 1925

Davenport Charles B., *Heredity in Relation to Eugenics*, 1911. Zob. także C. Davenport, *Eugenic Sterilization in Virginia*, „Virginia Medical Monthly” (styczeń 1931)

Dugdale Richard, *The Jukes. A Study in Crime, Pauperism, Disease, and Heredity*, 1877

Estabrook Arthur H. i Ivan E. McDougale, *Mongrel Virginians. The WIN Tribe*, 1926

Galton Francis, *Hereditary Genius*, 1869

Goddard Henry H., *The Kallikak Family. A Study in the Heredity of Feeble-mindedness*, 1912

Grant Madison, *The Passing of the Great Race. Or, the Racial Basis of European History*, 1916

Jordan David Starr, *The Blood of the Nation. A Study in the Decay of Races by the Survival of the Unfit*, „Popular Science” (maj 1901)

Laughlin Harry H., *The Legal Status of Eugenic Sterilization. History and analysis of litigation under the Virginia Sterilization Statute, which led to a decision in the Supreme Court of the United States upholding the statute*, 1930

Powell John, *The Breach in the Dike. An Analysis of the Sorrels Case Showing the Danger to Racial Integrity from Intermarriage of Whites with So-Called Indians*, 1925

Stoddard Lothrop, *The Rising Tide of Color. Against White World Supremacy*, 1922

Przypisy

- [1] Marsz środowisk skrajnie prawicowych Unite the Right (Zjednoczyć Prawicę) odbył się w Charlottesville w dniach 11–12 sierpnia 2017 roku. Uczestnicy obnosili się z symboliką neonazistowską, rasistowską i antysemitką. Marsz zorganizowano w reakcji na decyzję Rady Miejskiej Charlottesville o usunięciu z przestrzeni publicznej pomników Roberta E. Lee i Stonewall Jacksona. Wskutek gwałtownych starć z policją i kontrmanifestantami zostało rannych co najmniej 30 osób. 12 sierpnia, po rozwiązaniu zgromadzenia przez policję stanową, jeden z uczestników marszu celowo wjechał samochodem z dużą prędkością w tłum kontrmanifestantów – zabił jedną osobę i zranił 35 innych. Został skazany na karę dożywotniego więzienia plus 419 lat (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
- [2] Przegrana Sprawa Konfederacji – pielęgnowana przez białych południowców, a dyskredytowana przez większość współczesnych historyków interpretacja wojny secesyjnej odpowiedzialna za podtrzymywanie romantycznego mitu „Dawnego Południa” i heroizmu konfederackich żołnierzy, utrzymująca, że Konfederacja prowadziła sprawiedliwą wojnę o prawa stanów i obronę gospodarki rolnej, a nie o niewolnictwo; zniewoleni byli dobrze traktowani i nieprzygotowani do wolności, a przyczyną ostatecznej przegranej była wyłącznie przytłaczająca przewaga Unii pod względem liczebności i zasobów.
- [3] Muriel Rukeyser, U.S. 1, tłum. Marta Koronkiewicz, Wrocław: Ossolineum, 2023.
- [4] Rainer Maria Rilke, Starożytny tors Apollina [w:] tegoż, Poezje nowe. Życie Maryi, tłum. Andrzej Lam, Warszawa: Elipsa Dom Wydawniczy, 2010.
- [5] Jak twierdzą świadkowie, Donald Trump miał użyć tych słów podczas spotkania z senatorami poświęconego pomocy imigrantom z Haiti, Salwadoru i państw afrykańskich.
- [6] Clarence Thomas (ur. 1948) – konserwatywny sędzia Sądu Najwyższego, nominowany przez prezydenta George’a H. W. Busha w 1991 roku.
- [7] Robber barons (dosł. baronowie-rozbójnicy, przez analogię do średniowiecznych raubritterów) – określenie dziewiętnastowiecznych amerykańskich przedsiębiorców stosujących wyzysk i inne nieetyczne metody gromadzenia bogactwa.
- [8] Nawiązania do wydanej w 1890 roku książki How the Other Half Lives reformatora, dziennikarza i fotografa Jacoba Riisa, dokumentującej fatalne warunki panujące w nowojorskich slumsach, oraz do powieści The Jungle Uptona Sinclaira z 1906 roku, opisującej warunki życia i pracy ludzi zatrudnionych w zakładach

mięsnych w Chicago. Sinclair zdemaskował naruszenia sanitarne i przyczynił się do uchwalenia państwowych regulacji w tym zakresie. W Polsce powieść ukazała się pod tytułem *Grzęzawisko* (tłum. Andrzej Niemojewski).


- [9] Ida B. Wells (1862–1931) – afroamerykańska socjolożka, dziennikarka i działaczka zajmująca się zjawiskiem linczu. Thomas Moss był jej przyjacielem, czarnym właścicielem sklepu, zamordowanym wraz z dwoma pracownikami 9 marca 1892 roku przez tłum, który wdarł się do policyjnego aresztu, dokąd ci trzej mężczyźni trafili po odparciu szturm na sklep przypuszczonego przez białych napastników. Napastnikami okazali się szeryf i jego zastępcy.
- [10] Półtora roku po wydaniu tej książki zdawkowy wpis o Priddym jednak powstał.
- [11] Określenia *Middle Passage* (Środkowa Przeprawa) używa się zazwyczaj w odniesieniu do środkowego etapu, tzw. trójkątnego handlu niewolnikami, czyli przewozu niewolników z Afryki Zachodniej do Ameryki.
- [12] Łk 1,52, Biblia Gdańska.
- [13] Terminu „rasa kaukaska” (*Caucasian*) powszechnie używa się w Stanach Zjednoczonych – a przynajmniej używało się do niedawna – jako bardziej formalnego synonimu określenia „rasa biała”. To określenie stworzył w 1795 roku niemiecki lekarz Johann Friedrich Blumenbach. Warto zwrócić uwagę na przypadkowość tego terminu: Blumenbach, klasyfikujący odmiany człowieka na podstawie kształtu czaszek, nadał tę nazwę grupie, do której sam należał, ponieważ najpiękniejsza czaszka w jego kolekcji pochodziła właśnie z Kaukazu.
- [14] *Octaroon* – archaiczne, dziś oczywiście obraźliwe, określenie osoby z domieszką 1/8 „krwi afrykańskiej”.
- [15] Książka ukazała się w lutym 2021 roku. Pomnik Lee został wreszcie usunięty 10 lipca 2021 roku. W grudniu tego roku Rada Miasta zdecydowała o przeznaczeniu materiału na sztukę publiczną. Pomnik przetopiono w październiku 2023 roku.
- [16] Tzw. komisje *blue ribbon* (niebieskiej wstążki) to zespoły złożone z niezależnych ekspertów, powołane przez władze do zbadania określonej, często kontrowersyjnej kwestii.
- [17] Chodzi o obowiązujące od ponad 50 lat hasło Wirginii, które brzmi: *Virginia is for lovers*.
- [18] Maria Konnikova, *Myśl jak oszust, żeby nie dać się oszukać*, tłum. Agnieszka Mitraszewska, Warszawa: Wydawnictwo Agora, 2016.
- [19] Tytuł opiera się na grze słów, ponieważ wyraz *hollow* to przymiotnik o znaczeniu „pusty, wydrążony”, ale także rzeczownik oznaczający kotlinę. Tytuł teoretycznie odnosi się więc do „ludu z kotliny”, ale w pierwszej kolejności kojarzy się z pustką.

- [20] Michel Foucault, *Historia szaleństwa w dobie klasycyzmu*, tłum. Helena Kęszycka, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1987.
- [21] Fair Labor Standards Act z 1938 roku reguluje m.in. płacę minimalną, czterdziestogodzinny tydzień pracy i ustawowe wynagrodzenie za nadgodziny.
- [22] W 2008 roku William Morva został skazany na karę śmierci za zabójstwo dwóch osób. Wyrok utrzymał się w apelacji, mimo że u Morvy stwierdzono poważne zaburzenia urojeniowe, które miały się przyczynić do zbrodni. Do wniosków o złagodzenie kary nie przychylił się również gubernator Wirginii. Wyrok wykonano w lipcu 2017 roku. Morva był ostatnim więźniem straconym w stanie Wirginia, ponieważ 24 marca 2021 roku zniesiono tam karę śmierci.
- [23] Podziękowania na końcu anglojęzycznych książek oznacza się właśnie słowem acknowledgements, które w języku ogólnym oznacza właśnie „uznanie, przyznanie, potwierdzenie”.
- [24] Książka powstała w 2021 r. Według danych w chwili ukończenia niniejszego przekładu (luty 2024) liczba potwierdzonych zgonów z powodu COVID-19 w Stanach Zjednoczonych wynosiła ok. 1,2 miliona.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.

czarne.com.pl

 Wydawnictwo Czarne

 @wydawnictwoczarne

Sekretariat i dział sprzedaży:
ul. Dukielska 83C, 38-300 Gorlice

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Dział promocji:
al. Jana Pawła II 45A lok. 56
01-008 Warszawa

Opracowanie publikacji: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 50, e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2024
Wydanie I